

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/369

1978



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

SOCJUSZ : ILE JEST DRÓG ?

**O. L. WIŚNIEWSKI, O. P. : CHRZEŚCIJANIE WOBEC
WALKI O SPRAWIEDLIWOŚĆ**

ZB. BYRSKI : STRATEGIA AFRYKAŃSKA SOWIETÓW

KATOLICY W Z. S. S. R.

SPIS RZECZY

Socjusz:	<i>Ile jest dróg?</i>	3
O. L. M. Wiśniewski, O.P.:	<i>Chrześcijanizm wobec walki o sprawiedliwość</i>	20
Irena Borowiecka:	<i>Wakacje w Sosnowiance (2)</i>	32

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Strategia afrykańska Sowietów</i>	55
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	62
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	69

K R A J

R. Z.:	<i>Stosunki polsko-ukraińskie widziane z Kraju</i>	80
—	<i>Świadome i nieświadome dywersje</i> ..	87
Heinrich Böll:	<i>Odpowiedź Wirpszy</i>	88

SĄSIEDZI

—	<i>Katolicy w ZSSR</i>	91
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	99
—	<i>Kolokwium rusycystyczne w Genewie</i> ..	105
E. Żagiel:	<i>Z litewskiej prasy</i>	107
Andrzej J. Chłedecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	110

SPRAWY I TROSKI

W. R.:	<i>Instytut Praw i Swobód Człowieka</i> ..	113
—	<i>„Holocaust” w telewizji amerykańskiej</i> ..	116
—	<i>Niedobre obyczaje</i>	119

CI CO ODESZLI

Józef Czapski:	<i>Tadzik</i>	120
----------------	---------------------	-----

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Historii uśmiech ironiczny</i>	122
---------	---	-----

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Cywilizacja i snobizm</i>	127
Jerzy Rybak:	<i>„Towarzysz Szmaciak”</i>	130
Henryk Grynberg:	<i>Forma pamięci</i>	135
(x):	<i>Sedir</i>	138
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	139



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	140
---	----------------------------------	-----



A. Czerniawski, J. Dżianott, J. Garliński — Z. Bau, W. Iwaniuk, J. Kowalik, X. W. S.:	<i>Listy do Redakcji</i>	148
—	<i>Sprostowanie</i>	155

DOKUMENTY

—	<i>Deklaracja Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Wybrzeża</i>	156
Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela:	<i>Oświadczenie z 13. V. 1978</i>	157
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec - Juin

1978

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mieczysław Chmura, Hamden, Conn. (USA)	F. 11,50
Dr G. S. Dobrucki, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz trzynasty	F. 61,00
Jerzy i Andrzej Duraczowie, Kungsängen (Szwecja) — w trzecią rocznicę śmierci Anny Duracz, zamiast kwiatów na Jej grób	F. 300,00
Eugeniusz Fedorowicz, Islington, Ont. (Kanada)	F. 20,00
Inż. N. J. J. Gawronski, Amsterdam, po raz drugi	F. 75,95
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz trzeci	F. 100,00
Henryk Komeza, Trondheim (Norwegia), po raz trzeci	F. 40,00
Alina Komornicka, Londyn — pamięci Stefana Komornickiego w 3-cią rocznicę Jego śmierci	F. 88,00
Halina Kościuch, Detroit, Mich. (USA), po raz dziewiąty	F. 92,00
K. J. Logay, Sarasota, Fla (USA), po raz piąty	F. 46,00
Tadeusz Lisicki, Charleston, S.C. (USA)	F. 152,00
Adam Nasielski, Cooma North, N.S.W. (Australia), po raz szósty	F. 500,00
François Prause, Paryż, po raz szesnasty	F. 100,00
Irena i Andrzej Ruszkowscy, Ottawa — dla uczczenia pamięci śp. dr. Zdzisława Szymońskiego, zmarłego 5. 4. br. w Aiken, S.C. (USA)	F. 59,88
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz czterdziesty piąty	F. 40,00
Juliusz S. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz trzynasty	F. 69,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Willowdale, Ont. (Kanada), po raz osiemnasty	F. 46,00
Gabriela M. Knobelsdorff, Clearwater, Fla. (USA) — na intencję rocznicy śmierci śp. Meża, Władysława	F. 27,60
Bezimiennie z Montrealu — po raz dziesiąty	F. 61,00
Bezimiennie z Teheranu, po raz drugi	F. 110,00
Bezimiennie z Winnipegu (Kanada)	F. 18,30
Tadeusz Brzostek, Paryż — na rzecz opozycji w Polsce	F. 100,00
Adam Zalewski, Sztokholm — 4-ta miesięczna wpłata na pomoc dla opozycji w Kraju	F. 50,00
Anonimowo (Rawensburg, RFN) na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 222,49
Bezimiennie z Chicago, Ill. (USA) na rzecz opozycji w Polsce	F. 276,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

J. K. Borowski, Johannesburg	F. 52,25
Bezimiennie z Johannesburga	F. 52,25
Bezimiennie z Kopenhagi	F. 25,00
Bezimiennie z Teheranu	F. 110,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Michał Klobukowski, Casablanca (Maroc)	F. 400,00
K. M. H., New York, N.Y.	F. 97,00
A. Królikowska, Johannesburg	F. 36,50
I. Pyziak, Clifton, N.Y. (USA)	F. 46,00
Stanley Sitarek, Seattle, Wa. (USA)	F. 36,80
S. Stachelski, Johannesburg	F. 156,75
Roman Tarnawski, Angered (Szwecja)	F. 50,00
J. Wallas, Johannesburg	F. 52,25
Stanisław Wójcik, Plattsburgh, N.Y. (USA)	F. 115,00

(Dalszy ciąg na str. 160)

Imprimé en Franco

Ile jest dróg ?

Przypadek sprzyja tylko ludziom przygotowanym.
(Pasteur)

Niełatwo jest odpowiedzieć na pytanie, jaka jest naprawdę rozpiętość wachlarza niezależnej polskiej myśli politycznej w kraju i na emigracji. Większość wydawnictw emigracyjnych jest w Polsce bardzo trudno dostępna lub nieosiągalna; to, co do nas dociera, zdumiewa często zaciekłością prywaty i przestarzałymi kategoriami myślenia. Jak się zdaje, za granicą wiedza o tym, co się w kraju myśli i robi, bywa mętna i układana według muzealnych formułek; ale i my sami, tyle lat pozbawieni swobody wypowiedzi, podejrzliwie obwąchujemy się wzajemnie w tej szarej mgie niewiedzy, która zalega kraj. Zaryzykuję twierdzenie, że wachlarz ów jest zarazem i węższy i szerszy, niż się zdaje. Naprawdę jest węższy w dziedzinie świadomości wyznawanych i głoszonych idei; mylne wrażenie rozpiętości powoduje fakt, że personalne spory i tradycyjne zawiści skłaniają do wyolbrzymiania różnic w poglądach. Szerszy jest natomiast w dziedzinie spontanicznych, nie artykułowanych postaw; skrajne poglądy pozostają nie ujawnione, czy to z obawy przed zgorszeniem, czy z nieumiejętności uświadomienia sobie konsekwencji własnego stanowiska emocjonalnego.

Pod jednym względem panuje zgoda: wszyscy deklarują się jako wielbiciele Kościoła katolickiego i jego roli polityczno-kulturowej w Polsce. Ogromny to komplement dla episkopatu, ale i niepokojący: oto sygnał, że różne ugrupowania będą się starały wykorzystywać autorytet Kościoła dla swoich rzadko religijnych celów. Już słysząc licytację, kto lepiej rozumie intencje Prymasa; niesmaczne to i niechrześcijańskie uzurpowanie sobie firmy kato-

licyzmu dla partykularnych, choćby i „narodowych”, celów. Przykład Włoch, gdzie ani chrześcijańskiej demokracji ani Kościołowi nie wyszła na zdrowie wzajemna bliskość polityczna, powinien działać ostrzegawczo. Wszyscy są też przeciwko cenzurze i brakowi swobód obywatelskich, ale agresywność i metody, stosowane nieraz w emigracyjnych dyskusjach, każą oddychać z ulgą, że ci panowie są od nas tak daleko: dopiero by nam przysolili, rezydując w KC lub na Mysiej.

Potrzeba szukania i utwierdzania tego, co łączy nas wszystkich, Polaków-patriotów, nie pogodzonych z dzisiejszym brakiem niepodległości i dyktaturą partyjnych kacyków, zdaje się być zupełnie oczywista. Przeciwnicy nasi są tak silni, tyle mają do rozporządzenia środków przemocy i dezinformacji, że tylko scalanie wysiłków i maksymalna solidarność zbiorowa dają szanse częściowego choćby powodzenia w oporze i dążeniu do realizacji naszych celów. Wobec braku niepodległości swobód obywatelskich, wobec potrzeby ciągłej pracy nad zmianą tego stanu rzeczy — różnice w szczegółach powinny zejść na drugi plan. Tak też jest przeważnie w codziennej krajowej rzeczywistości, w codziennym działaniu środowisk i ugrupowań, prowadzących robotę samokształceniową, broniących praw ludzkich, przeciwstawiających się cenzurze, oślepianiu i sowietyzacji. Do ludzi, zaprzątniętych konkretną robotą, słabo przemawiają mniej lub bardziej wydumane spory teoretyków: wspólnota losu i dążeń zapobiega sekciarstwu. Sądzę, że praktyczna bezczynność emigracji, brak narzucanego przez starcie z rzeczywistością poczucia odpowiedzialności, wpływają na ową przedziwną manię węszenia herezji, na owo starczo-doktrynerskie zacietrzewienie, którego piskliwe echa dochodzą czasem do kraju. Pożyteczne nawet, że dochodzą, bo działają ostrzegawczo.

Czy więc nie należy precyzować własnych stanowisk, stwierdzać różnic i prowadzić dyskusji na temat treści wyznawanych poglądów i wysuwanych programów? Owszem — ale nie po to, aby podkreślać kontrasty, ale aby szukać podobieństw; nie aby dzielić i odsuwać, ale aby łączyć i zbliżać. Nie widać np. powodu, aby hasła samorządności społecznej i pluralizmu politycznego traktować jako przeciwstawne albo choćby konkurencyjne — jak to podobno czynią niektórzy przywódcy KSS-KOR'u i ROPCiO (wedle sprawozdania francuskiego publicysty M. Thierry, który być może konflikt przesadnie zaotrzył). Nie jest też przykładem do naśladowania dyskusja z Leszkiem Moczulskim, podjęta przez Jacka Kuronia w tekście „Zasady ideowe”*.

* Tekst ten zawiera m.in. dwie bardzo cenne i godne przemyślenia wypowiedzi: o niebezpieczeństwie nadmiernej radykalizacji ruchu opozycyjnego pod wpływem „zawodowców”, ludzi marginesu, którzy nie mają nie

Rozróżnienie przez Moczulskiego (w artykule w *Opinii*) trzech tendencji ideowych — liberalnej, niepodległościowej i nacjonalistycznej — wśród opozycjonistów polskich da się od biedy potraktować jako powodowane chęcią uwypuklenia różnic, ale nie jest to wcale interpretacja przez tekst narzucana. Przeciwnie, autor jak gdyby celowo różnice łagodził; bo też można te nurty widzieć jako uzupełniające się wzajemnie. Sam Moczulski jest zwolennikiem tendencji niepodległościowej, która „wybija na plan pierwszy funkcje państwa narodowego jako formy zorganizowania świadomego swych celów społeczeństwa”. Można się tutaj doszukiwać wyrazu skłonności dyscyplinarnych; można się obawiać, że dobro państwa będzie zbyt silnie przeciwstawiane dobru jego obywateli. Można, ale nie wiem, czy należy — bo owa skłonność nie rysuje się wyraźnie, a w chwili obecnej ryzyko jest dosyć księżycowe. Jeśli przyjmiemy za dobrą monetę stwierdzenie Moczulskiego, że jest pluralistycznym demokratą, tj. że kształt państwa pozostawia swobodnie wyrażonej woli obywateli — to jego bardzo przecież ogólnikowa formuła nie znaczy nic ponadto, że uważa on niezależność państwową za niezbędny warunek naturalnego życia społeczeństwa.

Niektórzy twierdzą, że w praktycznym postępowaniu Moczulskiego ujawniają się istotnie owe niebezpieczne skłonności autorytarne. Możliwe. Jednakże Kuroń podjął dyskusję na temat pryncypiów, nie postępowania, i zasadzie Moczulskiego przeciwstawił własną: „nadrzędną wartością jest dla mnie dobro, suwerenność i twórczość każdego człowieka”. Bardzo to wieloznaczna deklaracja, na którą łatwo by zareplikować, że tylko w ramach niezależnego państwa narodowego ta nadrzędna wartość daje się realizować. I chociaż Kuroń myśl swoją rozwija dość obszernie, nasze wątpliwości jak rozumieć te górnotłone ogólniki nie mijają. „Jednak w przeciwieństwie do tradycji liberalnej... chcę ujmować człowieka w całokształcie jego dążeń, a przede wszystkim we wspólnotach, w których i dzięki którym żyje: w narodzie, w środowisku, rodzinie”. Z jednej więc strony wypowiada się przeciwko podporządkowaniu jednostki wspólnocie, z drugiej ujmuje

do stracenia; oraz o odpowiedzialności moralnej polskiej lewicy za PRL. Przy tej drugiej myśli trzeba jednak zaprotestować: bynajmniej nie cała polska lewica jest za tę rzeczywistość odpowiedzialna. Nie wolno grzechami komunistów i ich sprzymierzeńców obciążać Pużaka czy Żuławskiego i tysięcy członków PPS, prześladowanych i często pomordowanych już w latach czterdziestych. To bardzo pięknie, że Kuroń w imieniu innych byłych członków partii poczuwa się do odpowiedzialności za system, przeciwko któremu od tyłu lat bohatersko walczy — ale nie powinien zapominać, że większość przedwojennych socjalistów i ludowców polskich nie przeżywała okresu złudzeń co do tego systemu.

człowieka jako składnik wspólnoty — i, rzecz dziwna, nie zdaje się dostrzegać w tym trudności.

W świetle innych wypowiedzi teoretycznych Kuronia jego stanowisko ideologiczne można tu interpretować na trzy sposoby: 1. jako wyraz wiary w bezkonfliktową dobroć człowieka; 2. jako echo poglądów współczesnej radykalnej lewicy niekomunistycznej; 3. jako przejaw taktyki politycznej na dziś.

1. Jan Strzelecki rozprawiał kiedyś o naiwnych wizjach „ustroju bez pokus”: takiego układu stosunków międzyludzkich, z którego znikają wszystkie konflikty. Doświadczenie historyczne wskazuje, że jest to wizja całkowicie utopijna. Jeżeli Kuroń jest istotnie przekonany, że możliwe jest zbudowanie społeczeństwa, którego wszyscy członkowie będą „realizować całokształt swoich dążeń” i to zarówno indywidualnych jak zbiorowych — to można się wzruszyć dobroduszością jego poglądów na człowieka, ale trzeba powiedzieć, że są to opinie politycznie ryzykowne. Nie dlatego, że słyhać w nich pogłos dawnych utopii komunistycznych, ale dlatego, że ich naiwność musi doprowadzić do gniwnego wstrząsu rozczarowania. Dążenia ludzkie tak często bywają sprzeczne, zaś „dobro, suwerenność i twórczość” człowieka tak rozmaicie pojmowane, że niezbędne jest założenie mechanizmów kontrolujących i ograniczających spontaniczność. Lepiej z góry o tych koniecznościach pamiętać, niż potem stwierdzać z przykrością (jak bohaterowie Żeromskiego w *Przedwiośnie*), że i w niepodległym państwie potrzebna jest policja i że „dobre” współżycie ludzi ze sobą polega raczej na wzajemnych ustępstwach, dopasowaniu i rezygnacji niż na „suwerenności i twórczości”. I jako przestrożę trzeba autorowi „Zasad ideowych” przypomnieć, że skrajny optymizm w widzeniu natury człowieka i możliwości jego twórczego rozwoju dawał dotychczas w rezultacie krwawe dyktatury w imieniu... „prawdziwej” ludzkiej dobroci.

2. Wymowne poparcie, udzielane Kuroniowi przez paryski dziennik niekomunistycznej radykalnej lewicy *Libération* i przytoczone tam przez Michela Thierry jego wypowiedzi sugerują, że hasła „samorządności” i „autonomii społecznej” wywodzą się u przywódcy Ruchu Demokratycznego z jego dawnych lewicowych tradycji i łączą się z analogicznymi hasłami, wysuwanymi przez europejską „młodą” lewicę. Występuje ona przeciwko wadom tradycyjnych systemów reprezentacji politycznej (łącznie z demokracją parlamentarną) i głosi potrzebę autentycznego współdecydowania mas pracujących o losach państwa. Praktyka pokazuje wszakże, iż samorządy pracownicze zdają egzamin ekonomiczny i polityczny tylko w warunkach wielkiego poszanowania prawa, ogólnonarodowego poczucia solidarności i współodpowie-

działności społecznej. Tam, gdzie następuje przejście od autokracji do swobód demokratycznych (Portugalia, Hiszpania) po krótkim okresie euforii problemem numer jeden staje się ostry spadek wydajności pracy połączony ze wzrostem żądań gospodarczych ze strony robotników i chłopów. Nie ludźmy się: chociaż to ustrój jest u nas przyczyną znacznej części zła, skutki ustroju nie znikną wraz z jego zmianą. Stworzy się jedynie możliwość ich likwidacji. Niepodległość to dopiero warunek, nie gwarancja rozwiązania trudności. Będzie to jednak proces długotrwały i bolesny, bo ani moralność zawodowa ani poczucie współodpowiedzialności za całość społeczeństwa nie dadzą się odbudować bez zabiegów wychowawczych, a ludzie, którzy przyzwyczaili się do pobierania pensji „czy się stoi, czy się leży”, nie będą skłonni pracować dla idei. Przykład Jugosławii wykazuje również, że samorządy nie mające zaplecza w demokratyczno-parlamentarnej strukturze ogólnopaństwowej stają się szybko narzędziem w ręku klik i władzy centralnej.

3. Być może jednak hasło samorządności, patetyczne deklaracje na temat praw człowieka i przeciwstawianie ich interesom wspólnot i organizacji mają dla Kuronia sens przede wszystkim aktualny: są programem na dziś, nie ogólnymi zasadami teoretycznymi. W takim razie należałoby im zdecydowanie przyklasnąć: samorządność i jednostkowe swobody pojęte jako przeciwstawienie się narzuconej władzy totalitarnej są hasłami i słusznymi politycznie i głęboko wychowawczymi. Jeżeli wszakże tak właśnie Kuronia rozumieć (a sędzę, że jest to rozumienie najwłaściwsze), polemika z Moczulskim jest mało potrzebna, przynajmniej w zaprezentowanej formie.

Współczesne polskie spory polityczne zwykle niestety przywołują jedną (lub więcej) z trzech wad: beztreściwość, zaściankowość, lub anachronizm. Ta ostatnia jest najbardziej groteskowa. Polega typowo na używaniu określeń, formuł i nazw ugrupowań politycznych, które przestały normalnie funkcjonować przed blisko czterdziestu laty. Działacze emigracyjni usiłują kontynuować dawne stronnictwa i partie; publicyści określają swoje i cudze stanowiska w kategoriach programów sprzed wojny czasem nie tylko drugiej ale i pierwszej — i wymyślają sobie wzajemnie od piśmudczyków, endeków, sanatorów i socjałów. To wynik nienormalności naszego życia politycznego. W innych krajach Europy, nawet tam, gdzie wewnętrzne zmiany ustrojowe i gospodarcze są nieporównanie mniejsze, niż w Polsce, stronnictwa, które działały przed rokiem 1939, albo zanikły, albo gruntownie zmieniły swoje programy i używają dawnych nazw po prostu dzięki ciągłości funkcjonowania a nie ze względu na trzymanie się tych samych wytycznych. (W najmniejszym stop-

niu odnosi się to do tzw. lewicy; ale właśnie samo pojęcie lewicy musiało w Polsce i w krajach całego „obozu socjalistycznego” ulec radykalnej rewizji).

Odwrotną stroną anachronicznego tradycjonalizmu jest brak wycucia dla przemian społeczno-moralnych, zachodzących w naszym społeczeństwie — a zwłaszcza przemian szkodliwych. Z wyjątkiem nielicznych tekstów takich, jak „Rachunek naszych słabości” ogłoszony przez PPN, panuje milcząca zмова pisania niemiłych rzeczy o sprawujących władzę i o przeciwnikach, natomiast wyłącznie miłych o całym narodzie. Milczy się więc np. o katastrofalnym zaniku poszanowania dla prawa, ba — o stracie zrozumienia, co to jest prawo (w odróżnieniu od konkretnych przepisów i zarządzeń). Zjawisko to trzeba niezbędnie brać pod uwagę we wszelkich rozważaniach o przyszłości naszego kraju.

Zaściankowość przejawia się nie tylko w tym, że — znowu z nielicznymi wyjątkami, jak Kisielewski lub Rowmund Piłsudski — brak nam „świadomości globalnej” powiązania naszych losów z całą resztą świata, a nie tylko z sąsiadem od wschodu, ale i w tym, że sytuację polską rozpatruje się tak, jak gdyby była pod każdym względem osobliwa. Nikt więc nie zajął się np. zbadaniem, jak walka o pieniądze państwowe między różnymi grupami nacisku wygląda w Polsce, przekształcona w walkę między resortami i klikami (na Zachodzie, gdzie wolnorynkowa gospodarka pieniężna należy też do przeszłości, zajmuje się tym tzw. socjologia fiskalna).

Z czego wynikają te przykładowo wymienione słabości myśli opozycyjnej? Głównie z braku bezpośredniego wpływu na sposoby administrowania krajem. Jest to przykład ogólnej prawidłowości: wszelka myśl opozycyjna tym mniej jest praktyczna i odpowiedzialna, im bardziej oddzielona od mechanizmów rządzenia. Ale oderwanie posiada tę dobrą stronę, że opozycja ma szanse patrzenia z większym dystansem, bez uwikłania w codzienne rozgrywki i drobiazgowy decyzje. Powinniśmy więc starać się zarówno wykorzystywać możliwości szerokich wizji, intelektualnej i moralnej perspektywy na sprawy bieżące, jaką daje odsunięcie od bezpośredniej odpowiedzialności administracyjnej — i, za przykład ostrzegawczy mając emigrację, unikać oderwania od twardych i nieprzyjemnych realiów, które tenże brak odpowiedzialności powoduje.

Używam tu popularnego i wygodnego terminu „opozycja”, ale czy zasadnie? Czy istotnie mamy w Polsce „opozycję”? Działacz ROPCiO piszący pod pseudonimem Jan Kowal kwestionuje to i teoretycznie ma rację. Przez opozycję rozumie się na ogół jawne i zawarowane konstytucyjnie domaganie się zmian w sposobach rządzenia krajem. Opór polityczny w Polsce ani

nie uczestniczy w oficjalnym procesie wyłaniania reprezentacji ludności, ani nawet nie ma możliwości unormowanego dialogu z władzą. Panujący u nas system wyklucza istnienie takiej opozycji przez samą swoją totalitarną zasadę „demokratycznego centralizmu”; wszelkie proponowanie alternatyw odbywać się więc musi poza systemem. Kowal domaga się od opozycji *sensu stricto* także posiadania „koherentnego programu reform, na podstawie którego byłaby gotowa 'od dziś' przejąć władzę”. Sądzi również, że opozycje parlamentarne na Zachodzie mogą sobie pozwolić na niższy stopień szczegółowości programów działania, u nas natomiast opozycja musiałaby się określić bardzo szczegółowo. Widzę tu dwa nieporozumienia. Jedno czysto faktyczne: właśnie opozycja działająca w unormowanych warunkach parlamentarnego pluralizmu musi wypracowywać programy bardzo szczegółowe, do sprawy np. oczyszczania ścieków w jakimś Dorchesterze czy Avalon, bo tylko taka szczegółowość dostatecznie mobilizuje wyborców. Po drugie, w naszych warunkach opracowanie programów drobiazgowych jest o tyle bez sensu, że ruch oporu nie rozporządza środkami do przejęcia władzy i może prowadzić wyłącznie działalność wychowawczą, naciskową — i przygotowującą dalsze zmiany, stwarzającą możliwości na przyszłość. Ważny jest kierunek tych zmian a nie poszczególne elementy; i wpływ polityczny należy zyskiwać tak poruszaniem konkretnych bolączek i protestowaniem przeciw gwałtom jak i stawianiem przed oczyma celów, które ostatecznie chcemy osiągnąć. Natomiast decyzje tak szczegółowe, jak zawarte w wielu punktach programu „44”, muszą brzmieć groteskowo, skoro projektodawcy nie mogą opisać sytuacji, w której zaplanowane reformy miałyby szanse urzeczywistnienia.

Ludzi, którzy chcieli uwolnić Polskę od obcej dominacji i przeprowadzić w niej gruntowne reformy polityczne nazywano w końcu XVIII-go i w ciągu XIX-go wieku po prostu patriotami. I dzisiaj ta nazwa jest bodaj najbardziej adekwatna — ale się zużyła: zastosowana do przeciwników panującego w PRL systemu brzmiałaby pompatycznie i ogólnikowo. Sytuacja, w której działamy, jest tak szczególna, że wszystkie tradycyjne określenia w jakimś stopniu odstają od rzeczywistości. Dlatego lepiej może przyjąć, całkiem umownie, termin „opozycja” — zdając sobie sprawę, że pokrywa on tylko część pełnego zakresu tego pojęcia. I nie trzaskając się już o nazwy spełniać zadania, jakie stoją przed wszystkimi, którzy poczucie niezadowolenia ze stanu obecnego pragną przekształcić w pracę nad jego zmianą.

Naczelnym z tych zadań jest stałe krytyczne badanie naszej sytuacji i jej rozwoju, podejmowane pod kątem jasno określonych celów, do których się chce dążyć.

Od początku trafiamy na paradoks: o ile stan strony oficjalnie rządzącej, władz partyjno-państwowych, administracji, gospodarki narodowej, itd. nie jest, mimo braku ścisłych informacji, tajemnicą i daje się dość jednoznacznie opisać i ocenić — o tyle stan rządzonego społeczeństwa jest dla nas nieprzejrzysty, istnieją zasadnicze różnice poglądów co do nastrojów i postaw, a zwłaszcza gotowości do solidarnych poczynań. Znamy więc siły i możliwości przeciwnika — nie znamy własnych. Stąd jedni publicyści opozycyjni skłonni są uważać społeczeństwo za zjednoczone w oporze, przynajmniej biernym; inni, jak np. Marek Turbacz, twierdzą, że jest ono pogrążone w marazmie i zniechęceniu.

Obie te diagnozy są uproszczeniami. Czym innym bowiem jest marazm polityczny znacznej części inteligencji technicznej i np. lekarzy, wynikający z niechęci do ryzykowania własnej stonkowo uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej, czym innym zaś nieufna, wroga ustrojowi bierność chłopów czy większości robotników. Inteligencja, od przeszło stu lat najbardziej aktywna politycznie warstwa naszego społeczeństwa, została nieco przedwcześnie spisana na straty (np. przez Aleksandra Gellę i Jana Drewnowskiego). Ofiarne ugrupowania opozycyjne ostatnich lat wprowadzą się ze środowisk inteligenckich i do ich tradycji nawiązują. Z drugiej strony właśnie inteligencja jest, w skali ogólnokrajowej, warstwą nie tylko najbardziej bierną, ale najmniej chętną do udziału w aktywnym (choćby myślowo) oporze i najczęściej kolaborującą z reżymem. Nastąpiło więc, z różnych powodów, rozbitcie ideowe tej warstwy.

Nie jest natomiast prawdą, jakoby owi inteligenci „wicherzyiele” — jak ich nazywa oficjalna propaganda — sami wywoływali fermenty i uczucie niezadowolenia społecznego. Wyrażają oni nastroje i aspiracje ogromnie rozpowszechnione — tyle, że wyrażają się w sposób czynny i widoczny. Aktywni opozycjoniści usiłują znaleźć wyjście z obezwładniającego Polaków paradoksu: społeczeństwo nie wierzy w możliwość „naprawienia” systemu i jest skłonne poprzeć tylko zmianę całkowitą — ale nie wierzy również w bezpośrednią możliwość takiej fundamentalnej zmiany, więc skłania się do cynicznej lub desperackiej bierności.

Dodatkowym czynnikiem wpływającym na pasywność jest podejrzewanie, iż władze dobrowolnie i dla własnych celów tolerują istnienie opozycji. Jak to ostro sformułował Jan Kowal, „fakt istnienia w PRL kilku nie uznawanych przez władze ugrupowań oporu społecznego jest efektem świadomej taktyki przyzwalającej... Przekonanie, iż władze ustępują, bo muszą, byłoby wnioskiem fałszywym”. Jednakże przeciwstawienie „ustępowania” — „przyzwalaniu” jest tu naciągnięte: jeżeli władza przyzwalała na coś, czego w zasadzie wołałaby nie tolerować, to takie przyzwo-

lenie nie jest w istocie dobrowolne. W jakim stopniu przymus ustępstw wywołany jest stosunkami z zagranicą (potrzeba kredytów) a w jakim napięciem w kraju (obawa przed jatrzeniem opinii publicznej i stwarzaniem męczenników), to rzecz dyskusyjna i bardzo trudna do rozgraniczenia, bo zagraniczne kredyty są konieczne również po to, aby zachować jaki-taki spokój w kraju. Zgadzać się więc z ostrzeżeniami Kowala, że o ile „wymuszenie” daje możliwość eskalacji żądań, to „przyzwolenie” może ustać z godziny na godzinę, a do wywołania fali represji wystarczy jakakolwiek prowokacja — nie trzeba przypisywać władzom pełnej swobody wyboru metod postępowania, ani też rezygnować z wpływu na rozwój wydarzeń przez wykorzystywanie trudności reżymu dla rozszerzania marginesu tego, co musi tolerować, jeżeli chce uniknąć wewnętrznej i zewnętrznej konfrontacji. Czy ustępstwa nazwiemy wymuszonymi, czy też uzyskanymi dzięki sprzyjającym okolicznościom — najistotniejsze jest, że nie osiągnie się ich bez wywierania nacisku.

Problem: czy i jak działać, jeżeli ustroj jest nienaprawialny; czy i jak wpływać na zmiany systemu, skoro nie da się on zreformować (bo każda reforma istotna musi przynieść likwidację systemu) jest nierozwiązalny, jeżeli się go postawi ostro i sztywno. Należałoby sformułować go inaczej. Czym innym jest rewizjonistyczne marzenie, że system naprawi się od wewnątrz, oczyści, przybierze „ludzką twarz” — czym innym zaś popychanie go do zmian i ustępstw, do których musi się jakoś przystosować. Dziś do pierwszej możliwości nikt już zaufania nie ma, nikt nie liczy na to, że system „się” uzdrowi. Natomiast jak definiować procesy drugiego typu, tym niech się zechcą partyjni teoretycy. Nie należy do typowych cech ustroju ani prywatne rolnictwo, ani tolerowanie roli Kościoła, ani wprowadzanie wewnętrznego rynku wolnodewizowego, ani rozwijanie na wielką skalę inwestycji, finansowanych przez zachodni kapitał, ani łatwość wyjazdów za granicę, ani popieranie prywatnego rzemiosła czy agencji handlu. Chociaż nie zmieniają one podstaw systemu, czynią go bardziej podatnym na dalszą ewolucję — niezależnie już od tego, że walnie wpływają na sposób życia obywateli. Nie można z góry założyć, jakie są granice przystosowalności systemu do nacisków (wewnętrznych i zewnętrznych) i nie trzeba z nich z góry rezygnować dla teoretycznych powodów. To prawda, że „wolność jest niepodzielna” a suwerenność ograniczona nie jest wcale suwerennością, ale to są stwierdzenia dotyczące ideałów, wartości i celów ostatecznych. Postawa „wszystko albo nic” zajmowana nie wobec pryncypiów ale wobec konkretnego działania daje w rezultacie beczynność i bezużyteczność, czekanie z założonymi rękami na chwilę, kiedy ktoś nas uwolni równocześnie i od

ZSRR i od rodzimej partii (i kiedy okaże się że nie umiemy sobie z tą nową sytuacją poradzić).

Przez z górą wiek państwowego niebytu zasadnicze pytanie, postawione natychmiast po ostatnim rozbiore, brzmiało: „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?”. Jak wykazały lata 1918-20 było to pytanie prawdziwe, bo istnienie kadry wojskowej odegrało wówczas decydującą rolę w odzyskaniu i utrzymaniu niepodległości.

W latach 1944-45 narzucono nam przemocą niechciany ustrój i krępującą obcą dominację. Okazało się wówczas, że dawne pytanie w obecnej rzeczywistości sensu nie ma i że w każdym razie Polacy sami, własnymi tylko siłami, stanowienia o sobie odzyskać nie mogą. Zapanował od tej pory w myśleniu o przyszłości naszego narodu mroczny i jałowy zamęt.

„Realisci” polityczni doby rozbiorowej, zalecający różne formy „pracy u podstaw” i kompromisów z zaborcami, przeciwstawiali się „romantekom”, dla których wolność była sprawą kolejnego zrywu narodowego. Możliwość odzyskania niepodległości była dla obu stron przedmiotem konkretnych dyskusji, ważenia na szalach sił i koniunktur; jej wizja wchodziła w skład narodowej świadomości. Nawet kiedy się ją określało jako „mrzonkę”, była to mrzonka do której drogi dawały się realnie wytyczać.

Przez kilka lat po drugiej wojnie służył się jeszcze po świecie upiornie-bałamutne myśli o trzeciej „światówce”. Wybuch globalnego konfliktu, który zagroziłby ziemskiej cywilizacji, jako sposób na wyjście Polski spod komunistycznej dominacji okazał się jednak możliwością zbyt przerażającą, aby ją rozważać w ramach jakichkolwiek rzeczowych planów. Od tej pory szamoczymy się między tymczasowością a ogólnikami. Słowa o niepodległości są zwykle deklaracjami, nie wiążącymi się z żadną określoną wizją, żadną prognozą historyczną. Wśród ugrupowań krajowych, z których jawnie działające muszą na ten temat stosować dyskretnie uniki, jedynie PPN wskazał ogólnikowo na narastające w ZSRR i jego satelitach (czy dominiach) procesy mogące w przyszłości doprowadzić do rozpadu imperium. Stefan Kisielewski, przeciwnie, zapowiada, że wobec postępującej degrenolady Zachodu trzeba się liczyć z międzynarodowym tryumfem Moskwy i komunizmu. Przedstawiciele emigracyjnych ugrupowań wypowiadają mnóstwo niekonkretnych pobożnych życzeń, wśród których jest i niepodległość, i demokracja. Niektórzy „narodowcy” straszą jednak, że próby nacisku na Rosję muszą się skończyć katastrofą, że opozycja w Polsce to działanie na rzecz

interesów amerykańskich lub syjonistycznych, itp. banialuki. Choć panowie ci opowiadają się również za suwerennością itd., starannie zamykają wszystkie do niej drogi z wyjątkiem chyba aktu Bożej sprawiedliwości. Podobny efekt ma fanatyczny antykomunizm Józefa Mackiewicza, potępiającego wszelkie inne metody działania poza frontalną konfrontacją, którą nie wiadomo kto ma przeprowadzić (i przeżyć).

Celem poniższych rozważań nie jest snucie przepowiedni, ale sugerowanie, że o rzeczowe hipotezy prognostyczne na przyszłość bliższą i dalszą warto się kusić; i że, zdając sobie sprawę z ograniczonego naszego wpływu na bieg wydarzeń o większej skali nie musimy go traktować fatalistycznie.

Jakie powinny być wytyczne zastanawiania się nad perspektywami i możliwościami polityczno-gospodarczymi naszego kraju? Niektóre wbito nam w mózg i skórę: dominacja ZSRR, brak granicy z Zachodem, „groźba” niemiecka, interesy aparatu partyjno-administracyjnego, który nie zechce dobrowolnie odstąpić ani części władzy, naiwny cynizm demokracji zachodnich i ich niechęć do „awantur”. Ale nie musimy tych danych traktować jako niezmiennych. Należy je stale poddawać nowym analizom i badać w świetle innych, nie mniej ważnych choć nie tak rzucających się w oczy czynników.

Przede wszystkim musimy pamiętać, że chociaż szczególnie położenie geopolityczne narzuca nam patrzenie na świat w kategoriach sztywnych i trwałych, współczesna rzeczywistość polityczna i ekonomiczna jest niebywale płynna. Zmiany w międzynarodowym rozkładzie sił, dokonane w ciągu ostatnich lat trzydziestu, są olbrzymie, a ich proces bynajmniej się nie zakończył. Zwielokrotnienie ośrodków decyzji politycznych, dotyczących bezpośrednio jednego kraju ale mających wpływ na kontynenty, jest zjawiskiem w historii niebywałym. Wydarzenia w Wietnamie, Portugalii, Angoli czy Somali, na zupełnych peryferiach stref oddziaływania wielkich potęg, mają ogromny wpływ na całą sytuację światową i chociaż najistotniejsze jest, co w każdym wypadku uczynią supermocarstwa, coraz częściej przekonują się one, że nie mogą rozstrzygająco wpływać na lokalny bieg wydarzeń (Rosjanie wyrzuceni z Egiptu, Amerykanie tracący grunt w Turcji, itd.).

Skomplikowanie świata idzie w parze ze stałym wzrostem liczby napięć regionalnych, wynikających tak z pobudek politycznych, jak i gospodarczych (narastająca konfrontacja krajów ubogich i bogatych). Wiadomo powszechnie, że ZSRR, chociaż jest państwem bogatym i wysoko uprzemysłowionym, nie chce pomagać krajom rozwijającym się, wykorzystuje natomiast każdą okazję do jątżenia przeciwko Zachodowi. Działa więc świadomo-

mie jako czynnik destabilizujący. Dotychczas dawało to na ogół rezultaty dla ZSRR dość pomyślne, ale taka taktyka stawia Sowiety z konieczności w opozycji do wszystkich krajów rozwiniętych i zamożniejszych, które na rozbudowywaniu konfliktów mogą *per saldo* tylko stracić. Jest rzeczą znamionną, że z wyjątkiem zwiariowanej Libii bogate kraje arabskie, mimo konfliktu z Izraelem, trzymają się bliżej państw Zachodu niż ZSRR; to samo dotyczy wszystkich innych krajów o szybkim wzroście poziomu gospodarczego. Niezależnie od tego, czy chcą one po prostu korzystać ze swojej zamożności, czy też dzielić się nią z innymi, obawiają się destabilizacji. W wyniku tej ogólnej prawidłowości, której mechanizmu nie możemy tu głębiej analizować, izolacja polityczna ZSRR będzie się w przyszłości zapewne powiększać (starają się o to również Chiny). Aby ten proces odwrócić, Sowiety musiałyby albo zaprzestać politycznego współzawodnictwa z krajami demokracji zachodniej, albo też zmienić metodę swojej polityki zagranicznej i wysyłać nie broń i Kubańczyków, ale pszenicę, traktory i pieniądze — a na to ich nie stać. Nie stać nie tylko ekonomicznie.

Socjolog amerykański Daniel Bell pisze o współczesnej „rewolucji rosnących uprawnień”, która ogarnia cały świat. Coraz szersze kręgi ludności uzyskują możliwość kształcenia i dorabiania się; grupy ludności dawniej upośledzone stają się przedmiotem specjalnych zabiegów wyrównujących; związki zawodowe odgrywają coraz większą rolę gospodarczo-społeczną; wzrosły dramatycznie swobody indywidualne, prawa kobiet i tolerancja wobec różnych stylów i sposobów życia; podobnie jak wzrosły wydatki na usługi społeczne i cele publiczne. Analogiczną rewolucją w dziedzinie stosunków międzynarodowych jest usamodzielnienie się dużej liczby krajów dawniej zależnych oraz skuteczne domaganie się przez nie coraz znaczniejszych uprawnień gospodarczych i politycznych. Chociaż prawa jednostek są w wielu państwach pokolonialnych surowo ograniczane przez autokratyczne reżymy, mamy w tych krajach do czynienia z przejściem uprawnień decyzyjotwórczych przez ludzi, do niedawna pozbawionych głosu w rządzeniu. Ogólna tendencja światowa do upowszechniania uprawnień jest więc w tych krajach hamowana, ale nieodwracana.

Ta sama tendencja występuje oczywiście i w ZSRR i w krajach obozu moskiewskiego, ale podczas kiedy na Zachodzie jest popierana lub przynajmniej tolerowana — tu jest tępiona i tłumiona przemocą. Dlatego też w swoich stosunkach z zagranicą ZSRR będzie zapewne napotykał coraz większe trudności socjopsychologiczne. Można trzymać żołnierzy radzieckich zamkniętych w koszarach w Polsce, aby nie ulegli zmiekczeniu i demoralizującym (czyli oświecającym) wpływom. Próba skutecznego pe-

netrowania państw trzeciego świata pociągnęłaby za sobą konieczność wystawiania tysięcy obywateli radzieckich na życie w krajach politycznie znacznie swobodniejszych, niż ich własny. Tylko w warunkach odcięcia od informacji o innych systemach społeczno-politycznych ludzie nie zadają sobie pytania, czy dokuczliwe cechy ich systemu są rzeczywiście niezbędne. Możliwość zestawienia nie musi powodować potępienia czy odrzucenia własnego ustroju, nawet jeśli się go uważa za wadliwy, dopóki ustroj ten potrafi jakoś uzasadnić swoją użyteczność. Ale wobec tego, że ustroj, stosunki społeczne i obieg dostępnych informacji w ZSRR stają się w zestawieniu z resztą świata coraz bardziej anachroniczne, uzasadnienie takie będzie się stawało coraz trudniejsze. Faktu, że polityka zagraniczna ZSRR jest dla tego państwa ogromnie kosztowna a nie przynosi namacalnych korzyści obywatelom (nawet w formie możliwości podróżowania po świecie) nie da się wiecznie ukrywać przed ludnością, dla której problemem jest nadal zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Trzeba będzie częściej sięgać po hasła nacjonalistyczno-imperialne, które przemawiają do wielu Rosjan, ale muszą pogłębić ich izolację we własnym kraju i za granicą.

Sfery rządzące ZSRR stale zaciemniają długoterminowe perspektywy swego państwa — w tym sensie, że stopniowo ograniczają i tak niewielkie szanse przewyżczenia zasadniczych trudności strukturalnych, wynikających z faktu, że ZSRR jest ostatnim mocarstwem kolonialnym naszego wieku, że ma absurdalny system zarządzania ekonomią, zacofane i niewydajne rolnictwo, skrzepowaną naukę, nierównomiernie i z opóźnieniami rozwijającą się technologię, że od początku istnienia musi eksportem surowców opłacać import nowoczesnego sprzętu, itd. Aby wybrnąć z trudności gospodarczych należałoby przeprowadzić gruntowne reformy administracyjne i polityczne; reformy te spowodowałyby pełniejsze ujawnienie się tendencji odśrodkowych; ich rozwój doprowadziłby zapewne do krwawej wojny domowej albo do rozpadu imperium. Ale im dłużej się reform nie przeprowadza tym groźniejsze powstają wewnętrzne napięcia socjalne i narodowe, i tym jaskrawiej wychodzą na jaw różnice między ZSRR a innymi krajami o podobnym poziomie cywilizacyjnym. Trzeba dodać i tę obserwację, że im wyższy stopień rozwoju gospodarczego i technologicznego jakiegokolwiek kraju, nawet pozornie najbardziej samowystarczalnego ekonomicznie, tym ściślej i wszechstronniejsze jego powiązania z gospodarką ogólnoswiatową. Gospodarka ta w coraz większym stopniu poddawana jest dyktandom zapotrzebowania i oczekiwań (a nie, jak dawniej, podaży). Jeszcze trzydzieści lat temu planiści sowieccy mogli projektować produkcję wedle tego, co mieli do rozporządzenia i tego, co

chcieli, zgodnie ze swoimi założeniami, uzyskać; dzisiaj w coraz większym stopniu muszą planować wedle tego, czego się od nich spodziewa ludność, zaś na oczekiwania obywateli radzieckich coraz bardziej, choćby z opóźnieniem, wpływać będzie to, czego chcieli i co otrzymali Amerykanie, Finowie, Brazylijczycy czy Jugosłowianie. Prawdopodobnie ryzyko wybuchu konfliktu zbrojnego, ograniczonego lub nawet światowego, wywołanego przez agresywną ekspansję sowiecką będzie malało, natomiast wzrastać będzie niebezpieczeństwo wojny wywołanej właśnie przez rosnący anachronizm ZSRR, przez nieprzystosowanie tego państwa do reszty współczesnego świata, co może spowodować odruchy paniczne u kierownictwa partyjnego.

Naszkicowane tu procesy dotyczą rzecz jasna także całej Europy Wschodniej. Jest ona znacznie bardziej, niż ZSRR, podatna na wpływy i naciski międzynarodowych trendów obyczajowych, gospodarczych i politycznych. Można więc przypuścić, że tendencja do upodmiotowania politycznego państw satelickich, do rozszerzania przez nie zakresu decyzji nie podlegających pełnej kontroli sowieckiej, będzie się w przyszłości częściej ujawniać. Potrzebne są do tego dwa warunki dodatkowe: względna stabilizacja wewnętrzna w danym kraju (rozgrywki międzyfrakcyjne osłabiają siłę przetargową każdego politbiura) oraz względna jasność w personalnym układzie sił na Kremlu (obecny stan oczekiwania na odejście Breżniewa i walkę o jego następstwo powstrzymuje inne partie od jakichkolwiek bardziej przedsiębiorczych poczynañ czy roszczeń).

Zwróćmy wzrok w drugą stronę. Nie dotarło jeszcze do świadomości Polaków, że nasza międzynarodowa pozycja gospodarcza, a także i polityczna, uległa w ostatnim ćwierćwieczu ważnej poprawie. Jest to poprawa w tej chwili tylko potencjalna, ale zasadnicza. Dzięki węglowi jesteśmy, obok Norwegii, jedynym krajem Europy który jest i będzie mógł długo pozostać eksporterem energii. Ponieważ zasoby energetyczne są kluczowe dla gospodarki każdego kraju i jego roli w ekonomice międzynarodowej, rozporządzamy (potencjalnie!) kartą bardzo silną. Najlepiej pasuje ona do gry ze Wspólnotą Europejską, dla której stanowić możemy coraz cenniejszego partnera. Powstanie Wspólnoty jest drugim czynnikiem, wyraźnie polepszającym naszą sytuację. Niemcy jako część zjednoczonej Europy muszą zatracać możliwość agresywnej polityki zagranicznej (nawet gdyby ją chciały wznowić); zanik ostrej rywalizacji między państwami Zachodu może nam ułatwiać znalezienie w nich sprzymierzeńców. Co jeszcze istotniejsze, kiedy Wspólnota Europejska rozszerzy się o Hiszpanię, Portugalię i Grecję, Polska stanowić będzie dla niej potencjalnie wartościowe uzupełnienie zarówno ekonomiczne

(zmniejszylaby deficyt energetyczny) jak polityczne (wzmocniłaby państwa średnie w ich dialogu z Niemcami, Francją i Anglią)**. Ścisłejsze związki Polski ze Wspólnotą otworzyłyby oczywiście nowe perspektywy dla zjednoczenia Niemiec (w ramach Wspólnoty); byłyby też po myśli Stanów Zjednoczonych z którymi nie mamy żadnych sprzecznych interesów ekonomicznych ani politycznych, lecz przeciwnie — więzy tradycyjnej przyjaźni.

Brzmi to wszystko jak fantastyczna bajka. Nie prorokuję jednak, tylko twierdzę, że taki rozwój wydarzeń jest możliwy i że tę możliwość należy brać pod uwagę. Nie sugeruję również, że kraje Europy Zachodniej będą skore do poniesienia jakichkolwiek ofiar czy ryzyka na naszą korzyść; stwierdzam tylko, że nasze bliskie związki ze Wspólnotą Europejską, nawet wejście w jej skład, leżą w interesie wszystkich zainteresowanych — wyjąwszy ZSRR. I twierdzę także, iż przeciwstawianie się tym zgodnym interesom może się na bardzo długą metę okazać dla ZSRR nieopłacalne lub wręcz niewykonalne. (*Nota-bene* przypomnijmy, jak nasza cenzura tępi pozytywne informacje na temat Wspólnoty, którą wolno określać tylko jako „Wspólny Rynek”).

Trzeba brać pod uwagę także i ten czynnik, że USA muszą w swojej światowej rozgrywce z Sowietami kierować się rachunkiem: gdzie można znaleźć sprzymierzeńców, lub gdzie można osłabić front przeciwnika kosztem najmniejszych nakładów i najniższego ryzyka? (Czasy nieliczenia się z kosztami minęły bezpowrotnie). Terenem takim jest oczywiście Europa, włączając Europę Środkowo-Wschodnią. Niektórzy publicyści emigracyjni, jak Jędrzej Giertych, też to zauważają — i nawołują do zaniechania w kraju wszelkiej aktywności opozycyjnej, bo jest ona rzekomo sztucznie podsycana przez Amerykanów (i oczywiście Żydów!) dla ich własnych celów. Pomijając już drobny a widać nie zauważony przez sędziwego endeka fakt, że Polacy doprawdy mają własne powody do konfliktu z sowiecką i rodzimą partyjną dominacją; a również i to, że oficjalne władze amerykańskie wykazywały dotychczas minimalne zrozumienie dla polskiej działalności opozycyjnej i starały się do niej raczej zniechęcać niż zachęcać — powiedzieć trzeba, że interesy polskie są w tej chwili w znacznym stopniu zbieżne z amerykańskimi i że z tej zbieżności powinniśmy starać się skorzystać. Nie dając się sprowokować do aktów nierozumnej rewolty (do której nikt nas zresztą, z wyjątkiem niekiedy organów bezpieczeństwa, nie podburza), powinniśmy po prostu dążyć do podnoszenia kosztów utrzymania

** Nie zapominam o głębokim kryzysie, jaki w tej chwili Wspólnota przeżywa. Ale sądzić wolno, że uświadomienie sobie katastrofy gospodarczej, jaką spowodowałaby jej rozpad, pozwoli ten kryzys przetrwać; zaś proces integracji politycznej, choćby bardzo powolny, powstrzymać się nie da.

Polski w pozycji moskiewskiego satelity. Skoro interesują się nami dwa supermocarstwa, należy dążyć do tego, by się licytowały. Jedno trzyma nas pod butem; w interesie drugiego jest nasze wysłiznięcie się spod tego buta; nie doprowadzając do wybuchów powinniśmy się pod butem wiercić.

Ale co z Niemcami? Czy nie stanowią oni groźby większej, niż Rosja? Ci wszyscy, którzy w dobrej lub złej wierze straszą nas ciągle teutońskim odwetem, powołują się nie tyle na teraźniejszość, ani na przewidywania przyszłości, ale na doświadczenie historyczne. Niezbyt słuszne. Istniejących nadal w RFN tendencji rewizjonistycznych nie wolno nam nie zauważać i lekceważyć — ale przyjrzenie się historii musi prowadzić do wniosku, że chociaż okresami Niemcy groziły nam śmiertelnie — na długą metę od wieku XVII począwszy głównym niebezpieczeństwem była Rosja. Z tego prostego powodu, że w konflikcie z nią trudniej albo zgoła niemożliwe było znaleźć sprzymierzeńców. Przekonaliśmy się o tym dotkliwie w roku 1920 i 1945. Dotychczasowe doświadczenia wskazują również, że większe są możliwości ewolucji i pozytywnych zmian w stosunkach polsko-niemieckich, niż polsko-rosyjskich.

Myśląc o przyszłości nie należy też zapominać prostej prawdy, o której pisał kiedyś Juliusz Mieroszewski, iż naszym wschodnim sąsiadem nie jest naród rosyjski, ale narody ukraiński, białoruski i litewski. Przypominanie o tym i wyrazy sympatii dla aspiracji kulturowych i politycznych tych narodów, obecnie rusyfikowanych i pozbawionych autonomii, wywołują u niektórych „narodowców” emigracyjnych historyczny lęk i protesty, że oto znowu wskrzesza się idee federalistyczne albo chce wyzwalać krwią Polaków narody ZSRR. Jest to potrójny absurd. Po pierwsze — wszelkie dążności usamodzielniające wśród ludów, podległych dziś moskiewskiej dominacji, mogą tylko ułatwić Polakom rozszerzanie marginesu państwowych i narodowych swobód; po drugie udawanie, że się tych dążności nie zauważa lub wręcz przeciwstawianie się im jest pozbawianiem się nie tylko potencjalnych sprzymierzeńców, ale i moralnego prawa do wysuwania własnych roszczeń; po trzecie wreszcie w dzisiejszej sytuacji korzystamy tylko z wewnętrznych kłopotów, jakich przysparza Kremlowi opór naszych sąsiadów przeciwko rusyfikacji — nic im bowiem sami pomóc nie możemy.

Jan Drewnowski ogłosił kilka lat temu w *Kulturze* cenny artykuł o możliwości zmian ustrojowych w Polsce pt. „Jedyna droga”. Choć charakteryzował tę „jedyną drogę” (poprzez nacisk społeczeństwa, wywołany wewnętrznymi sprzecznościami systemu) bardzo ogólnikowo, co dopuszcza możliwość odmian postępowania — szkodliwe wydaje mi się samo hasło „jedyności”.

Różne mogą się nasuwać okazje zasadniczych zmian i wyzwolenia, różne możliwości, do których się trzeba rozmaicie przygotowywać. Słuszne odrzucenie koncepcji zbrojnego powstania albo masowego spisku, przygotowującego przewrót, nie powinno prowadzić do rezygnacji z wielu innych sposobów działania, jawnego i tajnego. Ich wielorakość zwiększa nasze szanse — pod warunkiem, że zwolennicy rozmaitych metod nie będą się wzajemnie zwalczać.

To samo dotyczy zwolenników różnych wizji przyszłości, perspektyw i taktyk, którzy powinni zwracać uwagę przede wszystkim na wspólnotę celów ostatecznych, a nie na szczegółowe różnice. Niechże wszyscy zwolennicy wolności Polski myśleć o wspólnym przeciwniku, który nas wolności pozbawia — a nie tracą siłę i czasu na podgryzanie się wzajemnie. Niechże wszyscy zwolennicy demokracji uważają za obowiązek pierwszy wspólną walkę o jej zdobycie — a nie krytykowanie tych, którzy się od nich różnią w poglądach na idealny model ustroju.

Dróg jest wiele. Różne są sposoby przygotowania gruntu pod lepszą przyszłość: samokształcenie polityczne i nauka samorządności; budowanie porozumienia między grupami społecznymi i środowiskami; uświadamianie opinii zagranicznej i torowanie dróg międzynarodowemu (a nie tylko międzyrządowemu) porozumieniu i zbliżeniu — w różnych kierunkach; wychowywanie ludzi, którzy potrafią przejąć stanowiska kierownicze i przywódcze; wykorzystywanie istniejących możliwości dla rozwoju autentycznej kultury i nauki; przypominanie i odnawianie skołtuniałego poczucia godności narodowej. Można domagać się respektowania obowiązujących praw i przywilejów obywatelskich — albo starać się o prawa lepsze; można na różnych stanowiskach chronić to, cośmy osiągnęli lub ocalili — albo dążyć do rozszerzenia zakresu swobód i uprawnień; zachowywać bezkompromisowość absolutną — albo dyskretnie, bez oficjalnego żyrowania, popierać liberalno-patriotyczne tendencje w aparacie rządzącym; kłaść nacisk na osiągnięcia bezpośrednie i szybkie — albo wpajać wizje ideałów docelowych.

Najistotniejsze jest, abyśmy mieli świadomość, że wiara w Polskę niepodległą i demokratyczną nie musi być wiarą w cuda — i abyśmy sobie w dążeniu do niej różnymi drogami nie przeszkadzali.

SOCJUSZ

Chrześcijanie wobec walki o sprawiedliwość*

Jakie są społeczne konsekwencje zawierzenia Ewangelii? Czy chrześcijanie, z racji swego chrześcijaństwa, mają obowiązek angażować się w doczesność? Czy chrześcijanie są odpowiedzialni za wykorzystanie niesprawiedliwości i zła? Czy mają oni obowiązek wkroczyć na arenę, gdzie toczy się walka o ludzkie wartości i ludzkie prawa? Mówiąc krótko — czy chrześcijanie mają obowiązek podjąć walkę o ziemską sprawiedliwość?

Jeżeli tak, to w jaki sposób? Co to znaczy po chrześcijańsku walczyć ze złem i bronić sprawiedliwości?

A może zadania chrześcijan są zgoła inne? Może podejmowanie jakiegokolwiek walki ze złem jest oznaką niewiary w potęgę Wszechmocy Bożej? Jezus przecież mówił: „...nie sprzeciwiajcie się złemu... jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi... szukajcie naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a wszystko będzie wam przydane”.

Uwagi poniższe są próbą odpowiedzi na ciągle powracające, zasygnalizowane tu dwa pytania: czy? i jak mamy obowiązek walczyć o ziemską sprawiedliwość? Tekst w zasadzie był formułowany — dla celów duszpasterskich i bez ambicji oryginalności — niemal 2 lata temu. W międzyczasie wiele się wydarzyło. Świadomość roli Kościoła i roli ludzi wierzących w budowaniu sprawiedliwej doczesności niepomniernie wzrosła. Ukazały się nowe, ważne dla sprawy dokumenty kościelne. Episkopat Polski wielokrotnie jasno i niedwuznacznie precyzował swoje stanowisko i określał zadania ludzi wierzących. Utwierdziło się wśród polskich katolików przekonanie, że nie można stać na uboczu, kiedy dzieje się jawna krzywda.

A jednak pytania zdają się być ciągle aktualne. I chyba będą aktualne zawsze, dopóki tego rodzaju zaangażowanie wymagać będzie samozaparcia i ofiary. Zresztą, pytania te są także aktualne

z innych powodów. Boimy się — i słusznie — aby czegoś tutaj nie zgubić i czegoś nie wypaczyć; aby nie zastąpić życia chrześcijańskiego jakąś działalnością w imię sprawiedliwości, która pozwoli przestać mieć nie tylko związek z Ewangelią, ale nawet i ze sprawiedliwością. Współczesna historia niektórych ruchów tzw. lewicowego chrześcijaństwa potwierdza te obawy.

Oto dlaczego trzeba podjąć próbę rozpatrzenia zarzutów przeciw zaangażowaniu się w obronę ziemskiej sprawiedliwości, oto dlaczego trzeba także podjąć próbę rozpatrzenia chrześcijańskiej specyfiki tego zaangażowania.

I. Obawy chrześcijan

1. Jeden z moich przyjaciół-kapłanów, do którego zwróciłem się kiedyś z propozycją poparcia apelu o naprawienie krzywd wyrządzonych pewnym studentom, napisał mi, że „boi się, iż tego rodzaju akcja może podciąć sensowność powołania apostołskiego głoszenia Królestwa Chrystusowego, a więc nie z tego świata”.

W słowach tych zasygnalizowany jest zasadniczy problem teologiczny zaangażowania się w przekształcanie świata, w protest przeciwko niesprawiedliwości i w budowę sprawiedliwości już na tej ziemi.

Problem ten brzmi: jest ciągłość, czy nie ma ciągłości między życiem chrześcijanina na tej ziemi, a przyszłym zbawieniem; istnieje czy nie istnieje ścisły związek między głoszeniem i oczekiwaniem eschatologicznego Królestwa Bożego, a budowaniem sprawiedliwości na tej ziemi?

a) Zawsze istniało w Kościele swoiste napięcie między prądami sprzyjającym zaangażowaniu się w to, co doczesne, a prądami kierującym się ku temu, co nadprzyrodzone. To napięcie w ostatnich czasach niepomniernie wzmożło się.

Jak rozumieć i wyrazić możliwie integralnie pośłannictwo chrześcijańskie? Czy istnieje zbieżność (ciągłość) między darem zbawienia, przecież całkowicie przekraczającym jakąkolwiek moc ludzką, a światem tworzonym przez ludzi w czasie?

Charles Moeller, a za nim Yves Cognar, niezwykle trafnie zauważyli, że formułę teologiczną pośłannictwa chrześcijańskiego odnaleźć można w formule chrystologicznego dogmatu chalcedońskiego na temat boskiej i ludzkiej natury Chrystusa: jeden i ten sam Chrystus Pan ma być uznany w dwóch naturach — bez separacji, ale i bez zmieszania. Jest to rzeczywiście formuła-klucz. Pośłannictwo chrześcijańskie ma dwa wymiary i nie wolno ich mieszać, ale zarazem nie wolno ich oddzielać.

Nie można mieszać wyzwolenia doczesnego z wyzwoleniem eschatologicznym — z Królestwem Bożym. To, co jak dar obiecane jest przez Boga, jest transcendentne wobec świata, całkowicie je przekracza („ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy go miłują”, 1 Kor 2, 9).

* Artykuł ten przedrukowujemy z nr. 2 *Spotkań*, niezależnego pisma młodych katolików, ukazującego się w Lublinie.

Ale chociaż zbawienie niepomrotnie przekracza wyzwolenie doczesne, to jednak nie ma tu i nie może być separacji. Gdybyśmy oczekując na Absolut, zrezygnowali z uciążliwych wysiłków i zmagania, aby realizować sprawiedliwość już tutaj, byłoby to zdradą naszego posłannictwa. „Ktokolwiek na ziemi wyrzeka się człowieka, wyrzeka się pozaziemskiego Boga” (Barth).

Znamienne jest sformułowanie, jakie znajdujemy w dokumencie „O Sprawiedliwości” II Synodu Biskupów: „Akcja na rzecz sprawiedliwości i udział w przekształcaniu świata ukazują się nam w pełni jako cecha zasadnicza głoszenia Ewangelii, to znaczy misji Kościoła dla odkupienia ludzkości i wyzwolenia jej z wszelkiego stanu ucisku”.

A zatem — nie zagubić, nie rozmienić na drobne obietnicy eschatologicznej, którą dał nam Pan. U Niego będzie pełnia sprawiedliwości i miłości.

Ale zarazem nie wolno wyrzec się braci uciskanych.

b) Na rozważany problem teologiczny warto popatrzeć jeszcze od innej strony.

To prawda, nie można zbawienia zamykać w kręgu czysto ludzkich wydarzeń. Ale gdybyśmy z kolei w zbawieniu widzieli wydarzenie nie mające nic wspólnego z życiem w doczesności — zakwestionowalibyśmy w ten sposób katolicką naukę o usprawiedliwieniu, a także prawdę o obecności Ducha Świętego w chrześcijańskim życiu.

Usprawiedliwienie — jak uczy Kościół — jest wewnętrzną przemianą człowieka i udzieleniem mu w sposób zaczątkowy Ducha św. Jest przyjęciem Ducha św., który rozbudza w człowieku pragnienie nowego życia i prowadzi do definitywnego spotkania z Bogiem. Przez wiarę, nadzieję i miłość realizowaną już tutaj, „teraz”, Duch św. prowadzi nas ku sobie.

Taka jest droga do zbawienia. Bóg już teraz przemienia nas wewnątrz i daje nam swego Ducha, byśmy eschatologiczne obietnice: miłości, wolności, pokoju, sprawiedliwości, pojednania — urzeczywistniali w tym życiu. Zbawienie będzie udziałem tych, dla których te obietnice, już na tej ziemi, staną się wyznacznikami życia.

2. Ktoś, kogo bardzo cenię, a kto zajmuje dość eksponowane miejsce w polskim Kościele, komu tłumaczyłem konieczność reagowania na zło oraz konieczność brania w obronę pokrzywdzonych, powiedział mi: „dbajmy nade wszystko o życie wewnętrzne, to i tylko to jest istotne”.

Trzeba podpisać się oburącz pod twierdzeniem, że życie wewnętrzne jest istotne. Bez niego wszystko, cokolwiek czynimy, stanie się wkrótce słomą i plewą.

Na dnie jednak tego stwierdzenia, wyraźnie kwestionującego wszystko prócz swojskie pojętego życia wewnętrznego, dostrzec można kilka zasadniczych nieporozumień.

a) Dualistyczne pojmowanie człowieka — oddzielanie i przeciwstawienie duchowości człowieka i jego cielesności. Zbawienie,

jakie nam Bóg daje, jest zbawieniem całego człowieka. Jedna jest istota ludzka: duchowo-cielesna. Nie ma stosunku człowieka do Boga — który się liczy i stosunku człowieka do świata i ludzi — który się nie liczy. Są one ze sobą zintegrowane, jak i zintegrowany jest człowiek.

Historia chrześcijaństwa zna wprowadzie coś takiego, co trzeba by nazwać konfliktem Marii i Marty — konfliktem czynu i kontemplacji. Jednak jest to chyba konflikt pozorny — im silniejszy i głębszy był nurt życia wewnętrznego, tym większa była trafność i skuteczność w życiu czynnym.

Oddajmy w tej sprawie głos wybitnemu teologowi: „Unikanie zaangażowania się w postępowanie człowieka i w jego przyszłość na świecie jest zdradą chrześcijańskiej nadziei. Nastawienie takie wypływa z fałszywego pojęcia człowieka jako ducha uwięzionego w ciele (a przez ciało w świecie), wypływa z fałszywego pojmowania przyszłego zbawienia jako uwolnienia się od materii a wcielenia — jako czystego przyodziania się Boga w pozory człowieczeństwa; ma wreszcie swe źródło w odrzucaniu antropologii biblijnej i samych fundamentów chrześcijaństwa tj. rzeczywistości wcielenia się Syna Bożego, Jego śmierci i Jego — a w konsekwencji i naszego — zmartwychwstania. Takie unikanie zaangażowania się w sprawy świata to nic innego jak manichejski dualizm, który świat materialny wyłącza spod władzy Boga-Stwórcy (J. Alfaro SJ).

b) W nawoływaniu do kultywowania życia wewnętrznego zdecydowanie niepokoi także oddzielanie tego wewnętrznego życia od realizowania miłości. Zbawienie jest ofertą ze strony Boga — uczestnictwa we wspólnocie miłości z Bogiem. Dlatego rdzeniem naszego życia jest miłość Boga. Ale nie wolno z miłości Boga czynić karykatury. Miłość Boża nie tylko nierozdzielnie związana jest z miłością ludzką, ale wręcz spełnia się w niej.

Św. Tomasz zwraca uwagę, że miłować Boga znaczy utożsamiać się z Bogiem Miłości — z Bogiem, który ogarnia swoją uwagę i troską wszystkich ludzi. Kim jest Bóg Miłości, ukazuje nam Chrystus. W Nim poznajemy Boga. „Duch Pana spoczął na mnie, dlatego namaścił mnie, abym niósł dobrą nowinę ubogim, abym uzdrawiał skruszonych w sercu, więźniom zwiastował wolność, a ślepym przejrzenie, abym uciśnionym przywracał wolność i ogłosił rok zmiłowania Pańskiego” (Łk. 4, 18-19). Jezus w całym swoim życiu solidaryzował się z tymi, którzy cierpią ucisk i gwałt. Cierpiący i prześladowani są kastą szczególnie uprzywilejowaną w Ewangelii.

I tak ma być w chrześcijaństwie. Miłość do Boga ma w chrześcijańskim życiu objawić się jako synowski hołd i szacunek do Ojca — jako uwielbienie Ojca, ale też musi się objawić jako ogarnięcie tych wszystkich, których Bóg swoją miłością ogarnia. Obdarować miłością innych to najpierw podjąć próbę wyrwania ich z przeróżnych niewoli, bo tylko człowiek wolny jest zdolny do braterstwa i miłości. Jeden z chrześcijańskich proroków naszego wieku, M. L. King, ujął to, o czym mówimy, konkretnie

i dosadnie: „Religia, która pretenduje do troski o ludzką duszę, a nie troszczy się o *slums'y*, które są jej piekłem, o warunki ekonomiczne, które ją dławią, o sytuacje społeczne, które ją paraliżują, taka religia jest w stanie duchowej agonii”.

Przypomnijmy wreszcie głos II Synodu Biskupów z dokumentu „O sprawiedliwości”: „W Starym Testamencie Bóg objawia się nam jako wyzwoliciel uciśnionych i obrońca ubogich. Od ludzi żąda On wiary w siebie i sprawiedliwości wobec bliźnich. Tylko przy spełnianiu obowiązków sprawiedliwości względem ludzi można naprawdę poznać Boga, Wyzawcę uciśnionych.

W swojej działalności i w swoim orędziu Chrystus w sposób nierozdzielny połączył stosunek człowieka do Boga z jego stosunkiem do innych ludzi”.

c) Na krzyżach misyjnych stojących do dzisiaj przy naszych kościołach widnieją religijne napisy w rodzaju: „Zbaw duszę swoją”, „ratuj duszę swoją”. Dzisiaj te napisy pobożni, choć może nieco załękni chrześcijanie, próbują zastąpić wezwaniem „pielęgnuj życie wewnętrzne”.

Otóż trzeba jasno powiedzieć, że tego rodzaju hasła, próbujące sprowadzić sens chrześcijaństwa do intymnej, zamkniętej dla spraw zewnętrznych religijności — wypaczyły teologię i wypaczyły praktykę chrześcijańskiego życia. Oczywiście, w orędziu Nowego Testamentu osobisty stosunek jednostki do Boga jest istotny, a nawet najbardziej istotny. Ale przecież całego orędzia nie można redukować do remedium danego człowiekowi na jego metafizyczne niepokoje i jego dramatyczną sytuację prywatną, w której musi podjąć osobistą decyzję. Jest to orędzie skierowane do ludzkości, przynoszące ludzkości nadzieję na wyzwolenie, na zbawienie.

Niestety Orędzie Chrześcijańskie było aż nazbyt często traktowane jako coś w sposób oczywisty prywatnego, jako stosunek tylko i wyłącznie Ty-Ja, stosunek osobowego spotkania.

Życie wiary redukowano do decyzji zapadających w duszy jednostki, bez żadnego związku ze światem. Społeczny wymiar posłannictwa chrześcijańskiego traktowano jako nieistotny, drugorzędny.

I oto co się stało? Stał się możliwy skandal. Tzw. chrześcijańskie życie wewnętrzne stało się tak bezbarwne i niewrażliwe (a może aż tak „wzniosłe”), tak nieczułe, że w równym stopniu nadawało się w praktyce dla ludzi tak dalekich od siebie jak wyzyskiwacze i wyzyskiwani, ciemężyciele i ciemężeni.

Dlatego Marks i jego uczniowie mogli postawić chrześcijanom zarzut radykalnej alienacji, odwodzącej człowieka od obowiązku przekształcania świata.

Tymczasem obowiązkiem przekształcania świata jest dla chrześcijanina nie tylko oczywistym postulatem rozumu, ale też i prawdą wiary. Człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, aby — jak to z naciskiem podkreśla Pismo Św. — panował nad światem. W orędziu chrześcijańskim nie ma ucieczki od

ctwo i bezustanne, za wszelką cenę „podgryzanie” autorytetu rządzących jest obce chrześcijaństwu. Dobro poszczególnych ludzi i dobro całego społeczeństwa wymaga aby ci, którzy społeczeństwem kierują, cieszyli się szacunkiem. Tylko władza rzeczywiście szanowana może wypełnić swoje zadania.

Na tym polega osobliwy dramat chrześcijan i chyba każdego uczciwego człowieka decydującego się na sprzeciw władzy. Pragnie on, aby rządzących darzono prawdziwym szacunkiem, a zarazem jest świadom, że tam, gdzie jest niesprawiedliwość i krzywda, nie może być milczenia, bo milczenie w takim wypadku jest popieraniem niesprawiedliwości. Jego sprzeciw jest zawsze niechętny, nigdy w obliczu zła triumfalny. Na dnie sprzeciwu jest bowiem głęboka troska o społeczny ład i o dobro narodu, która nie pozwala w obliczu zła triumfować.

Sądzę, że pokazową lekcję sprzeciwiania się niesprawiedliwym zarządzeniom i niesprawiedliwym władzom dawał nam wielokrotnie Prymas Polski Kardynał Wyszyński i Polski Episkopat. Oczywiście głos indywidualnych ludzi nie musi pozostawać na tak szerokiej płaszczyźnie — kościelnej i narodowej — na jakiej zazwyczaj pozostaje głos Episkopatu, ale powinno go cechować to samo poważne zatroskanie.

Jeśli sprawujący władzę będą czynili to, co jest ich istotnym zadaniem, będą mianowicie stać na straży dobra wspólnego, które jest tożsame z osobowym doborem indywidualnego człowieka-obywatela, wówczas, okaże się, że Kościół i ludzie pragnący układać swoje życie według zasad Ewangelii, są ich naturalnym sprzymierzeńcem.

Zawsze jednak Kościół i wierzący będą, zresztą powinni być, sprzymierzeńcem trudnym. Nigdy bowiem nie mogą dać się ugłaskać jakimikolwiek obietnicami i nigdy nie mogą pozwolić zamknąć sobie usta nawet największymi przywilejami. Jeśli choć jeden człowiek jest krzywdzony, muszą wołać o sprawiedliwość. Gdyby czynili inaczej, zdradzą Chrystusa.

4. Inny argument straszak brzmi: „nie mieszać się do polityki!”. Jest to straszak i swoisty bicz skręcony zwłaszcza na duchownych i na ludzi pragnących poprzez jak najpełniejsze życie we wspólnocie Kościoła służyć światu.

Mamy tu do czynienia z głębokim nieporozumieniem. Jest polityka... i polityka... i jeszcze inna polityka.

Jeśli bowiem za działanie polityczne uważać będziemy najogólniej wszelkie działania wpływające na kształt życia społecznego, to trzeba będzie odróżnić działania polityczne w najszerszym tego słowa znaczeniu — działania zmierzające do zdobycia i utrzymania władzy poprzez budowę odpowiednich struktur społeczno-politycznych, odwołujące się do prawa stanowionego, od wreszcie działań politycznych w specjalnym sensie — działania służące utrzymaniu władzy przez jakąś grupę, odwołujące się przede wszystkim do siły.

Kościół *par excellence* jest polityczny w najszerszym tego słowa

znaczeniu. Posłannictwo jego polega na głoszeniu zbawienia — ostatecznego wyzwolenia wszystkim ludziom i każdej konkretnej osobie ludzkiej, na przekazywaniu wiary, wartości i nadprzyrodzonych mocy, które poprzez zwycięstwo nad grzechem zniewalające jednostki i społeczeństwa, prowadzą do zbawienia. Taka działalność — dogłębnie i na wskroś religijna — nie jest i nie może być nigdy społecznie obojętna. Więcej — taka działalność — nie mająca za cel budowania struktur politycznych ani ich obalenie — poprzez przypominanie podstawowych wartości, które muszą być uwzględnione w życiu społecznym i poprzez stawianie w obronie pokrzywdzonych, jest i musi być śmiertelnym zagrożeniem dla wszelkiej maści struktur ucisku i dla władzy sprawowanej w sposób niesprawiedliwy.

Inaczej sytuacja wygląda z zaangażowaniem politycznym we właściwym tego słowa znaczeniu. Polityka jako — wypracowanie i wybór technik zdobywania władzy, utrzymywania jej i rządzenia, nie jest płaszczyzną działania Kościoła — nie ogranicza się ona do stania na straży i budowania dobra doczesnego ludzi. Inne ma także Kościół sposoby budowania ludzkiego dobra — nie są nimi odwoływanie się do roli więkkości i do prawa stanowionego, ale apel do sumień ludzkich i dawanie świadectwa miłości i prawdzie. Inne ma także Kościół zadania w stosunku do siebie samego — nie jest nim wypracowywanie techniki i metod działania, choćby najlepszych i najskuteczniejszych, lecz nade wszystko bezustanne oczyszczanie swego głosu w konfrontacji z głosem Chrystusa.

Oczywiście, bywał Kościół w historii związany z rządzeniem i urządzaniem doczesnym ludzi, ustrój Kościoła bywał związany z ustrojami politycznymi. Dzisiaj jednak jasno widzimy niewłaściwość takich powiązań. W tym sensie Kościół w ostatnich czasach odpolitycznił się. Zresztą „odpolitycznienie” Kościoła jest procesem stałym — ciągle w jakimś zakresie miało miejsce, choć może jeszcze nigdy nie na taką skalę.

Jest jeszcze inny rodzaj działań politycznych. Historia zna takie wypadki — nie czuję się w mocy rozstrzygnąć czy i na ile ten wypadek zaistniał w całej rozciągłości w naszym kraju — kiedy to wszystko w danym państwie zostało upolitycznione i to upolitycznione w specjalnym znaczeniu. Wszystko mianowicie i szkoła i nauka i sztuka i kultura i praca i rozrywka i wychowanie i życie rodzinne, a nawet w miarę możliwości religia — zostaje podporządkowane nie dobru osobowemu obywateli i ich rozwojowi, ale utrzymaniu władzy przez jakąś grupę. W takich sytuacjach działalność na wielu odcinkach, działalność realizująca nowe, narzucone cele, z zapominaniem właściwych celów szkoły, wychowania, kultury — staje się działalnością polityczną i to polityczną działalnością noszącą na sobie znamiona nieładu moralnego i degeneracji.

Działalność tego typu „nie opakowana” odpowiednio, byłaby dla zwykłego śmiertelnika zbyt odpychająca i tylko niewielu odważyłoby się przyłożyć do niej swoją rękę. Zwykły śmiertelnik

bowiem uważając, że polityka jest czymś brudnym i niebezpiecznym, boi się jej jak ognia. Dlatego pracuje się nad „opakowaniem”. Zabieg jest dość prosty: trzeba konsekwentnie upolitycznić język, ba sposób myślenia, a w miarę możliwości sięgnąć do sumienia, aby śmiertelnik zatracił poczucie dobra i zła i nie umiał już nazwać rzeczy po imieniu.

I tak oto okazuje się, że dobre jest to, co służy grupie rządzącej. Oczywiście nie mówi się tak brutalnie, mówi się „racja stanu” wymaga, „jedność patriotyczno-moralna” postuluje itd.

I tak oto niespodziewanie okazuje się, że działa politycznie nie ten kto wysprzedaje rządzącej grupie szkołę, kulturę, wychowanie, ale ten kto pragnie aby kultura była po prostu kulturą, szkoła szkołą, a wychowanie wychowaniem. Przecieramy ze zdziwienia oczy, bo oto okazuje się, że duchowny, który współpracuje, a nawet należy do organizacji rozkładających duchowieństwo — nie działa politycznie. Ten natomiast kto staje w obronie prawa do święta dzieci i robotników, prawa do wychowania religijnego — duszpasterz który staje w obronie pokrzywdzonego ucznia — ten wchodzi na niewłaściwą drogę działania politycznego, ten bywa okrzyknięty jako politykier.

Wszystko to jest gorzkie, ale bo też gorzka, jakże gorzka bywa rzeczywistość.

Dopiero po rozróżnieniach można podjąć próbę ustosunkowania się do przestrogi „nie mieszać się do polityki”, nie działać politycznie. Wszystko zależy od treści wkładanej w słowo „polityka”.

Czy chrześcijanin ma unikać działalności politycznej w pierwszym najszerszym słowa znaczeniu? Ależ, byłoby to zaprzeczaniem Dobrej Nowiny, która ma charakter publiczny. Chrześcijanin ma zawsze być świadkiem Absolutu, i świadkiem najwyższych wartości. Powinien on również — jak Chrystus — być przy najbardziej skrzywdzonych, przy bitych i niesprawiedliwie traktowanych.

Czy działać na polu politycznym we właściwym tego słowa znaczeniu? Odpowiedź dla duchownych-duszpasterzy: nie działać. Inne jest zadanie Kościoła inne jest zadanie ludzi, którzy swoich ust i swoich rąk używają Kościołowi.

Odpowiedź dla chrześcijan świeckich — tak, jeśli ktokolwiek czuje się do tego powołany. Byłoby rzeczą godną ubolewania, gdyby wierzący w Boga zostawiali innym tak niezwykle ważną dziedzinę ludzkiego życia, dziedzinę polityki.

Trzeba tu jeszcze dopowiedzieć. W grupach politycznych jest także miejsce dla duszpasterza. Może, a nawet powinien on być tam obecny na podobnych zasadach, na jakich Kościół jest obecny w społecznościach politycznych. Kościół nie utożsamia się z instytucjami politycznymi, ale jest wśród nich jako świadek najwyższych wartości, jako instytucja krytyki, jako ten, kto przynosi nadprzyrodzoną moc ludziom.

I wreszcie, czy można działać politycznie w ostatnim, wyróżnionym sensie? Nigdy. Sytuacja jest jednak niekiedy niezbyt

przejrzysta. Dlatego trzeba nam wystrzegać się przed zbyt pochopnym ferowaniem wyroków. Jasno jednak trzeba powiedzieć, że w wypadku jawnej krzywdy, w wypadku oczywistego fałszu, polityką nie jest podniesienie głosu w obronie, polityką natomiast — niezależnie od tego, czym to się przykrywa i jak nazywa — jest milczenie.

5. Wszystkie wyżej przedstawione zarzuty są dziecinnyim szczeniobiotem wobec ostatniego, który przyjdzie tu omówić. Praktycznie ten zarzut jak paraliż spada na wielu spośród nas.

Zarzut ten brzmi „brak roztropności”. Nic tak człowieka nie boli i przed niczym tak nie ucieka, jak przed piętnem nieroztropnego. Kiedy natomiast doda się o szkodach rujnujących tych, którym się służy, powie się np. „jest to nieroztropne mieszanie się do polityki, które zadaje wielkie szkody Kościołowi i przekreśla życie wielu młodych” — uginają się pod człowiekiem nogi.

a) Drżymy o instytucję. Nie chcemy zadać szkód Kościołowi. Ale przecież uświadamiamy sobie, że w imię dobra instytucji przemykano oczy na wiele zł. Była to katastrofa. Zbyt często Kościół jako instytucja szedł przez historię ramię w ramię z silniejszymi. Trzeba to widzieć. Trzeba także dostrzegać zasadność lęku, jaki jest widoczny u wielu szlachetnych ludzi, nie czujących się jednak wewnątrz kościoła — lęku, że Kościół broni dzisiaj niezbywalnych praw osoby ludzkiej, broni wolności przeciwko tyranii, bo jest słaby. Ale nie bardzo wiadomo, jak zachowa się, kiedy będzie silny.

Trzeba, aby świadomość, że chrześcijanie muszą — takie jest ich powołanie — zawsze opowiadać się za bitymi, zawsze w ich sprawie podnosić głos, trzeba, aby ta świadomość w nas wrosła. Krzyk w obronie — a jeśli trzeba krzyk protestu — czysty krzyk, bezinteresowny krzyk — musi zawsze podnosić się z ust tych, dla których drogą życia jest Chrystus.

„Astronomiczna przezorność”, o jakiej mówi M.L. King, gubi człowieka i gubi Kościół. Zresztą sam Kościół bezustannie mówi, że nie jest celem sam w sobie i bezustannie głosi swoją tymczasowość.

Oczywiście, jeśli roztropność oznacza rozumność — to stokroć tak. I obrona musi być rozumna i protest ma być rozumny.

Ale roztropność oznaczać może niekiedy także tchórzostwo... i wtedy po stokroć nie.

b) Drżymy o ludzi młodych. Słusznie drżymy. Ale ustalmy pewne fakty. Jezus nie był politycznym agitatorom ani rewolucjonistą. Nie dążył do usunięcia władców, nie rozmyślał nad taktyką, nie rozdzielał stanowisk. Starał się o jeden przewrót, o przewrót w sercach. Apelowal do serc i sumień. On, który nie zawie-rzył liczbie, wciągnął w tę „awanturę” młodych ludzi. Doskonale wiedział, czym to grozi. Wszyscy w końcu zginęli. On sam i jego uczniowie zginęli jako przestępcy polityczni, bo ludzie nie rozumiejący religii nie potrafili na cokolwiek popatrzeć w innych kategoriach, poza politycznymi.

Któż z nas, duszpasterzy, wielokrotnie nie drżał? Drżeliśmy zwłaszcza o tych najmłodszych, kiedy dowiadaliśmy się, że nazajutrz po pierwszej bytności w Ośrodku Duszpasterstwa złożą im jacyś panowie wizytę, najpierw proponując, a później grożąc. Drżymy, ale nie ma rady. Chrześcijaństwo jest w jakimś sensie decyzją na przegraną. Doskonale wiadomo, kiedy można otrzymać mieszkanie w pierwszej kolejności, doskonale wie się, kiedy można zarobić tysiąc złotych miesięcznie więcej, doskonale wiadomo, w jakich sytuacjach otrzymuje się stanowisko kierownicze.

Nie ma jednak rady. Bezustannie musimy przypominać, że człowiek, który przekreśla swoje sumienie, przekreśla człowieczeństwo.

Gdyby jednak w ostrzeżeniach kierowanych zwłaszcza pod adresem duszpasterzy zawierała się przestroga przed wciąganiem młodych ludzi na drogę konkretnej już realizacji wielkich wartości — drogę noszącą na sobie znamiona wyboru politycznego, to ostrzeżenie takie trzeba by uważać za słuszne. Nie należy do duszpasterza ani wskazywanie ani wybór dla swoich podopiecznych takiej drogi. Duszpasterstwo winno być zresztą miejscem spotkania wszystkich, szczerze przejętych Ewangelią, choćby szli różnymi drogami.

Inna rzecz, że w momencie, kiedy dzieje się komuś krzywda, to duszpasterz — nawet gdyby w pełni nie popierał wybranych sposobów działania, nawet wtedy, gdyby uważał, że młodych poniosła zbyt młodość — winien stanąć w ich obronie.

Zakończmy pierwszą część tych rozważań słowami Chrystusa: „Coście uczynili najmniejszemu spośród braci, toście mnie uczynili” (Mt. 25, 40).

O. Ludwik M. WIŚNIEWSKI O.P.

TEKA MALARSTWA HALINY SUKIENNICKIEJ

ZAWIERAJĄCA 16 CZARNO-BIAŁYCH i 8 BARWNYCH
LITOGRAFII ROZMIARU 30 x 21 CM. DO NABYCIA
W KSIĘGARNIACH POLSKICH ALBO U AUTORKI:

11 Hartwood Road, London W 12 9NQ, England.
(Polonia Book Fund Ltd.).

TEKST ANGIELSKI.

CENA £ 6, Z PRZESYŁKĄ £ 7.

Wakacje w Sosnowiance (2)

III.

— Do ko-goś-rodzi-ce! Do ko-goś-rodzi-ce przy-jecha-li! — zaśpiewała sześciolatnia Kaśka na własną melodię.

— Do mnie dopiero w niedzielę — westchnął Mirek i ledwo jednym okiem zerknął w stronę czarnej wołgi, która zatrzymała się tuż za furtką. Była środa, wyjątkowo pogodny dzień. Rodzice przyjeżdżali w odwiedziny w niedziele, czasem w soboty, ale zdarzały się wyjątki i bywało, że taki nie zapowiedziany przyjazd czasem aż kilku osób w powszedni dzień nastroczał mi sporo kłopotów, bo trzeba było wydać kilka dodatkowych obiadów, a nie zawsze byłam na to przygotowana. Siedziałam zmęczona w jadalni i czekałam aż się zaparzy kawa, kiedy wkroczyło dwóch tatusiów — jeden wysoki, drugi pękaty, mały.

— Panowie do których dzie... — zapytałam z rozpędu, choć już po pierwszej sylabie chciałam się ugryźć w język: ten wysoki, choć też w cywilu, miał twarz tak mundurową, że nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Uszy z powodzeniem zastępowały mu epolety.

— Do wszystkich, a głównie do obywatelki — odpowiedział bez uśmiechu i wyciągnął legitymację. Zdążyłam przeczytać: Wojewódzka Komenda Milicji Obywatelskiej w Małżyńcu — oraz nazwisko i szarżę: Armiejczyk, porucznik Armiejczyk. Nazwisko też mundurowe. Z kolei wylegitymował mnie przepisując dane z dowodu osobistego i sprawdzając, czy je znam na pamięć.

— Imię matki?

— Bronisława.

— Nazwisko matki z domu?

— Miedza.

— Miedza?... — zapytał tonem niejakiego zdziwienia, wbił

wzrok w mój orli nos, a w oczach pojawił mu się błysk iście rosenbergowskiej podejrzliwości.

— Miedza. Mówię chyba wyraźnie.

— Ile osób na placówce?

— Na jakiej placówce? To mój prywatny dom.

— Nie będziemy się spierać — to jest placówka kolonijna, nielegalna placówka.

Wyciągnęłam zaświadczenie z Kuratorium, które wzięłam sobie na wszelki wypadek, stwierdzające, że mam prawo do goszczenia dzieci na wakacjach, dodałam, że przecież cała prasa jest pełna propagowania takiej formy wypoczynku, że w Świdrze, w Otwoku, Józefowie, Rabce, Pipidówce i paruset innych miejscowościach od lat organizowane są prywatnie tego rodzaju turnusy wakacyjne, zwolnione zresztą od obowiązku rejestracji i od podatku... Wystarczy przed samym sezonem zajrzeć do działu Ogłoszeń Różnych w gazetach, ile tego...

Porucznik Armiejczyk nie słuchał mnie, przesylabizował zaświadczenie i przerywając moje wywody zawyrokował:

— To nie jest Słuszne, my się z tym nie zgadzamy. Ktoś tam jeszcze beknie za to w tym kuratorium. Ile dzieci, pytałem się.

— Dziesięcioro.

— Znaczy dziesięć. Meldowane?

— Tak.

— Nazwiska i adresy proszę — zabębnił palcami w blat stołu, a Mały, milczący przez cały czas jak niemowa i nieruchomy, zawtórował mu swoją pulchną łapką, po czym znów zapadł w bezruch. Podałam listę dzieci, zaczął ją przepisywać, co robił nadspodziewanie biegle, przerywając co jakiś czas, by zadać mi nowe pytanie.

— Ile obywatelka bierze, znaczy się liczy?

— To moja sprawa.

— Czyżby? To się okaże. Więc inaczej: gdybym oddał tu syna na lipiec, to co by mnie to kosztowało?

— Nic, bo bym już nie przyjął.

Popatrzyli na mnie solidnie. Kalikst w Warszawie, byłam sama, Ewelina zajmowała się zabawą z dziećmi zaimprovizowaną z nagła, żeby je utrzymać możliwie daleko od sprawców najsia. Od czasu do czasu zaglądała przez okienko w ścianie, służące do podawania potraw: taki komfortowy pomysł Kaliksta, który w czasie budowy kazał murarzom zostawić dziurę w ścianie. Raz pojawiła się Ewelina z kurczakiem na ramieniu, potem już bez niego: musiała go gdzieś zamelinować, aby nie ponosić odpowiedzialności przed Władzą za jego niekarne sprawowanie. Czułam z każdą chwilą jak moja autonomia się kurczy i — chyba dla

podreperowania i podkreślenia mojej osobistej niezależności — poprosiłam Ewelinę o kawę, która z pewnością zdążyła nie tylko zapatrzeć się, ale i ostygnąć.

— Ale ogłoszenie do „Głosu Stolicy” obywatelka dała? — zauważył porucznik Armiejczyk po chwili złowróżbnego milczenia.

— Dałam. Przeszło przez cenzurę i zostało wydrukowane, dzieci zgłosiły się, mam komplet, to wszystko. O co panu właściwie chodzi? To przesłuchanie? — popijałam chłodną kawę bez zapału, bo Armiejczyk zdążył mi już zastąpić sporą dawkę kofeiny.

Duży popatrzył po raz pierwszy na Małego i to znacząco, a potem obaj — na mnie, jak by spoza niewidzialnej bariery, którą niejako otoczyła mnie samotna kawa, zgodnie z moim zamiarem i intencją.

— Ale nas obywatelka traktuje! Jak intruzów — wycodził Duży, a Mały przyłączył się do tej opinii za pomocą kiwania głową.

— Nie jesteście panowie moimi gośćmi — potwierdziłam z łagodnością w głosie, która mnie dużo kosztowała.

W tym momencie Armiejczyk wydał Małemu niemy rozkaz, wydawało mi się, że tylko kategorię spojrzeniem, ale nie wiem, może go kopnął pod stołem? Mały ocknął się gwałtownie i przystąpił do akcji, oświadczając, że jest funkcjonariuszem Sanepidu, to znaczy Kontrolerem Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Małyńcu. I przystępuje oto do działania czyli kontroli.

Odsunęłam niedopitą kawę, aby zauważyć, że nie ma żadnych uprawnień do przeprowadzania kontroli w moim prywatnym domu.

— O, to pani nie zna przepisów.

— Proszę mi je w takim razie przedstawić.

Wyjął jakąś książeczkę, pewno służbową, i zalecił niezwłoczną lekturę. Czytałam, że ma on prawo do kontroli „sanepidialnej” w Zakładach Zbiorowego Żywienia, a więc w restauracjach, barach, kawiarniach, stołówkach, jadalniach i tak dalej. Fragment ten wyrecytowałam nabożnie dla potwierdzenia mojej racji. I jeszcze dalszy kawałek: ma również prawo do kontroli w mieszkaniach prywatnych „w wypadku wykrycia choroby zakaźnej”.

— No i widzi pan — powiedziałam, oddając książeczkę i powściągając uczucie triumfu.

— Nic nie widzę — oświadczył Mały i wstał; Duży też podniósł się z krzesła. — Nic nie widzę. Jest aktualne badanie lekarskie? Nie ma? To skąd pani wie, że nie ma jakiej infekcji? Skądże to można wiedzieć? — wpatrzył się we mnie groźnie, jak by już przez mikroskop swojej duszy dostrzegł w moim wnętrzu

lub w jego pobliżu przyczajone do skoku bakcyle dżumy, cholery i zakażki siedmiu plag egipskich.

— Mamy też żółticia... — wtrąciła krztusząc się Ewelina, którą nieuleczalnie rozśmieszała cała ta absurdałna scena. — Może by go pan zbadał? Podejrzewam u niego wściekliznę, bo od rana galopuje po całym domu...

— Tylko proszę bez kpin! — ostro przerwał Armiejczyk. — To wcale nie jest pora na żarty.

— To nie pora na kpiny — uzupełnił Mały.

— Przecież pan też chyba żartował? — zwróciłam się do Wykrywacza Epidemii.

— Proszę fartuch — powiedział tonem nie znośącym sprzeciwu.

— Fartuch?

— Tak, biały fartuch. Idę do kuchni.

Skapitulowałam, przyznając się do słabości. Obaj podeszli do drzwi z tak raptownie wyzwoloną energią, że cofnęłam się w obawie przed stratowaniem. Z kuchennego okienka w ścianie wychyliła się Ewelina, która całą swoją uwagę dzieliła między dzieci a czuwanie nade mną: zniknęła i pojawiała się znowu we właściwej chwili. W wyciągniętej ręce trzymała kremowy damski fartuszek.

— Nie taki. Mówiłem: biały.

— Nie ma białego — uśmiechnęła się w okienku, jak spierkerka na ekranie kolorowego telewizora. — A może w kwiatki byłoby panu do twarzy?

Wspominam dzisiaj te żarciki Eweliny z rozczuleniem. Były to jeszcze dni, kiedy wydawało nam się że żartem można odeprzeć i unieszkodliwić wybryki Urzędu — nawet bez odwoływania się aż do prawa, które przecież w ostatecznym rozrachunku i tak rozstrzygnie. Nie uświadamiałam sobie jeszcze wówczas jednej z prawd elementarnych: Władza nie lubi żartów, Władza jest śmiertelnie poważna, dowcip, który ośmiela się wyjść naprzeciw Władzy, jest przez nią traktowany jako zamach na powagę Władzy, uśmiech jest podejrzany o lekceważenie Władzy, nie mówiąc już o anegdotykach, których kanał białomorski oduczył się śmiać. Bo Władza jest delikatna i wrażliwa: nie znośąc ostrych przypraw, popiera subtelne łaskotanie połączone z potakiwaniem. Tu jest właśnie źródło bujnego rozwoju rozrywki i humorku w naszym kraju. Ale dość dociekań o Naturze Zjawisk Nienaturalnych.

Mały męczył się, krążąc po kuchni i przyłogociach, szukał kurzu, brudu, odpadków, szperał i gmerał, a przemożne pragnienie uwięczenia tych trudów choćby jakąś płachetką pajęczyny czy spleśniałą kromką — dodawało mu sił. Nic z tego; nawet

chytne muskanie lodówki opuszkami palców nie przyniosło pożądanych wyników. Przyznać muszę, że miałam też łut szczęścia: na szczycie kredensu mogło być trochę kurzu, ale to było dla Małego za wysoko, a Duży pomagał mu tylko swoją asystą budzącą respekt. I jeszcze jedno: w lodówce nie było właśnie prawie nic prócz sera i mleka; Nochal miał dopiero po południu dostarczyć nową porcję nieosiągalnej nigdzie cieleniny.

— Gdzie pani nabywa produkty żywnościowe? — spytał Mały.

— W sklepach uspołecznionych — wyjaśniłam, nie zająknąwszy się, co musiał przyjąć do wiadomości, choć przecież wiedział nie gorzej niż ja, że w tutejszych sklepach spożywczych od dawien dawna chwilowo nie ma prawie nie prócz wódki, lizaków i przeterminowanych filetów mrożonych z halibuta.

Po inspekcji kuchni i spiżarni Mały powrócił do jadalni, zasiadł przy stole i rozpoczął spisywanie protokołu. Trwało to długo, wymagało z pewnością dużego wysiłku intelektualnego. Zapadła cisza, brzęczała mucha. Za oknem przebiegła wiewiórka po konarze sosny, czasem rozlegał się wesoły wrzask dzieci wraz z tętentem dwadzieściorga nówek i przycichał po drugiej stronie domu. Aż nagle z bliska, chyba z hallu, rozległ się przepity głos:

— Szanowanie pani! Przyszłem.

Struchlałam. Nie odwróciłam się nawet w stronę drzwi, z determinacją oczekując zjawienia się krwistej gęby Nochala pod nigdy nie zdejmowanym kaszkietem — jak ciosu nożem w plecy, ciosu, przed którym nie ma już ucieczki ani obrony. Ale — o dziwo: słowo nie stało się ciałem, kroki w jakimś beładnym tupaniu oddaliły się i wszystko prócz muchy ucichło. Wróciłam do siebie. Duży taksował wzrokiem meble i żyrandol, Mały najwyraźniej już finiszował, bo nagle rozpędzony długopis w jego pulchnej łapce zwiastował, że oto zawijas jego podpisu wieńczy dzieło. Obejrzawszy je, wręczył mi papier do podpisania. Oto autentyczne fragmenty, które utrwalam dla współczesnych i potomności:

Brak kart zdrowia personelu,
Brak wykazu zawartości kalorycznej posiłków,
Brak próbek pokarmów z 48 godzin,
Brak jadłospisu zatwierdzonego przez władze,
Brak przygotowanej wstępnej,
Brak wyparzacza elektrycznego do naczyń,
Brak drugiego okienka z kuchni do stołówki,
Brak stanowiska roboczego do drobienia jarzyn i owoców.

Protokół zawierał przestrożę, że uzupełnienie owych wylizanych w dwudziestukilku punktach niedopuszczalnych braków

i usunięcie niedociągnięć musi nastąpić w takim to a takim nieprzekraczalnym terminie (był to termin kilkudniowy), w przeciwnym bowiem razie kuchnia zostanie zaplombowana. Odmówiłam podpisania protokołu. Mogłam wyjaśnić motywy odmowy: w protokole nie uwzględniono najważniejszych braków. Powinno być: brak stołówki, brak personelu, brak podstaw do kontroli. Na razie w protokole jest tylko brak sensu. Miałam to na końcu języka, ale odmówiłam podpisu bez żadnych wyjaśnień, nie chciałam zaognić, załatwię to inaczej i gdzie indziej, na razie — siła przed prawem jest jeszcze, idea Racji Stanu stłumiła we mnie Ideę Prawdy w oczy. Mimo warknięcia, jakim odpowiedział na moją odmowę, mimo, całego najścia, czułam się potencjalną panią sytuacji. Przecież absurd tej kontroli był objawem jawnego nadużycia władzy, zła wola nie ulegała wątpliwości. Trudno, będę musiała jechać do Warszawy i tam zażądać interwencji w sprawie Mafii Wojewódzkiej, czy Gminnej. Pójdzie im w piętę.

— Żegnam panów — powiedziałam z gestem serdecznie wyprasającym. I dopiero odeszli. Ja też, zaraz w ślad za nimi wyszłam przed dom, żeby odetchnąć po tym wszystkim.

Dwie huśtawki wisiały bez drgnięcia. Tylko jedna z nich, ta trzecia, chwiała się lekko i lśniła płamami smoły, a z łańcuchów skapywały całe jej sople.

— To Mańka, proszę pani! To Mańka! — zawołały dzieci na mój widok. Uwierzyłam. Mańka była trudna, może najtrudniejsza, ale od pierwszej niemal chwili poczułam do niej sympatię — mimo wszystko. Jej matka uprzedzała mnie ze zniechęceniem w głosie, że nieposłuszna, że złośliwa i uparta. Prędko przekonałam się, że te — i podobne — epitety i opinie o sobie Mańka znała na pamięć, że uwierzyła w nie i starała się im sprostać. Nawet bezosobowy los rzucał na nią cień, jak w sprawie śmierci kurczaka, której przecież nie zawiniła. Płuła prowokacyjnie na stół pestkami z kompotu, nie odpowiadała na pytania, z głęboką satysfakcją łamała kredki Moniki. Okazało się, że zbyt długo czekała na huśtawkę, więc postanowiła upaść ją smolą znaną w szopie. Teraz już nikt się nie pohuści.

— Ale i ty też nie, Maniu — zauważyłam.

— To co? — odburknęła wydymając buzię. Najwidoczniej satysfakcja płynąca z faktu, że uniemożliwiła zabawę innym, wynagrodziła jej z nawiązką złą stronę sytuacji, zastąpiła całkowicie przyjemność huśtania się. Jak się to wszystko stało? Ewelina po prostu przeoczyła tę sprawkę, nic dziwnego, i tak dwoiła się i troiła.

Zdaje sobie sprawę, że moja historia, którą tu opisuję, nie jest ani nadzwyczajna, ani mroźna krew w żyłach. Nie ma w niej

Mokrej Roboty, od jakiej w szczególnych okolicznościach nie uchyla się Ramię Słuszności, wydaje się śmiesznie błaha na efektownym tle wydarzeń choćby ostatniego dwulecia. Sądzę jednak, że warto ją utrwalić, jest to bowiem mała grządka naszej powszedniej gleby, zasilanej sztucznymi nawozami Postępowych Nadużyć, Racjonalnej Dyskryminacji, Słusznego Bezprawia. Na tej to pożywce właśnie wyrastają od czasu do czasu nasze polskie miesiące — październiki, nadmorskie grudnie, radomskie i ursuskie czerwce. Historia wakacji dla dzieci jest tylko osobliwym, drobnym przyczynkiem, marginalnym obrazkiem rodzajowym z gatunku tych rzadko dostrzeganych szerzej detali naszej Wielkiej Epoki. Zapewne znaleźć by można więcej podobnych i nie podobnych spraw, nieprzebrane mnóstwo, ale ja nie mam wyboru — opisuję wiernie tylko to, co stało się moim udziałem, nie doznając pokusy koloryzowania czy mnożenia efektów. Niechaj fałsze i nadużycia, od których się aż roi w tej opowieści, pozostaną dziełem wyłącznie jej Miarodajnych Bohaterów, nie moim.

Po tej koniecznej dygresji powracam do Sosnowianki. Po wizycie Służbowych Włamywaczy nie miałam nawet siły, żeby krzyknąć na Mańkę, zresztą wiedziałam już dobrze, że z Mańką trzeba inaczej. Tymczasem dzieci, straciwszy zapał do huśtawek, nie tylko do usmolonej, zajmowały się grą w piłkę. Daleko za siatką ogrodzenia, po tamtej stronie drogi, migiała co chwila między pniami sosen rosta postać Bałdygi, miejscowego kaprała MO, który właśnie odgrywał służbowo pantomimę pod tytułem Grzybobranie. Schylał się po urojone grzyby, przystawał za pniami urzeczony widokiem Sosnowianki. Niestety, w czasie, kiedy kwaterował u nas Schizofranio, nie był taki służbisty, siedział z pewnością, jak zazwyczaj, w pijackiej melinie starej Korpychowej, chlał wodę, za którą płacił językiem za zębami, zagryzał darmową cielęciną od Nochala, który rekompensował sobie te ubytki towaru, doliczając do każdego płatnego kilograma po kilka złotych. I tak miał nabywców, a kiedy wiozł na ramie roweru zakrawiony worek z mięsem, miał spokojną głowę, że Bałdyga będzie patrzeć w drugą stronę, choćby na uroki krajobrazu, jak by już nie było na co. Od Korpychowej zwykł był wychodzić późno i wtedy każda, nawet najgrubsza sosna wchodziła mu w drogę. Dziś krążył przytomnie, nic nim nie zachwiewało: musieli ogłosić Stan Wyjątkowy.

Spod daszka dłoni przyglądałam się demonstracyjnie pantomimie kaprała Bałdygi. Widać mnie zauważył, bo pojawiał się coraz dalej i dalej, aż znikł na dobre. Jeszcze coś zsunęło w zaroślach, ale to już była wiewiórka. Przyszła Ewelina i okazało się, że to ona, dzięki swej czujności i błyskawicznemu refleksowi, zdążyła przyhamować Nochala w hallu, zawrócić go i ostrzec,

że milicja w domu. Jeszcze tylko zapytał w popłochu: czy miejscowa — i czmychnął. Zamiejscowa to przecież znaczy — nie zblatowana, więc ratuj się człowieku razem z cielęciną.

— Co to za afera? — spytała Ewelina.

Ba, żeby to ja wiedziała. Ledwo odkleiłam się w Warszawie od Dzentelmana, a już wpadłam w coś znacznie bardziej śmierdzącego, bo na Zadupiu, i wcale nie wiem, co za kacyk podrzucił mi świnię, i jakiej wagi ta świnią. Może miejscowy komendant upatrzył sobie nasz leśny domek na prywatną kwaterę? Podobno dopytywał się nie tak dawno w Gajówce, czy pan Borowiecki nie wynająłby domu, a może by i sprzedał? Zmarkotniał, kiedy się dowiedział, że na razie ani to, ani tamto. Swoją drogą dobre to były czasy, kiedy włamywacze nasi byli po prostu włamywaczami, kiedy skradali się po ciemku, zatajając oddech, korzystając z braku żywego ducha w domu, kiedy musieli ostrożnie wybijać szybę w oknie — wszyscy oprócz Schizofrania, ale on ma wariackie papiery, a jego Opiekunowie, którzy go przywieźli tu samochodem, też musieli się mieć na baczności. I wystarczało światło w oknie, aby nikt oprócz ciem i chrabąszczy nie odważył się na wtargnięcie do naszej Sosnowianki.

Dziś włąza w Majestacie Władzy, glejtu skuteczniejszego niż Wariackie Papiery. Już nie obawiają się księżycowych nocy, nachodzą w samo południe. Do czasu — pocieszałam się. Będą mieli nauczkę, jutro jadę do Warszawy. Ewelina zatelefonowała ze stacji — jutro wróci do pomocy w gospodarowaniu pani Marcysia. Kochana Ewelina zdołała sama jedna opanować całą jakże złożoną sytuację w czasie wizyty nieproszonych gości. Nawet obiad przygotowała dla wszystkich! Miałam właśnie nakrywać do stołu — do stołu pod gołym niebem, przeznaczonego na pogodne dni — kiedy nagle dopadł mnie pobladły Sławek. Podbiegł z wytrzeszczonymi oczami i zdyszany głosem wyjął:

— Psze-pani! Psze-pani! Tam. Z krzaków. Wylazł facet. Z workiem. I się pyta. Czy milicja. Już poszła! Pewno złodziej!

Obejrzałam się. Zza kępy jałowców wychylał się Nochal. Bez kaszketu, z igliwem we włosach rozglądał się strachliwie i wskazując kciukiem dom, pytał na migi, czy może się już zdekonspirować. Przytaknęłam. Będzie miała Ewelina z panią Marcysią z czego robić obiady przez kilka dni. Jutro jadę do Warszawy.

IV.

Swój krótki pobyt w stolicy postanowiłam poświęcić na możliwie jak najszybsze załatwienie skutecznych interwencji, chciałam przytrzasnąć intruzom nos w drzwiach. Nie miałam żadnego doś-

wiadczenia w takich sprawach, nie bardzo wiedziałam, do kogo się zwracać o pomoc. Była niezbędna i pilna, więc — odrzucając wszelkie zastrzeżenia i opory wewnętrzne — gotowa byłam w razie potrzeby zstępować do wszelkich piekieł i paktować z każdym władcą czeluści, byle tylko dopiąć swego. Moje przykrości, kłopoty i powikłania były doprawdy niczym w porównaniu z ciosami, jakie np. spadały na robotników Radomia, czy nawet z tym, co spotykało świetną aktorkę, Grażynę Błażejską, bo różniły się one od tamtych spraw, jak — nie przymierzając — piegi od czarnej ospy. A jednak wydawało mi się, że mimo wszystko, mimo działania w brudnych rękawiczkach, mimo fabrykowania tandetnych pozorów legalności przez moich napastników, afera w Sosnowiance jest czymś nowym. Uderzenia są bowiem wymierzone celnie we mnie, więc w kogoś nie wciągniętego na żadne listy proskrypcyjne, no i przy okazji! I choć pociski rykoszetem biją i w Kaliksta, to jednak mnie właśnie pozbawiają resztek praw, powszechnie przysługujących innym.

To prawda: do mieszkania Błażejskiej (nie tylko do niej!) wtargnęła killkunastoosobowa grupa Funkcjonariuszy w cywilu, przedstawiających się jako delegacja robotników Ursusa, i grożących jej pobiciem i obrzuceniem na scenie zgniłymi jajkami. To prawda: potajemnie psuli jej samochód, zatrzymywali jako podejrzaną o kradzież kożucha, przysyłali w świątecznym upominku bombonierkę pełną zgniłych śledzi itp. Jednakże atakowali ją bezpośrednio, ukradkiem obrzucali wszelkim święstwem jako tę, która ich Słusznym zdaniem zasłużyła swoją postawą i aktywnością na zmieszanie z błotem, albo i na coś więcej. Ale ja? Myślałam, że trzeba mi będzie dopiero zasłużyć sobie na nielekki zaszczyt prześladowań, a tu już. Jedynym wytłumaczeniem, jak mi podpowiadał rozsądek, może być to, że w moim przypadku działa samowolnie najniższa grzęda Władzy, że to jakiś miejscowy kurczak, siedzący na tej grzędzie, próbuje udawać Orła Białego i swoje Kukuryku wmawia nam jako Hymn Państwowy.

Pojechałam do klubu Związku Pisarzy licząc na to, że mimo urlopowej pory spotkam w tamtejszej kawiarni znajomych, którzy poradzą mi, co robić. Było kilku przyjaciół uwieczonych działaczy KOR'u, którzy mimo własnych kłopotów okazali mi wiele życzliwości, a jeden z nich wyraził przypuszczenie, że sprawa „brzydko pachnie”, ale że oczywiście nie można tego tak zostawić. Napiłam się kawy (jeszcze wtedy była kawa) i znalazł się uczynny pan Tomasz, z którym — za jego radą — pojechałam do „Głosu Stolicy”, pisma uchodzącego od pewnego czasu w powszechnej opinii za nieoficjalny organ Resortu Posłuszeństwa. Trudno, to będzie pierwszy krąg piekła. Moje obecne kłopoty

były nieprzewidzianym skutkiem ogłoszenia właśnie w tej gazecie; może Dział Interwencyjny redakcji tego samego dziennika zażegna je teraz? Pan Tomasz, którego znałam powierzchownie od dość dawna, obracał się w kręgach literacko-dziennikarskich — zwłaszcza w tych ostatnich. Wyznawał zasadę, która — jeśli go nie krzywdzę, czego bym nie chciała, bo jestem mu winna wdzięczność — sprowadzała się do tego, żeby żyć, w miarę możliwości, godnie i wygodnie, co bywa raczej trudne do pogodzenia. W każdym razie dla równowagi nie gardził towarzystwem zarówno bardzo źle widzianym przez Czynniki, jak i widzianym najlepiej. Właśnie taki najlepiej widziany redaktor, który wstawiał się właśnie na łamach „Głosu” publikacjami aż wielkimi w swej nikczemności, atakami na KOR — był długoletnim przyjacielem pana Tomasza i miał nam służyć protekcją. Zanonsował nasze przybycie i poparł sprawę wobec Radcy-Redaktora, szefa Działu Interwencji. Ten, wysłuchawszy mojej skrótkowo potraktowanej skargi, zrobił minę zwiastującą burzę, której pioruny niechybnie ugodzą kogo trzeba w Województwie. O, nie, powiedział, tego nie puścimy płazem, nie będą małżynieckie władze wprowadzać prawa dżungli, nawet, jeśli pani domek stoi w lesie! Natychmiast zamówił błyskawiczną rozmowę z Radą Narodową w Małżyńcu, w której gmachu mieści się Komenda MO. Tak, to była rozmowa nie tylko błyskawiczna (połączenie było po paru minutach), ale i błyskawicowa: potraktował rozmówców ostro i z góry, nie szczędząc im ani gróźb, ani gromów.

— To komendant MO? — pytał. — Czy wam, towarzyszu, wiadomo o tym, co wyrabiają wasi funkcjonariusze? — Jak to? — O najściu na prywatny dom pani Borowieckiej w Zagórz. — Nie? — Ciekawe, to warto, żebyście się zainteresowali wybrykami waszych ludzi. — To było wczoraj. — Nic nie wiecie? — Traktują czyjś dom, jak własny śmietnik, a pedagoga, który przyjął dzieci na wakacje, jak jakiegoś przestępcę! — Co to wszystko znaczy? Co? — Funkcjonariusze robią wypadki na własną rękę? — Zajmijcie się tym, towarzyszu, nie wątpię, że wyciągniecie odpowiednie konsekwencje wobec winnych. — To nie jest błahy incydent, samowolne nadużycie władzy. — Nas to interesuje, będę chciał dowiedzieć się, jak to zostało załatwione...

Nie słyszałam naturalnie drugiej strony, ale ze słów Radcy-Redaktora wynikało, że komendant w Małżyńcu tłumaczył się tym, że o niczym nie wie. Otucha wstępowała we mnie, czułam, że Sosnowianka uchroni się od niewdzięcznej roli przysłowiowego kaczego kupra. Ale na tym nie koniec. Za chwilę już Radca-Redaktor ochrzaniał następnego rozmówcę — szefa wojewódzkiego Sanepidu:

— Co? Macie wątpliwości co do moich zastrzeżeń? To nie są zastrzeżenia, to zasługuje na napiętowanie... — Obowiązki służbowe? — Służba Sanepidu pod eskortą milicji? Co to ma wspólnego z przepisami?! — No, „Głos” wysła reporterów w wasz teren — okaże się, co się u was dzieje, jaki jest stan sanitarny tam, gdzie warto by o niego zadbać! I jak naprawdę wygląda wasza operatywność!

Redaktor autentycznie się zadyszał, oburzenie jego było najprawdziwsze. To się nazywa — podchodzić do bolączek z sercem. Zapowiadając, że trzeba będzie utrzyć nosa temu i owemu w Województwie, przyobiecał aktywną pamięć o sprawie. Podziękowałam bardzo, ale nie poprzestałam na tym.

Im więcej nacisnę guzików alarmowych, tym lepiej. Naskrobałam parę skarg, kilka podań. Pobiegałam do Ministerstwa Ochrony Zdrowotności. Tam też nie udałam się sama, towarzyszyła mi Nina, której kolega pracuje tam w Wydziale Epidemiologii. Tu już nie było hałasu ani krzyku. Krótko mówiłam, o co chodzi, wręczyłam skargę na piśmie, a potem pokazałam odpis protokołu wojewódzkiego Sanepidu. Czytali i zdawało mi się, że nie dowierzają własnym oczom. Na poczekaniu nic mi nie mogli oczywiście odpowiedzieć, to wymaga formalnego rozpatrzenia, ale ich gesty, uśmieški i jednoznaczne półsłówka dawały mi rzecz najważniejszą: pewność poparcia z ich strony i opuściłam Ministerstwo jeszcze bardziej niż przedtem podniesiona na duchu.

Podobnie przebiegała moja rozmowa w Kuratorium, tak że potem nawet znajomy radca Dropiński, stary cywilista, nie był w stanie pozbawić mnie otuchy gorzkim stwierdzeniem: „Trzydzieści lat pracuję w tym niewdzięcznym fachu i muszę pani powiedzieć — a robię to tylko po to, żeby nie miała pani szkodliwych złudzeń — że w tym zdeprawowanym Prawie mogą być i są przepisy, które panią chronią, ale co z tego? Jeśli wda się w sprawę Władza i jeśli jeszcze — nie daj Bóg — nada byle czemu lub niczemu zgoda zapaszek polityczny, nic pani nie obroni. Nic, oprócz — w szczególnych wypadkach — najwyższej protekcji, ale to jest cud, działa jak dezodorant, zapaszek polityczny znika i jest po wszystkim. Wszystko i każdego można zniszczyć wbrew prawu. Tego można sobie nie uznawać i należy potępić, ale to trzeba wiedzieć”.

Wysłuchałam, uznając tę ponurą prawdę, ale przecież miałam już za sobą wpływowego Redaktora z „Głosu Stolicy”, Resort Ochrony Zdrowia, Kuratorium — więc chyba nawet braku Słuszności trudno by mi było odmówić przy takim poparciu. Kalikst był w Warszawie i razem wybraliśmy się do miasta na obiad, bo i apetyt powrócił dzięki życzliwości Resortów. Przed wyj-

ciem zatelefonowaliśmy do Zagórza, że wracam jutro; dowiedziałam się, że wszystko w porządku, że jest cisza. To też mi ogromnie ulżyło, uznałam ją za ciszę po burzy. Ewelina była w dobrym humorze i zapewniała mnie, że żółw czuwa w swojej warowni, aby w razie potrzeby skoczyć napastnikom do gardła, ale się chyba obejdzie.

Przyjechaliśmy do domu po obiedzie, było już dosyć późno, i zaraz zadzwonił telefon. Matka Mańki pytała, czy może przyjść, dzwoniła już podobno od godziny. Przyszła zdenerwowana i najpierw upewniła się, czy wszystko w Sosnowiance w porządku i czy jej córeczka zdrowa. Nawet nie spytała — czy grzeczna. Kiedy uspokoiłam ją, że Mańce się dobrze powodzi, porwała z tapczanu poduszkę, przykryła nią aparat telefoniczny w obawie, czy aby nie ma w nim Ucha i opowiedziała o wczorajszych wieczornych Gościach. Było ich dwóch, w cywilu. Przedstawili się milicyjnymi legitymacjami i jeden spytał: „Czy pani córka przebywa na koloniach w Zagórze?”. Zanim odpowiedziała, wyobraziła sobie na raz różne rzeczy: bardzo głęboką wodę na Bugu, drogę rozpędnioną samochodami... „Co się stało?!”, wykrzyknęła. Uspokoił ją, że nic, tylko ma zaraz napisać oświadczenie dla Gości, w którym stwierdzi, ile dolarów wpłaciła obywatelce Borowieckiej za pobyt dziecka na koloniach. — Dolarów? — dziwiła się. — Chyba złotych? — A złotych? — zapytali. — No, pewnie. — To proszę pisać, ale prawdę: za tyle i tyle czasu, czy dni, czy tygodni — tyle a tyle. Napisała i poszła. I teraz widziałam w jej oczach niepokój — już chyba nie tylko o córeczkę, ale o mnie, a może tylko podejrzliwą wątpliwość co do czystości moich rąk? Nie znałam jej prawie, może i mogłabym jej zaufać, ale wolałam odpowiedzieć, że sama nie wiem, że może ktoś złożył fałszywy donos i stąd ten wywiad. Pani wie jak to jest? Wiedziała.

Krąg osaczenia, jak się okazało, chociaż ciasny, sięgał swoim obwodem znacznie szerzej niż myślałam. Więc już i Warszawa jest w to jakoś wciągnięta! A może rodzice Mańki mają jakieś dewizowe interesy i to tłumaczyłoby owo najście i dziwne dolarowe pytania? Przypomniłam sobie, jak mała opowiedziała mi, że kiedy dwóch panów wychodziło z Sosnowianki, jeden, ten wyższy, zaczął ją przy furtce z dobrotliwym uśmiešką i zapytał: Czym się zajmują, córeczko, twój rodzice? — I co odpowiedziałaś? — Ze mną.

Może zależało im na poszerzeniu tej jednosylabowej informacji? A to, że do jej matki trafili? Przecież Armiejszyk zapisał sobie wszystkie nazwiska i adresy moich wychowanków. Starałam się za wszelką cenę znaleźć jakiś klucz czy wytrych, który by otwierał nie moje drzwi, ale Kalikst stwierdził, że mu to

wszystko coraz bardziej śmierdzi i że rozpoznaje znany mu skądinąd Odor Sanctitatis, a wobec tego czy nie warto by pomyśleć o odwróceniu?

Oburzyłam się: Kalikst i kapitulacja! — Pamiętaj, że to już nie o nas chodzi, ale o dzieci! Dzieci! — odpowiedział. Pamiętałam, ale walka nie była jeszcze ukończona, dopiero co podjęłam kontrakcję, wyniki są w drodze... Byłam zmęczona, nawet bardzo. Odczuwałam to tylko w antraktach między jedną bieżącą a drugą, w rzadkich przerwach na złapanie oddechu; właśnie teraz czułam jak się pruje i opada gorset, który mnie tak długo usztywniał i utrzymywał w pozycji pionowej. W sąsiednim pokoju coś ćwierkało już od dobrej chwili — jak świerszcz. Kalikst odkrył, że to telefon dzwoni, telefon przykryty poduszką. Dzwonił ojciec Mirka, chciał się umówić na jutrzejsze popołudnie. Niestety — rano wyjeżdżam do Zagórza, więc — może tam. Powiedział, że przyjedzie w sobotę, nie mówił, o co mu chodzi. Pewno chce dostarczyć malcowi upragnioną i z dawna obiecywaną pepeszę z plastiku — wbrew moim antymilitarystycznym zasadom. Już od dawna Mirek wiercił wszystkim dziury w brzuchach w tej sprawie, usprawiedliwiając się, że broń mu jest potrzebna nie do celów agresywnych, ale wyłącznie w obronie pokoju.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy — z licznymi przystankami po drodze. Mieliśmy kupić trochę zapasów żywnościowych, ale nic z tego nie wyszło: przed sklepami nie było kolejek, ale w sklepach nie było nic, więc tylko kupiłam trochę owoców, bo z tym w Zagórzu jest bardzo kiepsko. Dojechaliśmy wcześniej, szosy były pustawe, można było jechać miejscami prawie setką. Ale Władza okazała się rychliwsza, wyprzedziła nas. I kiedy Ewelina po powitalnych uściskach wręczyła mi bez słowa niebieską kopertę, przyjełam ją bez trwogi: wiedziałam, że wczorajsze alarmy jeszcze nie mogły zadziałać, za wcześniej — więc jakaś znów władza wygłupiła się nie w porę, nic nie przeczuwając, jak ów pan z anegdoty, który siusiał za dorożką i nie zauważył, że dorożka tymczasem odjechała.

Dzieci rzuciły się w naszą stronę na powitanie i musiałam lekturę odłożyć na później. Ewka też podbiegła z innymi i widziałam, że było jej przykro: powitaliśmy ją na równi z kolegami i kolegami, bez nadprogramowych rodzicielskich serdeczności, które odłożyliśmy na mniej publiczną okazję. Mnie też było przykro, że je tak zostawiłam — to prawda, że nie na pastwę losu, lecz pod najlepszą opieką Eweliny, ale zawsze. Miałam nadzieję, że to nasze ostatnie rozstanie aż do chwili, kiedy miesiąc dobiegnie końca i przyjdzie chwila zbiorowego pożegnania — tuż przed dniem zbiorowego powitania następnej dziesiątki, która się zjawi pierwszego. Jeszcze do niedawna trójka

dzieci z melancholią rachowała liczne jeszcze dni do końca turnusu, licząc na to, że mama się zlituje i w którąś, najlepiej w najbliższą, sobotę zabierze do domu. Inne tak się już przyswoiły, że przebąkiwały czasem, czy nie można by zostać tu dłużej — „na przykład dużo dłużej — aż do końca lata”. I teraz ja, tak nie dawno chytrze walcząca przeciw objawom ich nostalgii, musiałam używać całkiem odmiennych a przewrotnych argumentów, aby pogodziły się z myślą, że trzeba będzie odjechać: przekonywanie, że mamusie i tatusiowie już się nie mogą ich doczekać, ale na pewno przywiozą je do Sosnowianki na przyszły rok — bywało w miarę skuteczne. Nawet owa najbardziej osobna trójka porzuciła już swoje kwękania i bardzo nie lubiła, kiedy ktoś im to wypominał. Tylko Sławka do końca nie zdołałam ustrzec od mnóstwa urojonych chorób. Ewelina musiała co dzień dawać mu zbawienne lekarstwa, którym wymyślała nazwy, co było bardzo ważne, i działanie — były to zazwyczaj kropelki wody z sokiem, uśmierzające wszelkie cierpienia.

Młody Pasiejko, jak co dzień przyniósł bańki z mlekiem, odstawił je pod ścianę domu i podrygując na krótkich nogach został, żeby — jak to miał w zwyczaju — „pobyć” trochę. Był łagodny, uśmiechnięty zagadkowym uśmiechem kretyna i życzliwy dla świata. Fortuna uśmiechnęła się do niego, zabierając mu na zawsze sprzed nosa twardą ojcowską pięść i uprzając mu z drogi gderliwe sknerstwo babki. Czasami się za ich dusze przeżegnał — bywało, że lewą ręką — z miną pełną dziękczynienia Bogu za tę ich przeprowadzkę na tamten świat. Nie mogłam go wyganiać, choć na jego widok dzieci lekko przyglądały mu się z jak najbardziej daleka. Zapalał sporta i podpatrzonym gdzieś gestem pocierał sobie pozbawiony zarostu podbródek.

Kiedy tak stał, do ogrodzenia zbliżyli się dwaj zagórzańscy milicjanci — Bałdyga i jeszcze jakiś wężyciel. Pasiejko powoli wyruszył im na spotkanie, szedł jak czołg, depcząc po drodze młode jałowce, niósł na swych nóżkach muskularny tułów i za długie ręce. Kaprał popatrzył, zdjął dłoń z klamki u furtki, którą właśnie miał otwierać, powiedział „k’siemasz Gieniek, robota w domu czeka” i wycofał się ze swoim podkomendnym w powrotną drogę. Pasiejko, triumfując, wrócił do kuchennych drzwi, rozdziawił usta w szerokim uśmiechu, wskazywał z rechem na znikłych milicjantów i zaraz potem — na swoje bicepsy. Prosił nawet panią Marcysię, żeby do nich dotknęła. Dawał nam usilnie do zrozumienia, że przed nim nawet Oni muszą schodzić z drogi. Jego gestykulacyjna argumentacja była śmieszna, ale w zasadzie miał rację: najwyraźniej bali się go, bali się nie siły, ale jego wariactwa, osobliwego statusu, który mu gwarantował bezkarność, jak im — ich mundury. I tym razem pałka ustąpiła

przed wariackimi papierami. Pomyślałam sobie: szkoda, że nie mamy tu Pasiejka na każde zawołanie, byłoby pewniej pod opieką jego nieszczonego, zaćmionego — a przez to jakiś respekt wzbudzającego mózdzku...

Gieniek odszedł, a my wszyscy zasiedliśmy do obiadu i przy kompie Ewelina zapytała, co było w tym liście. W jakim liście? Na śmierć zapomniałam. Niebieska koperta leżała na biurku w dużym pokoju; Mańka pobiegła mi ją przynieść. W miarę czytania mój dobry — powiedzmy niezły — nastrój zaczął się ulatniać. Nadzieja, że zaczną wkrótce działać warszawskie interwencje, pocieszała mnie, ale już nie za bardzo: sprawa była nowa, wytoczono zapasowe działo, rozpoczęto obstrzał z innej jeszcze strony, którą dotychczas trzymali w rezerwie. Tak, stało się coraz jaśniejsze, że jakiś Naczelny Koordynator dowodzi akcjami, zagęszcza je, oskrzydla Sosnowiankę, mobilizuje bitne rotę, czerpie na chybił trafił amunicję i oręż spośród dowolnych kodeksów i paragrafów, które w użyciu mogą znacznie przewyższać pałkę gumową — aby zgnieść gniazdo wraz z załogą złożoną z trzech kobiet i dziesięciorga dzieci. Ten opis brzmi górnio i gromko, choć list z niebieskiej koperty nie pochodził z wysokich sfer Władzy, a tylko od Naczelnika Gminy, obywatela Jelitki. To pewne, nie był on tuzem, tylko czymś w rodzaju Dolnej Odnogi Władzy — im bardziej przyziemnej, tym skutecznie depczącej, a nadto — co nie jest bez znaczenia — obdarzonej charyzmą Słuszności. To i owo słyszało się już dawniej o skromnym Jelitce; osobowość jego była na miarę gminną, a zatem był Słusznym człowiekiem na Słusznym miejscu.

Ale — do rzeczy, do listu, do którego dorwałam się wreszcie. Sam dokument jest pełen erudycji znacznie przerastającej zasoby wiedzy Naczelnika Jelitki. Czytałam: „wstrzymuję dalszą działalność placówki, zajęcia mogą trwać tylko do końca tygodnia”. List nosił datę 20 czerwca 1977 — to znaczy wolno mi gościć dzieci tylko do przedwczoraj, albowiem „placówka letniego wypoczynku dzieci w Zagórze jest zorganizowana wbrew obowiązującym przepisom”. Pismo uświadamiało mnie pobieżnie i skrótowo, jakie to przepisy zabraniają działalności uprawianej jak Polska długa i szeroka, propagowanej aż do znudzenia przez Środki Masowego Nakazu i Przyzwolenia. Obywatel Jelitko wylicza je z podejrzaną biegłością, przytacza Monitory i Dzienniki Ustaw, Artykuły, Ustawy, Pozycje, Paragrafy i dużo Dat — a wszystko to jest Urzędowym Uzasadnieniem, że działanie obywatelki Borowieckiej jest nielegalne, albowiem wszystkie zacytowane Ukazy i Normy mówią tylko o koloniach letnich dla dzieci, koloniach prowadzonych przez Organizacje i Instytucje, nie wspomina natomiast ani słówkiem o wakacjach prywatnych... Toteż Jelitko

piętnuje wakacje nieinstytucjonalne, zakazane, gdyż w Wyż. Wym. rozporządzeniach nie wymienione, podobnie — dodajmy — jak nie wymienia się tam Zasad Tresury Psów, Monologu Hamleta i Horoskopu Astrologicznego. Przysiąc musiałam, że Jelitko, uskrzydłony nadesłaną mu przez Szefostwo dokumentacją, wysoko ponad poziomy wyleciał, a zwłaszcza nad własny poziom! I to w administracyjnym Pionie, po Linii Rady Narodowej! To, że przykazania, na które się powołał stosują się do mnie na Słusznej zasadzie Ni-Przypiał-Ni-Przyłatał nie osłabia ich w niczym: prawomocności przydaje im Pięczęć i Gryzmoł, będący zamasyżcie nieczytelnym podpisem Błażeja Jelitki.

Byłam w rozterce. Kiedy już rozpocznie się działanie warszawskich interwencji, siła mojej kontrakcji obali chyba siłą swego rozmachu również i Wójta Gromowładnego. Choć nic w tym pewnego i może jednak trzeba będzie z osobna przed tym się bronić. Ale kiedy? „Nie zastosowanie się do niniejszej decyzji spowoduje zastosowanie odpowiednich środków celem przymuszenia”. Nie, nie mogłam dopuścić, by biedny Jelitko miał mnie przymuszać — sam przymuszony do działania w ramach Obowiązującego Bezprawia przez swoich mocodawców. Na szczęście Ultimatum kończyło się słowami: „Od niniejszej decyzji służy odwołanie do Wojewody Małżyńskiego w ciągu 14 dni licząc od daty doręczenia, za pośrednictwem Naczelnika Gminy w Zagórze”. To znaczy — za pośrednictwem Jelitki.

Postanowiłam już go jednak nie męczyć i nazajutrz z samego rana pojechałam do Małżyńca. Całą uwagę skierowałam teraz na ten odcinek frontu, mając nadzieję, że już z innych stron zagrożenie nieprzyjacielskie zanika. Dawno już marzyłam sobie o wycieczce do Małżyńca, w którym nigdy nie byłam, a o którym słyszałam nie jedno, zwłaszcza o jego zabytkach. Niestety, po tej wycieczce nadal wiem o Małżyńcu nie więcej, niż znajomy marynarz o Przylądku Dobrej Nadziei. Zapytany o wrażenia i obserwacje z owego egzotycznego miejsca, odpowiedział, że świetnie pamięta: stał na redzie i obierał mu się palec. Mogłabym powiedzieć podobnie: siedziałam w dusznym korytarzu i zgrzytałam zębami. Poza zgrzytaniem, czekając na dopuszczenie przed oblicze Wojewody, napisałam pośpiesznie odwołanie, w którym oczywiście ani słowem nie dawałam do zrozumienia, że podejrzewam w tym udział Sił Wyższych. Przeciwnie: argumentowałam przebiegle koniecznością przeciwdziałania samowoli urzędników gminnych, choć pewno nie zredagowałam tego najfortunniej, Kalikst zrobiłby to lepiej, pojechałby ze mną, rwał się do jakiejś pomocy, czy raczej — ratunku, ale sam wiedział, że to na nic i mógłby tylko — jeśli to w ogóle możliwe — jeszcze pogorszyć sytuację. Jest zbyt wybuchowy, nie potrafi dłużej wytrzymać w taktycznej

masce, no a przede wszystkim — jako potępieniec, czyli *persona non grata* powinien trzymać się od interwencji w mojej bądź co bądź sprawie — jak najdalej.

Miałam dopiero brudnopis, kiedy przyjął mnie Wicewojewoda — uprzejmy, niemal uwodzicielski, cały w skowronkach, pełen wojewódzkiej ogłady i najnowszych wschodnioeuropejskich manier. Wysłuchał mnie z pojętym okiem i z gotowością potakiwania. Sprawy, jak zapewniał, nie zna, a samego Wojewody nie ma chwilowo — poinformował prawie przepraszając, proponując coca-colę dla ochłody i przyrzekając zaraz przyłapać w terenie swego zwierzchnika przez telefon. Co też natychmiast z powodzeniem uczynił, a ja tymczasem przepisywałam na czysto swoje dzieło. Pisząc, słyszałam jednak monosylabowa odzywki Wicewojewody:

— Taaak. — Rozuuumiem. — Tak, aha — naturalnie — wiem — wiem.

Pierwsze słowa przyprawione były zaskoczeniem, następne brzmiały służbiście. Wice odłożył słuchawkę. I nie poznałam go. Od dawna wiedziałam, że u nas ludzie rosną i że ulegają stopniowo Słusznym Przemianom. Ale tak gwałtownej metamorfozy jeszcze nie widziałam. Wicewojewoda urósł o głowę, jego uśmiech został doszczętnie wyparty przez Minę będącą emblematem władzy, coca-cola nie doczekała się ujawnienia, a nadmiar słów zredukował się w oka mgnieniu do kilku urzędowych pouczeń: Proszę to zostawić. — Nie ma na co czekać. — Towarzysz Wojewoda prędko nie wróci.

Rzekłszy, wyzwolony ze swej dotychczasowej przymilnej ogłady, jął dogłębnie dłubać w uchu, unieważniając tym samym moją przy nim obecność. Być może wydłubywał z małżowiny usznej te wszystkie moje słowa, które nieopatrznie tam wpuścił, nieświadomo jeszcze, co tu Słuszne, co zaś nie. Teraz już wiedział. Mimo nie zachęcających okoliczności postanowiłam jednak zaczekać. I choć doczekałam się, sztywność Wojewody wyższa była o cały stopień hierarchii służbowej od Wicesłuszności. Po prostu nie raczył ze mną rozmawiać.

Zostawiłam moje odwołanie i wróciłam do Sosnowianki, kiedy dzieci właśnie kończyły obiad. Moja porcja czekała na mnie, ale nie chciałam jeść; Ewelina poczęstowała mnie czym innym: otóż w czasie mojej podróży do Małżyńca znów była w Sosnowiance Komisja Sanepidu — tym razem już z innego ośrodka, nie Małżyńskiego, ale z Parochy Górnej, dawniejszego miasteczka powiatowego. Pozostawiony przez nią — też nie podpisany przez nikogo w Sosnowiance — protokół był bliźniaczo podobny w swej bogatej zawartości do poprzedniego, zapewne stanowił po prostu jego staranną kopię. Jak mówiła Ewelina, byli tu przed

jakimiś trzema godzinami, zachowywali się stosunkowo skromnie, robiąc od czasu do czasu nie bardzo artykułowane gesty, mające chyba wyrażać dewizę: Służba nie Družba — przez co, jak się Ewelinie wydało, chcieli dać do zrozumienia swoją dobrą wolę, zażenowanie i bezsilność. Cóż, nawet taki niewiele znaczący odruch, choć nic nie zmienia, wydał mi się ujmująco ludzki na tle nadczłowieczego funkcjonowania Władzy. Domyślałam się, że — zgodnie z obietnicą — Resort Ochrony Zdrowotności w Warszawie anulował poprzednią decyzję Sanepidu, musieli więc natychmiast wypalić powtórnie — tym razem z innej strzelnicy. Ale i ja natychmiast będę musiała zgłosić tę nową napaść w Warszawie. Znowu!

Doszło do tego, że każdy dzień, godzinę, chwilę, które mogłam spędzać w Sosnowiance, chciałam poświęcać dzieciom w dwójnasób, żeby jakoś nadrobić, powetować im i sobie nasze coraz częstsze rozłąki. Ale czułam, że mi nie wychodzi, że każda próba jest podszyta moim niepokojem, musiałam się bardzo mieć na baczności, żeby mimowoli nie popsuć zabawy. Nigdy jeszcze nie przychodziło mi tak trudno trzymać fason, a chwilami marzyłam o tym, żeby się zaszyć w kąt i usilnie nie myśleć o niczym.

Mańka od chwili tragicznej śmierci kurczaka, więc niemal od początku, boczyła się na Sławka i Mirka, których widać uważała za inspiratorów jej potępienia. Z innymi dziećmi już się żyła jako tako, tych dwóch omijała z daleka. Siedziała teraz w odległym kącie sosnowiańskiego lasu pod wielką sosną i dłubała w korze złamanym scyzorykiem. Uśchłe drzewo samo zrzucało z siebie odstające płyty grubej kory. Popatrzyłam z bliska: kawałek kory przybrał całkiem zgrabną postać psa, konia, czy innego czworonoga.

— Co to, Maniu? — spytałam.

— A nie widać? — spojrzała z niepokojem.

— Widać. Myślę, że to Misiek, piesek cioci Eweliny.

— Tak — potwierdziła bez wahania, uznając moją identyfikację za nadającą się do przyjęcia, wdzięczna za wykrzyk jakiegokolwiek podobieństwa.

— Pokaż — wzięłam dłubawkę w rękę. — Sama to zrobiłaś?

— Sama.

— Prześlicznie!

Mańka pojaśniała i prędko schowała buzię we włosach, pewno żeby ukryć uśmiech: wstydyła się radości. Od tej chwili z zapałem majstrowała różne figurki, a te, które uznała za najładniejsze, były zawsze przeznaczone dla mnie. Chłopcy zainteresowali się jej działalnością artystyczną, dystans między Manią a resztą zmalał i wreszcie zaczął znikać, a pęd do naśladownictwa ogarnął na jakiś czas i chłopców; ich zmysł praktyczny sprawił jednak,

że wychodziły im z kory same łódki. Tłumaczyli to sami tym, że ich wyroby mogą się na coś przydać, do czegoś służyć — w przeciwieństwie do wszystkich psów, domków, królowych, słońc i innych rzeczy dłubanych przez Mańkę. Była w tej interpretacji chytra próba ukrycia braku własnych snycerskich uzdolnień, czego im zresztą nikt nie wytykał, tylko Mania w krótkim oświadczeniu wyjaśniła im różne szczeble i rodzaje przydatności: „Wasze łódki są do pływania, a moje królowe i pieski — do oglądania”.

Kiedyż wreszcie — gnębiłam się — będę mogła poświęcić swój czas dzieciom — tak naprawdę, nie na wyrwyki, bez poczucia bezustannego podminowania? Ale nawet, jeśli wygram — wakacje będą przegrane, moje funkcje wychowawcze pozostaną właściwie w sferze marzeń, bo Oni nie dadzą mi paru dni przeżyć tutaj spokojnie. Wreszcie prędzej czy później i dzieci zaczną zarażać się tym niepokojem, co jak sądziłam jeszcze nie nastąpiło na szczęście. Trzęsienie ziemi było tylko dla nas dorosłych odczuwalne. Dzieci bawiły się oto koło pnia zwalonej wierzy w Przeprawę przez Ocean, fala, jak zapewniały, była spokojna, w miarę spokojna, cztery stopnie w skali Buforka, jak stwierdził Sławek.

I nagle tajfun: zaczęło się. Tuż nad czubami sosen przeleciał z przeraźliwym warkotem samolot i na stół, na głowy, na wszystko posypało się mnóstwo jakiegoś pyłu, gradu czy grud. Za chwilę wszystko stało się ceglaste i białe, jakby pokryte drobnym grudem pełnym odłamków cegieł i wapna. Dzieci z piskiem rzuciły się ku domowi. Samolot zawrócił, zatoczył krąg i znów niemal zaczepiając o komin i sosny — cisnął w nas następną porcję pyłu i złomu, odlatywał, zawracał, ginał za ścianą lasu i zjawiał się znowu, a dach Sosnowianki aż dudnił od tego bombardowania. Wreszcie ucichło. Zaczęło się gorączkowe i pośpieszne mycie głów, przemywanie oczu, opatrywanie guza na czole Marioli, którą ugodził jakiś większy kawałek tajemniczej substancji z lotniczego zrzutu. Mirek, sławny dowódca ołowianych (czy może już — plastikowych) żołnierzy i miłośnik militariów płakał najgłośniej. Wyobrażenia podsunęła mu skojarzenia z wojennymi filmami, które w domu oglądał masami w programach telewizyjnym to nie pozwalałam. Płakał, bo musiał się poczuć śmiertelnie zagrożoną ofiarą bombardowania, nalotu piratów powietrznych.

Pani Marcysia też pobladła i po raz pierwszy widziałam jej wesołą twarzyczkę bez uśmiechu i rumieńców. Ona pamiętała wojnę i z pewnością ten dziwny nalot nie wydał jej się do niej podobny, miała za to inne obawy. Ze mianowicie Władza zaprzęgała do walki z Sosnowianką Siły Lotnicze, żeby nas wytruć — „jak nie przymierzając szczury”. I nawet kiedy pan Roman

z Gajówki przyszedł, żeby nas ostrzec przed jedzeniem jagód w lesie i wyjaśnić, że to było w ramach akcji sztucznego nawożenia lasu — pani Marcysia nie ustąpiła i żegnając się znakiem krzyża powtarzała:

— A ja powiadam: to są Trujce, to żeby nas wygubić tym jadem w proszku — jak nie od samego paskudztwa, to od jagody posypanej. A i po co by nawozy mieli walić dzieciakom na głowy? Dzieci bez nawozów rosną!

Z trudem udało się nam ją uspokoić, ale nie przekonać. Teraz już w byle czym skłonna była widzieć zasadzkę. Nic dziwnego, skoro już tyle manny niebiańskiej spadło nam na głowy. Wszystko wokoło upstrzone było białymi i rudawymi grudami i grudkami, nawet mech po paru dniach żółkł i usechł w miejscach najobficiej użyźnionych, a w sąsiedztwie kilkoro dzieci dostało biegunki po poziomkach.

Oprócz pana Romana przyszła z Gajówki i pani Henryka z Markiem; przyprowadzili ze sobą ojca Mirka: nie mógł trafić ze stacji i błakał się przez pół godziny po leśnych ścieżkach. Nie, nie przywiózł ze sobą pepeszy plastikowej dla synka, przydzwigał tylko własną zastroskaną minę. Opowiedział mi o wizycie, którą złożyli mu dwaj tajniacy: żądali złożenia oświadczenia na piśmie, że wpłacił mi za kolonie dolary. Historia się powtarza, tyle tylko, że stanowczo odmówił składania jakichkolwiek oświadczeń, jedynie ustnie uświadomił przybyszów, że ich sugestie są nonsensem. Prosił, abym powiadomiła go, kiedy poczuje, że Sosnowianka chwieje się już w posadach, a wtedy on przyjedzie i odbierze synka. Obiecałam mu to solennie. Nie miałam już wątpliwości, że Funkcjonariusze odwiedzili w Warszawie mieszkania wszystkich dziesięciorga dzieci. Jak się wkrótce małam dowiedzieć — nie byłam w błędzie. Ojciec Mirka zjadł obiad i odjechał, nie pożegnawszy się z synkiem, bo do pociągu miał kwadrans, a malec właśnie bawił się w Indian, zaczajonych na eskadry powietrzne bladych twarzy — i tak się gdzieś zaszył, że nie można było się go dowołać.

Państwo Henryka i Roman z Gajówki zostali jeszcze trochę, za co byłam im szczerze wdzięczna; jakoś mi rażniej bywało w ciężkich chwilach w towarzystwie tych zacnych ludzi. Wiedzieli wszystko, znali cały przebieg naszych perypetii z Władzą, nawet o dzisiejszych nowinkach zdążyła im Ewelina jeszcze w hallu opowiedzieć — a mimo to nie bali się pomówienia o kontakty z nami, choć wcale nie było wiadomo, czy to aby w oczach Władzy nie zaraźliwe. Nie stronili od Sosnowianki, przeciwnie — starali się nam tym lub owym prawie niepostrzeżenie dopomóc. Są to ludzie ciężkiej pracy i jeszcze cięższych życiowych doświadczeń, zwłaszcza pan Roman. Nie omijał nas

w tych Dniach Oblężenia, choć z pewnością moje batalie, kontrataki, próby obrony uważał za Wyprawy z Motyką na Słońce. Bynajmniej nie był człowiekiem o zajęczym sercu, ale to, czego doświadczył nauczyło go wdzięczności wobec losu — już za to tylko, że żyje, i nie żądania odeń niczego więcej. Kiedyś, kiedyś opowiedział niechętnie o swojej katordze — większą ilością przemilczeń niż słów. Zapamiętałam to na zawsze. Wojna, jak powiedział, trwała dla niego dziewięć lat, właśnie się miała kończyć, jak mu się naprawdę zaczęła. Jechali pociągami — tłumy, tłumy — w coraz głębszą zimę, kto uciekał, rozbierali go konwojenci do naga i — do wagonu dla golasów. Był styczeń, jak dojechali, to z tego wagonu wyciągnęli gołych, stwardniałych na lód, po ustawiali ich pod obozową bramą, poopierali o druty, na przestrożę, a może trochę i do śmiechu, do swojego śmiechu, bo niektórych stawiali na głowach — taki Cyrk Sztywnych — a nogi wznosiły się w górę, dobrze utrzymując na mrozie równowagę, swoją trupią równowagę... Potem jeszcze było kilka lat i dziewięć innych obozów, a potem pan Roman — wybraniec losu — spuchnięty z głodu ale żywy, wrócił. I już się tam nie chce wybrać za nic, wrócił, żeby żyć. Dawne dzieje.

Nie ma co przypominać tamtego, ale jest z tego wszystkiego jedna nauka — jego zdaniem — choć na wszelki wypadek nigdzie ze swoim zdaniem się nie pcha: schodzić z drogi bestiom, co idą naprzód po to, żeby nas stratać buciorami. Pan Roman naprawdę dobrze nam życzył, a czego lepszego można dziś życzyć, niż jakiego-takiego spokoju? Więc chyba i poczynania Kaliksta uważał w głębi ducha za niebezpieczną dziecinadę, choć nigdy by tego nie powiedział — on, który do tego stopnia nie miał już żadnych złudzeń, że i nadzieję zaliczył do kategorii mrzonek. Milczał więc i tylko kiwał głową — nad moim niedoświadczeniem, nad nieuniknionym zwycięstwem Władzy. Wszystko, czego mogłaby się dopuścić, było dla niego dopustem Bożym: była burza — żyto wylęгло, tak bywa, trudno, dziękujmy losowi, że nie gorzej. Pani Henryka dla rozproszenia ponurego nastroju zaśpiewała parę przedwojennych przebojów: jakieś Jesienne Róże, jakąś Miłość, która Ci Wszystko Wybaczy, smutnawe piosenki ale pocieszające, bo z dawnych lat; kiczowate ale uszlachetnione patyną czasu. Oprócz tych Róz i Miłości wybaczącej dostaliśmy jeszcze od niej kusz kartofli — z ich własnego pola, nie popsu-tych sztucznymi nawozami, jadalnych.

Czy jeszcze się przydadzą? Kto je będzie jadł? Ja mimo wszystko uważałam, że jeszcze trzeba będzie nie raz i sporo dokupić; sceptycyzm w tym względzie nie ode mnie pochodził — to Kalikst kwestionował sens robienia jakichkolwiek zapasów w naszej sytuacji. Czy to wiadomo, co się okaże dobre, a co

nie? Nie może być spokoju — niech chociaż jedzenia w miarę możliwości będzie pod dostatkiem.

Wieczorem przyszła Lesiackowa z miną nieodgadnioną i na pozór znudzoną, której się nauczyła jeszcze w czasie niemieckiej okupacji. Zналиśmy tę jej fizjonomijną konspirację, więc od pierwszej chwili czułam, że się coś niedobrego święci. Weszła do domu, rozejrzała się badawczo, wyjrzała przez okno w mrocz-niejący las, pociemniały dołem, żarzący się jeszcze rudo odblas-kiem zachodu na szczytach sosen. Dzieci już spały. Ściszonym głosem wyłożyła sprawę, z którą potajemnie przyszła:

— Pani Borowiecka, nie wiem, czy pani widziała Bałdygę i jego kompanię, kołują tu, byli na odprawie w Małżyńcu, jeszcze się nie zdążyli zalać, szykują się do czegoś, czy ja wiem? Słyszałam od Korpychowej, że coś niedobrego się kroi. Pani ratuje dzieci!...

— Jakto, pani Lesiackowa? — zapytałam szeptem i przytknęłam palec do ust, żeby nie zakłóciła dziesięciu snów, dziesięciu spokojnych oddechów.

— Pani posłucha, ja dużo przeszłam. Raz, już po wojnie, przyszli mnie zgwałcić za przeproszeniem, jak karmiłam piersią Baśkę. To ja przez okno z dzieckiem, strzelili, trafiło mnie w pierś aż mi krew z mlekiem przez tę ranę poszła. I zamelino-wałam się pod jałowcem, po sąsiedzku z drugim jałowczykiem, pod którym siedział już w norze mój stary. Trzeba małą dziurę zostawić do oddechu, tylko okręcić się pierzynką czy poduszką, żeby wilgoć nie poszła w kości. Tak my się uratowali, spod jałowca nie widać, aby tylko był gęsty, taki coś więcej rozrosły...

— No, dziękuję pani serdecznie, pani Lesiackowa — po-wiedziałam zacinając się lekko z wrażenia. — Ale co? Pani by dzieci w ziemię powtykała?

— Nie na stałe, tylko od wypadku, ale nory muszą być przygotowane w razie czego, to po ciemku trzeba by...

— Ale to już nie jest zaraz po wojnie, to już trzydzieści dwa lata przeszły, dziś taki pochówek żywcem nic nie da... — starałam się nie urazić Lesiackowej.

— Jak pani chce — westchnęła Lesiackowa. — Ja radzę z serca, a pani robi jak zechce, może i lepiej wyjechać?

Podziękowałam jej bardzo, nie miałam wątpliwości co do jej najlepszych intencji, słyszałam z dziwactw i stałej skłonności do grzebania w ziemi, ale w końcu nie wiedziałam już, czy to ona przesadza, czy mnie brak wyobraźni. Ostatecznie one są tutaj na wakacjach a nie w okopach.

— A jak zobaczą, że dzieciaki nie poodjeżdżały? — spróbo-wała jeszcze raz Lesiackowa. — Jak się tu będą kręcić różne takie, to dzieciaki — pod jałowce, a potem mogą wyleźć i cicho

siedzieć w domu, aby się tylko w oknach nie pokazywały...

Nie, nie takie wakacje im obiecywałam, miało być słońce, świeże powietrze, zabawy, słowem — swoboda. Ale dla swobody, dla swobód w ogóle, koniunktura jak wiadomo nie jest u nas idealna. Nie będę jej jeszcze pogarszała. Dziękuję bardzo, pani Lesiackowa, jakoś spróbuję wybrnąć inaczej. Pani wie, jak to jest, postęp mamy przecież, już nie te czasy, teraz się do matek i dzieci nie strzela, teraz można inaczej jak się Władza uprze — to jest w miarę sucha robota, bez hałasu, a pałkę podnosi się na nieco starszych, nie na pięcio- czy sześciolatków — moje dzieciaki mają przed sobą jeszcze paręnaście lat jakotako spokojnego życia... Nie mogłam wykpić jej dobrych rad, nie chciałam urazić naszej sąsiadki, w której ni stąd ni zowąd obudziło się poczucie sąsiedzkiej solidarności, ale po jej odejściu postanowiliśmy jednak nie kłaść się dzisiaj, a przynajmniej nie na całą noc, ustalić dyżury na zmianę.

Tej nocy, wbrew obawom Lesiackowej, którymi nas zaraziła, podpatrywał nas chyba tylko księżyc: baniasty i biały sterczał na czubie sosny i świecił prosto w okna. Nie zapalaliśmy światła. Lasy czerniejące w pełnym czuwaniu blasku pełni nie były już — tak to odczuwałam — strażnikami naszego zacisza, ale odcinały nas od świata, jakby uczestniczyły w obłożeniu Sosnowianki. Wszystkie dzieci od dawna już twardo spały, nawet Mirek, który coś tam zaczął nawoływać, bo pobiegłam i okazało się, że tylko mówi coś swoim zwyczajem przez sen.

Niewiele sensu miał ten nocny dyżur, Kalikst zasnął, a my nie spałyśmy już nie z poczucia obowiązku, ale po prostu nie mogłyśmy usnąć. Aż wreszcie ta lunatyczna, napięta bezczynność tak mnie znużyła, że postanowiłam zabrać się do pakowania rzeczy, które trzeba będzie przewozić stopniowo do Warszawy na sprzedaż. Dwa lata bezrobocia, tak, już prawie dwa lata, dobrze się już nam dały we znaki, a kolonijna klęska, która teraz — w ciemności — wydawała się chwilami coraz bliższa i nieunikniona, pogrążyła nas do reszty. Tak czy owak — trzeba się będzie po trosze wyprzedawać. Zapaliłam światło w pokoju i zaczęłam zbierać i układać w tekturowych pudłach książki, stare sztychy, kilka pozytywek, parę brązów, resztki, które tu jeszcze pozostały po włamaniach i wywózkach. Kalikst z tym pochodzi po antykwiariatach i Desach. Mamy już pewne doświadczenia po sprzedaży szafy, komody i książek.

Nie wiem, kiedy usnęłam. Już białął dzień za oknami, kiedy obudziłam się na fotelu z głową opartą o stertę książek. Dzieci jeszcze spały, noc minęła spokojnie.

(Dokończenie nastąpi)

Irena BOROWIECKA

Archiwum polityczne

Strategia afrykańska Sowietów

Gdy w okresie narastającej ofensywy sowiecko-kubańsko-etiopskiej przeciwko powstańcom somalijskim w Ogadenie premier Somalii, Barre, zwrócił się do Ameryki o pomoc, Stany Zjednoczone oświadczyły, że „nie zamierzają dolewać benzyny do pożaru”. Wobec tego że nie dolewali, Rosjanie dolali jeszcze więcej. Pozostający w ich służbie Kubańczycy, przy użyciu najnowocześniejszego sprzętu wojennego, szybko przegнали powstańców z Ogadenu, zaś szef rewolucyjnego rządu Etiopii, płk Mengistu, przypisał to zwycięstwo mężnej armii etiopskiej, po czym w kilka miesięcy później złożył dziękczynną wizytę Fidelowi Castro.

Po oczyszczeniu Etiopii z powstańców i wyrznięciu pokaźnej ilości mieszkańców Ogadenu — gdy Sekretarz Stanu Vence wyraził nadzieję, że teraz najemnicy kubańscy i ich sowieccy zwierzchnicy wraz z kilkoma generałami pojedają do domu — płk Mengistu odpowiedział, że jest to „wewnętrzna sprawa Etiopii” i żeby pan Sekretarz nie wtrącał się w nieswoje sprawy. Od tego czasu liczba Kubańczyków i sowieckich doradców wzrosła o dalsze kilkanaście tysięcy. Ilu jest ich teraz — nie wiadomo, ponieważ statki z każdym tygodniem przywożą nowe transporty. Zresztą obecnie chodzi już również o Erytreę — następną prowincję Etiopii, dawną kolonię włoską, gdzie również trzeba zdławić rosnący ruch powstańczy. Poza tym straszą sowieccy uwzględniają już w swoich przygotowaniach zaprzyjaźniony z ZSSR Południowy Jemen z jego mahometańsko-marksistowskim rządem. A w Afganistanie zainstalowano niedawno — po egzekucji dotychczasowego premiera wraz z rodziną — przychylny Sowietom reżym. W ten sposób Arabia Saudyjska będzie pieczołowicie obstawiona i gdy zajdzie potrzeba, So-

wiety policzą jej każdą kroplę ropy wywiezioną na Zachód. Zaś w wypadku *emergency* — zatkają kran.



Gdy opinia publiczna i Legislatura stanu New York, przerażone mnożącymi się morderstwami, przegłosowały po raz drugi karę śmierci (obwarowaną zresztą licznymi zastrzeżeniami), gubernator stanu Carey postawił veto ustawie, oświadczając że jeśli w stanie New York zdarza się tyle mordów, to on nie będzie „przykładać ręki do dalszego zabijania”.

Mimo, iż pierwsza sprawa dotyczyła polityki zagranicznej, a druga — wewnętrznej, związek pomiędzy stanowiskiem Sekretarza Stanu Vence'a, a gubernatora Carey'a jest oczywisty. Odzwierciedlają one stan umysłów przeciętnych Amerykanów. Gdy w obecności licznych przechodniów na ulicy lub pasażerów kolei podziemnej bandyta podżyna komuś gardło lub przykłada pistolet, wyciągając ofierze portfel, świadkowie nie przeszkadzają zbrodni, a potem odmówią zeznań ze strachu, aby ich to samo nie spotkało. Wiedzą wprawdzie, że właśnie strach zwiększa stan ich zagrożenia w przyszłości, ale nie mają siły i odwagi, żeby podjąć nawet minimalne ryzyko i pomóc wymiarowi sprawiedliwości. W pospolitej gwarze amerykańskiej brzmi to: „Ja nie chcę być wpłątany” (*I don't want to be involved*). Innymi słowy, przeciętny Amerykanin nie chce być *wpłątany*, póki jego samego nie napadną. Ale gdy to się zdarzy — jest już zwykle za późno, bo albo pozostaje kaleką, albo jest nieboszczykiem. Jeśli demokratycznym rządem nazwiemy taki stan rzeczy który odzwierciedla aspiracje i pragnienia narodu, to należy naprawdę przyznać, że Ameryka ma taki właśnie rząd. Ona też *nie chce być wpłątana* w niebezpieczne sprawy, za którymi stoi Kreml.



„Misja wyzwolenicza”, którą najpierw wzięła na swoje barki WKP(b) a później KPZS, jest prawie równie stara jak dzieje Związku Sowieckiego z tym że geografia „wyzwolenia” uległa pewnym zmianom. „Troska wyzwolenicza” Rosji — jeśli chodzi o zagranicę — aż do wybuchu wojny domowej w Hiszpanii w latach trzydziestych koncentrowała się głównie na ludach żyjących w państwach kapitalistycznych. Po drugiej wojnie światowej wraz z powstaniem Trzeciego Świata otworzył się rozległy rynek zbytu dla ideałów narodowo-wyzwoleniczych, o których na początku swojej kariery nie marzył nawet Stalin, który — pochłonięty „budową socjalizmu w jednym kraju” — „wyzwalał” sku-

tecnie własnych obywateli. Bilans tej działalności doczekał się licznych opisów, obrazujących zarówno jakościową jak i statystyczną stronę zagadnienia. Wracać do tego nie ma potrzeby. Faktem jest, że w owych czasach przywódcy ZSSR bardzo mało myśleli o kolorowych ludach, autentycznie eksploatowanych przez kolonialistów. Jeśli poświęcali im czasem uwagę, to miało to charakter obrzędowy i symboliczny. Dopiero następstwa drugiej wojny światowej ukazały jak apetyt wyzwoleniczy rośnie w czasie jedzenia. Po skonsumowaniu części Niemców, Polaków, Czechów, Węgrów, Słowaków i Bałtów, apetyt urosł do rozmiarów zatrważających. Nie doprowadził jednak do „zawrotu głowy z nadmiaru powodzenia”. Przeciwnie — Sowiety prowadzą tę długofalową operację cierpliwie, znając dobrze swego kulawego kontrahenta — ex-imperialistyczny Zachód. Odczytują prawidłowo jego strach przed słowem *konfrontacja*, z umiejętnością genialnego wirtuoza grają na wszystkich strunach. Wykorzystują głupotę czołowych dziennikarzy i polityków. Szafują obietnicami, by we właściwym momencie przejść do pogroźek. To nie piąta kolumna sowiecka, nie szpiegdy i agenci rozkładają Zachód, to zręczność Kremla skrzyżowana z podatnością opinii Zachodu na propagandę strachu.



Po ostatniej wojnie wiele ludów i plemion, które podlegały europejskim lub japońskim kolonialistom, uzyskało niepodległość. W czarnej Afryce nie było żadnych narodów. Były tylko gromady wzajemnie nienawidzących się plemion, których jedyną więzią była narzucona im administracja kolonialna. Nie łączył ich wspólny lub choćby podobny język*. Pozostał tylko czarny (choć nie całkiem) kolor skóry. Ale ten nie przeszkadzał w ustawicznych międzyplemiennych wojnach. Najbogatszym owocem tych wojen byli niewolnicy, których dostarczano białym lub arabskim handlarzom na wybrzeża, żeby zaoszczędzić im ryzyka zapuszczenia się w głąb czarnego lądu.

Po odejściu kolonialnych gubernatorów i zainstalowaniu się nowych miejscowych prezydentów, premierów i innych dygnitarzy, edukowanych albo tylko z lekką poduczonych w europejskich lub amerykańskich szkołach, stworzono najzupełniej sztuczne twory — państwa afrykańskie. Granice tych krajów nie przypadkowo pokrywają się z obszarami dawnych kolonii. Powołanie

* W Czarnej Afryce żyje ponad 1.800 plemion i szczepów, z których co najmniej 1.000 posługuje się odmiennymi, choć ubogimi gwarami. Swahili, który na początku był urzędowym językiem Tanzanii, a później Kenii, nie zrodził się pośród plemion Afryki Wschodniej. Powstał na Zanzibarze wśród osiedleńców arabsko-perskich. Z czasem przyswoił go sobie jako drugi język nadbrzeżne plemiona Afryki Wschodniej.

do życia tych państw nie przyczyniło się w niczym do stworzenia czarno-afrykańskich narodów. Przeciwnie — zaostriżyło tylko międzyplemienne nienawiści, ponieważ w nowoutworzonych krajach najwyższych i najpopłatniejszych stanowisk administracyjnych nie rozdzielano według klucza plemiennego. Zostały one zmonopolizowane przez te plemiona, z których wywodzili się szefowie państw. Skoro zainstalowanie czarno-afrykańskich państw i partii nie pociągnęło za sobą powstania narodów, należało ich istnienie zadekretować. Oczywiście można to było uczynić tylko na papierze. W ten sposób zrodziły się „narody” typu ghanajskiego, tanzanijskiego, nigeryjskiego, ugandzkiego, mozambijskiego i z półtora tuzina innych. Figurują one w dokumentach dyplomatycznych i encyklopediach, co w niczym nie zmienia fikcyjności samego zjawiska. W sprawach międzynarodowych, na które coraz większy wpływ wywiera ZSSR, iluzoryczność wielu narodów Trzeciego Świata nie wydaje się być jednak żadną przeszkodą. Przeciwnie, od połowy lat 50-tych rozbudowuje się z nich gmach ONZ. Zaś nic tak nie cieszy Sowietów i ich wschodnich satelitów jak mnożące się jak grzyby po deszczu nowe narody-widma i na prędko sklecone „niepodległe państwa” Trzeciego Świata. Dzięki nim ONZ stała się teatrem ponurej groteski, którą wciąż jeszcze co naiwniejsi politycy nazywają parlamentem świata. Repertuar głównych aktorów w tym osobliwym teatrze, finansowanym głównie przez USA, coraz ściślej kontroluje Kreml przeważnie dzięki owym „wyzwolonym narodom”. Sowiety bowiem z każdym rokiem decydują w coraz większej mierze jakie „narody” mają być na świecie „wyzwolone”, a jakie — nie i jaką należy przy owym wyzwoleniu zaaplikować procedurę. Ogłupiali delegaci Zachodu, którym słabo znana jest sztuka cyrkowego manewrowania, nie tylko nie ośmielają się protestować, ale zmuszeni są basować prosowieckim kukłom, wypełniającym salę obrad i komisji ONZ. To co się dzieje na świecie, a czego zamglonym wizerunkiem jest ONZ, stanowi oczywistą parodię misji wyzwoleniczej i walki z rasizmem. Wyzwolenie bowiem kolorowej ludności od dyskryminacji i wyzysku białych w Angoli, Mozambiku, a obecnie w Afryce Południowej i Rodezji — to jedna sprawa, a druga — jak tego wyzwolenia dokonać. Zastąpienie dotychczasowych rządów czarnymi dyktaturami, które w wielu wypadkach stają się instrumentem ekspansji sowieckiej, jest po pierwsze oszustwem dokonany na „wyzwolonych”, a po drugie nie jest wcale wewnętrzną sprawą ludów czy plemion, które stają się obiektem tego wyzwolenia. Polacy, Czesi i inni nasi pobratymcy wiedzą, że nie tylko ważne jest samo wyzwolenie, ale kto i w jakim celu wyzwala. Cóż jednak wiedzieć mogą o tym mieszkańcy czarnych wiosek w Mozambiku czy Angoli? Dla swego

dawnego zwierzchnika czy pana mogli być przynajmniej żywymi istotami — dla partyjnych biurokratów na Kremlu są tylko miarą, na której buduje się potęgę Związku Sowieckiego. Służy do tego garstka czarnych polityków, wyszkolonych w rzemiośle zdobywania władzy.

Ian Smith, dotychczasowy premier Rodezji, z którą wszystkie kraje europejskie zerwały stosunki dyplomatyczne, zawarł — niewątpliwie pod presją wewnętrzną i zewnętrzną — ugodę z grupą czarnych polityków. Ugoda zawarta została pomiędzy nim a przedstawicielami tzw. stronnictw umiarkowanych, których wyrazicielami są biskupi Abel Muzorewa i Ndabiniingi Sithole. Gwarantowała ona Czarnym w ciągu najbliższego roku rządy większości, choć na razie nie w proporcji do liczby białych i czarnych mieszkańców. Był to pierwszy krok, który w moim przekonaniu doprowadziłby i tak do ostatecznego exodusu białych. Tyle tylko, że nie byłby poprzedzony międzyrasową masakrą i zniszczeniem gospodarki całego kraju. Ludność Południowej Rodezji zwolna emigruje, tak że los jej w perspektywie najbliższych lat jest przesądzony. Muzorewa jest głową zjednoczonego Kościoła metodystów i trudno powiedzieć czy rzeczywiście ma za sobą większość czarnej ludności rodezyjskiej, jak wszędzie skłóconej plemiennie. Ustalenie w ogóle jakich czarnych przywódców popierają Rodezyjczycy jest na pograniczu absurdu, ponieważ nikt nigdzie w żadnym, nawet tzw. niepodległym, kraju afrykańskim o takie rzeczy nikogo z mieszkańców nie pytał i nie pyta. Czarni politycy, pozostawieni przez białych, mieli za sobą zwykle 99 % poparcia, póki po kolejnym zamachu stanu nie przychodzili inni. Ci natychmiast zdobywali dokładnie takie samo poparcie, jakie mieli ich poprzednicy. W czarnych krajach świadomość polityczna ludności nie istnieje. Jest całkowicie amorficzna. Stanowi glinę w rękach prezydentów, premierów i cesarzy.

Oczywiście ugoda zawarta pomiędzy biskupami Muzorewą i Sithole a Ianem Smithem nie tylko spowodowała z miejsca trudności i dymisję jednego z czarnych członków gabinetu (piszę to 1 maja 1978 roku) — wywołała ona oczywistą furję tzw. przedstawicieli Frontu Patriotycznego w osobach Joshuy Nkomo i Roberta Mugabe. Działacze ci, należący do dwóch skrzydeł Frontu, prowadzą z granic Zambii i Mozambiku wojnę partyzancką, której nie mają wszelako nadziei wygrać bez pomocy sowieckiej. W szczególności dotyczy to Roberta Mugabe, którego bazą wypadową jest Mozambik i który całkowicie podporządkowany jest Rosji*. Z tego powodu próba tzw. porozumienia Mu-

* Obydwaj przywódcy wywodzą się plemiennie z tej samej grupy etnicznej Zezeru, bynajmniej nie najliczniejszej w Rodezji. Nkomo jest jednym z twórców ZAPU (Zimbabwe African Patriotic Front) i działa od połowy

zorewa i Nkomo bez udziału partyzantów z Frontu Patriotycznego spowodowała również gwałtowny sprzeciw Moskwy. *W tej całej sprawie nie chodziło jednak o to kto ma w Rodezji zostać, bo i tak wiadomo było, że biali ją będą musieli opuścić, ale jacy czarni przyjdą na ich miejsce:* czy wolny od opieki sowieckiej Muzorewa czy też Nkomo, a zwłaszcza całkowicie oddany Sowietom Mugabe? Ambitny Mugabe od razu wyłożył karty na stół i powiedział czego chce: „Tak zwane rządy większości są zachodnim luksusem (możliwe! — dop. autora). Ważna jest — zadeklarował Mugabe — świadomość, którą gwarantuje jednopartyjny system wzorowany na Sowietach” (cytuje za *New York Post* — 14.4.br. z artykułu „Zbig's fight with Vance: tough versus tender”). Opozycja Moskwy i jej rodezyjskich podopiecznych przeciwko tymczasowemu porozumieniu Iana Smitha z jego czarnymi partnerami była oczywiście zrozumiała. Natomiast osłupienie musiała wywołać gotowość z jaką zaprzęgli się do rodezyjskiego rydwanu Moskwy minister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii, David Owen, oraz Sekretarz Stanu, Cyrus Vance. Zwłaszcza gdy na razie zawiedziony i rozgoryczony Robert Mugabe gwałtownie zaatakował Owena i bez ceremonii przedstawił jak sobie ową „niepodległość” i „rządy czarnej większości” wyobraża. Robert Mugabe nie bawił się w chowanego. Obca mu była finezja zachodnich dyplomatów, a nawet — o zgrozo — kręactwa sowieckie. Nie zraziło to jednak wcale pp. Vance'a i Owena. Chodziło im najwyraźniej nie tylko to, żeby z Rodezji odeszli biali, ale żeby przyszli tylko tacy czarni, jakich sobie Leonid Breżniew życzy. Gdyby obydwaj dyplomaci byli normalnymi ludźmi, którym pozostaje jakaś swoboda decyzji czy manewrowania, powinni byli niezwłocznie zaprzestać prób wymuszania na rządzie rodezyjskim przyjęcia do swego składu przywódców partyzanckich, działających z baz Mozambiku i Zambii. Ale obydwaj mężowie stanu — i ten brytyjski i ten amerykański — podobnie jak ich mocodawcy w Londynie i w Waszyngtonie przestali już dawno być normalnymi ludźmi. Są sparaliżowani niewiarą w możliwość ratowania Zachodu. Jedyna rzecz, w którą wierzą — to zwłoka. Odroczyć katastrofę. Może zdarzy się cud. Może trzęsienie ziemi zniszczy wszystkie sowieckie wyrzutnie nuklearne. Może wybuchnie wojna gwiazd (*Stars war*) — film, który nie przypadkowo zyskał sobie takie powodzenia wśród amerykańskiej publiczności.

Rodezja jest w tej chwili ważną geopolitycznie częścią świata.

lat 50-tych, spędziwszy znaczną część czasu w więzieniu. Robert Mugabe jest z nowszego pokolenia. Z racji jego stuprocentowo prosowieckiej orientacji zrodziły się próby izolowania Mugabe i zjednania dla przejęciowego rządu rodezyjskiego Nkomo. Jak na razie starania te spełzły na niczym.

Ale nie tylko o to chodzi. Kraj ten stał się ostatnio „oknem wystawowym” tępoty i krótkowzroczności dyplomacji zachodniej. Przez nie widać niewiarygodne popisy Owena i Vance'a. Umowa wewnętrzna między Ianem Smithem a Czarnymi, „nieuznawanymi” przez Moskwę, jest niezmiernie chwiejna i słaba dzięki odmówieniu jej legalności przez Anglię i Stany Zjednoczone. Jeśli się rozleci, Zachód może przypisać sobie pełną zasługę za to nowe sowieckie osiągnięcie.

Strach nie może wszelako tłumaczyć wszystkiego. Ludzie przerażeni potrafią się przecież bronić. Ani Europa Zachodnia, ani Ameryka nie doszły jeszcze do tego stanu, w jakim znajduje się królik sparaliżowany wzrokiem węża. Zachód znalazł się po prostu w siłach moralnego szantażu, zastawionych przez skrajnie amoralnego przeciwnika — Sowiety. One decydują kto ma wyzwać Rodezję, a w najbliższej zapewne przyszłości — i Afrykę Południowo-Zachodnią spod panowania białych. Tylko ich kandydaci wchodzi w rachubę. Z problemów Czarnej Afryki starają się uczynić taran, którym mają nadzieję ostatecznie rozwalić Zachodni Świat. Być może, że ich zmasowane w NRD dywizje i 20 tysięcy czołgów — którym nie zagraża już broń neutronowa — nie będą wcale potrzebne. Przecież historia uczy, że wrogie twierdze niekoniecznie trzeba było zdobywać frontalnym atakiem. Czasami wystarczyło je zagłodzić, odcinając dowóz żywności. Jeśli słowo „żywność” zastąpimy „naftą”, historia się zaktualizuje.

Dlatego wszystkie obecne, przyszłe i możliwe imprezy sowieckie lub sowiecko-kubańskie w Etiopii, Somalii, Erytrei, Południowej Rodezji, Południowej Afryce, Namibii, Południowym Jemenie, Afganistanie — to jeden wielki plan strategiczny. Sowiety nie mają najmniejszej ochoty atakować Europy. Wolą obejść ją szerokim łukiem od wschodu, przez południe aż do północno-zachodnich wybrzeży Afryki. Hitler myślał wąsko i kontynentalnie — Breżniew i jego marszałkowie myślą globalnie. Dlatego „wyzwalają” ludy afrykańskie i kolorowe. Gdyby w tej chwili uczeni znaleźli jakieś nowe wspaniałe źródło energii, które wyeliminowałoby ze świata 50 % ropy, to Sowiety z miejsca przestałyby się interesować losem kolorowych ludów. Ale cudownego źródła energii nie ma. Dlatego Zachód nie ma innego wyjścia jak powiedzieć KPZS: wyzwalamie czarnych nic was nie obchodzi. Gdyby was obchodziło — wyzwolilibyście najpierw własnych — niekolorowych poddanych”.

Głęboko zakorzeniony i rozwijający się w narodach naszej sfery humanitaryzm i szacunek dla człowieczeństwa nie musi być artykułem eksportowym Cartera. Są to pociski, które przelatują ponad głowami narodów trafiając w próżnię. Sowietcy przy-

wódcy uważają amerykańskiego prezydenta albo za prowokatora, pomylenia lub zręcznego komedianta. Humanitaryzm Zachodu nie powinien również stać się nową bronią w rękach Sowietów. Kilka lat temu zmarły Juliusz Mieroszewski zacytował zdanie Bernarda Shaw'a z roku 1939: „Nie możemy walczyć z hitlerowcami — powiedział dowcipny starzec — bo sami się w nich zamienimy”. Shaw oczywiście nie miał racji. Jego schemat był zbyt prymitywny. Mieroszewski przypomniał nam, że choć Anglicy przeżyli swoje *najwspanialsze godziny* w latach 1941-1942, nie stali się faszystami.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 3 maja 1978 r.

Korespondencja z Rzymu

Papież, „Czerwone Brygady” i biskup Jan Korec

Oficjalny język watykańskich dokumentów, a zwłaszcza wystąpień papieskich, w sprawach humanitarnych, nie związanych bezpośrednio z wykładaniem doktryny wiary, jest aluzyjny i ogranicza się do przedstawienia generalnych zasad moralnych: nie wchodzi w sytuacje szczegółowe, pomija nazwy krajów i nazwiska zainteresowanych. Od tej reguły są nieliczne wyjątki. Odstępstwo uczynione przez Pawła VI-go w dniu 23 kwietnia br. jest bez precedensu. Na wieść o wyroku śmierci wydanym przez terrorystów na Aldo Moro, w liście odręcznym zwraca się do nich wprost *na klęczkach: uomini delle Brigate Rosse*, suplikując ich o uwolnienie uprowadzonego „po prostu i bez warunków”. W następnych wystąpieniach publicznych osłabił nieco wrażenie tego apelu nazywając terrorystów „samowolnie wyznaczonymi sędziami i katami”. Powtórzył jednak nazwisko uprowadzonego lidera Chrześcijańskiej Demokracji określając go jako „dobrego, uczciwego człowieka” i „wybitnego męża stanu”. W ten sposób angażuje najwyższy autorytet Kościoła Powszechnego. Niedawno ofiarował się jako zakładnik podczas zamachu „piratów powietrza” na samolot Lufthansy, zanim nie odbił go specjalny oddział anty-terrorystyczny na lotnisku w Mogadiscio. Przypomnieć można też depeşe do Franco o akt łaski dla katalońskiego terrorysty komunistycznego, skazanego na karę śmierci.

Sytuacja we Włoszech po zamachu rzymskim doszła do granic paroksyzmu, paraliżując normalne funkcjonowanie struktur państwowych. Papież uznał więc wyzwanie rzucone przez czerwo-

nych brygadystów za wymagające jego osobistej interwencji. Milczał jednak, gdy ta sama organizacja wywrotowa wydała wyrok śmierci na sędziego Sossi w Genui. Dlaczego nie wystąpił dotąd z apelem do Gustava Husáka o zaprzestanie tortur moralnych i fizycznych, którym poddawany jest od lat biskup Korec z Bratysławy? Chory na gruźlicę, dwukrotnie uwięziony (8 lat przesiedział przed wiosną praską, został zrehabilitowany i powtórnie aresztowany w 1974 roku), *impedito* w swych funkcjach kapłańskich, dziś zmuszony do pracy jako tragarz. Dramatyczny apel katolików słowackich o natychmiastową pomoc dla tego męczennika za wiarę opublikował tygodnik *Famiglia Christiana*. Papież milczy. *Due misure, due pesi* (dwie miary), zarzucają Papieżowi liczni katolicy włoscy, świeccy i duchowni.

W znanym mediolańskim dzienniku *Il Giornale nuovo* ukazał się list czytelnika z Bolonii, który redakcja zatytułowała „Milczenie na temat Wschodu”. Czytelnik ten stawia pytanie, cisnące się na usta milionów katolików: „Dlaczego Papież nie uważa za rzecz słuszną reagować publicznie na apele w obronie prześladowanych w bloku sowieckim? Czyżby sądził, że cynizm Czerwonych Brygad jest łagodniejszy od cynizmu Breżniewa? Milczenie Papieża, pozostawiając na bok względy dyplomatyczne, wywołuje oburzenie. To milczenie nie przynoszące żadnych korzyści jest absurdałne, anachroniczne, a dla katolików negatywne i zniechęcające”. Można dodać: milczenie tym bardziej nieuzasadnione, że sami zainteresowani (katolicy czescy, słowaccy, litewscy, prawosławny kapłan ukraiński Romaniuk) od lat wzywają Papieża, by zabrał głos na temat zbrodni przeciwko ludzkości popełnianych pod przykrywką odprężenia i pacyfistycznych sloganów.

Kryzys watykańskiej „Ostpolitik”: winni są komuniści?

Kiedy w czasie mej tury odczytowej przebywałem w lutym w Waszyngtonie pewien członek Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych opowiedział mi o spotkaniu *off-the-record* grupy ekspertów z mons. Casaroli, który przyjechał na konsultacje z Sekretarzem Stanu Vance'em (przed zakończeniem konferencji w Belgradzie). Z mało przekonującego *briefing'u* kierownika watykańskiej dyplomacji wynikało — według wrażenia, jakie odniósł mój rozmówca — że za brak postępów w polityce wschodniej nie jest odpowiedzialna Stolica Apostolska, lecz rządy komunistyczne.

W 1963 roku pewien *monsignor*, który dziś w Watykanie doszedł do wysokiego stanowiska, tłumaczył mi, że podpisany właśnie protokół z Jugosławią powinien stanowić model prawidłowego ułożenia stosunków pomiędzy Stolicą Apostolską a Polską lub Węgrami. Oponowałem nieśmiało: w Jugosławii jest przecież inna sytuacja geopolityczna, narodowościowa i wyznaniowa. Względny liberalizm reżymu Tito nie ma tu nic do rzeczy. Dziś, po 15 latach od tej rozmowy, w tym jedynym kraju komu-

nistycznym, aczkolwiek należącym do państw *non aligned*, z którym Watykan utrzymuje stosunki dyplomatyczne, nie można powiedzieć by wskazany „model” funkcjonował i przysparzał chwały dyplomacji watykańskiej. Niepokojące wieści napływają od kilku miesięcy. Parlament republiki chorwackiej uchwalił ustawę zakazującą prasie katolickiej poruszania zagadnień społeczno-politycznych. Nie pomogły protesty. Występują trudności analogiczne do polskich (z niedawnej przeszłości) w zakresie budowania kościołów (zezwoleń udzielane są według widzimisię władz lokalnych, a nie potrzeb wiernych). Do tegoż parlamentu wniesiono projekt ustawy (określanej przez miejscowych katolików jako „przymusowa ateizacja nieletnich”), ograniczającej prawo rodziców do wychowania religijnego dzieci, nakładającej kary za katechizację poza obrębem kościoła itp.

W Czechosłowacji, po wielu latach jałowych rokowań, jedynym osiągnięciem jest nominacja ordynariusza w Pradze. Dotychczasowy administrator apostolski, kardynał Tomasek, udał się w styczniu (przed nominacją) do Moskwy, Leningradu i Odessy; po powrocie chwalał *pełnię życia religijnego* z jakiej korzystają wierni w ZSSR, a kilku innych biskupów, jak Vrana z Ołomuńca i Ferenec z Bańskiej Bystrzycy, złożyło wiernopoddańcy hołd Husákowi. Zamiast przekazać opinii katolickiej na świecie dokumenty ruchu oporu, listy kapłanów do ich biskupów, fakty prześladowań, łamania praw i charakterów, Watykan osłania faryzeizm i zakłamanie biskupów czeskich skompromitowanych kolaboracją, a jako *wielkie wydarzenie historyczne* komentuje utworzenie prowincji kościelnej ze stolicą w Trnawie. Utworzenie tej metropolii, odpowiadającej granicom państwowym, do której weszło pięć diecezji z obszarami uzależnionymi dotąd częściowo od prowincji kościelnych węgierskich bądź rumuńskich, stanowiło na pewno gest doceniony przez Husáka. Równocześnie jednak nie zgodził się on ani na nominację arcybiskupa metropolity, ani na obsadzenie trzech diecezji *vacat* w Słowacji. Przeciwnie, mons. Gabris, administrator apostolski w Trnawie, po powrocie z ostatniej sesji Synodu, gdzie wystąpił odważnie przeciwko ateizacji, został wezwany do karnego raportu. Poturbowano go w czasie przesłuchań tak dotkliwie, że był zmuszony leżać w szpitalu.

A Węgry? Po wizycie w lutym rządowej delegacji węgierskiej w Watykanie przewidziane jest niebawem nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Wprawdzie dyplomacji watykańskiej udało się zrekonstruować hierarchię kościelną, kilku biskupów nie dotrzymano jednak zobowiązań: po nominacji nie wystąpili z kolaboranckiej organizacji „Księża dla pokoju”. Inni są przedmiotem manipulacji organów rządowych. Urząd d/s Wyznań jest zadowolony — udało mu się *obłaskawić* hierarchię. Efekt? Wierni nie ufają swoim pasterzom, tworzą się grupy spontaniczne, charakteryzujące poza obrębem struktur kościelnych. W Watykanie ten stan faktyczny jest znany. Kiedy Prymas Węgier, kardynał Lekai, zwrócił się do Stolicy Apostolskiej, powołując się na pol-

ski precedens, o uzyskanie przywileju objęcia opieki duszpasterskiej nad emigracją, napotkał na zdecydowaną odmowę — „Co innego Polska, Lekai to nie Wyszyński” — skomentował krótko tę decyzję mój rozmówca z jezuickiego *Civiltà Cattolica*. Węgierska emigracja, duchowna i świecka, zbuntowała się na pewno gdyby Watykan poszedł na rękę Kadarowi. Przestrogi przyszły *nota-bene* również i z środowisk katolickich na Węgrzech.

Na tle tych niepowodzeń (pomijając kompletne fiasko jakiegokolwiek poprawy sytuacji na Litwie) jaskrawo występuje przeciwstawienie strategii dyplomatycznej Watykanu i Kościoła w Polsce. Zaryzykować można paradoksalne na pozór stwierdzenie: jeśli sytuacja w Polsce uległa znacznej poprawie, to doszło do tego niezależnie, a nawet wbrew założeniom dyplomacji watykańskiej. Zasadnicza rozbieżność polega na odmiennej koncepcji normalizacji stosunków Kościół-państwo. Koncepcja watykańska jest oparta na priorytecie kontaktów z rządami komunistycznymi poprzez dążenie do ich instytucjonalizacji i *dialog* w sprawach międzynarodowych: pokoju, odprężenia i rozbrojenia, na co — jak wiadomo — reżymy te są bardzo uczulone. Dzięki tym koncesjom dyplomacja watykańska zmierzała wytrwale, z różnym skutkiem do ustanowienia hierarchii w poszczególnych krajach. Tylko w Polsce ten schemat nie był stosowany, bo nie zachodziła tego potrzeba. Kościół w Kraju sam dał sobie radę.

Druga rozbieżność polega na interpretacji wolności religii. W koncepcji watykańskiej, wprowadzanej dotąd w życie w stosunku do krajów komunistycznych, wolność religii interpretowana jest ściśle i sprowadza się do gwarancji wyłączności wolności kultu. Wolność religii jest pojmowana przez Kościół w Polsce szeroko, jako część integralna wolności indywidualnych i obywatelskich. Co zaś do gwarancji, to panuje sceptycyzm uzasadniony doświadczeniami przeszłości. Jeżeli te rozbieżności w koncepcji i strategii na odcinku polskim odczuwane są mniej dziś niż dawniej, to wyłącznie dlatego że od chwili przejścia misji rokowań przez mons. Poggi Episkopat przeferował, by zasada paralelizmu (równoległe i zsynchronizowane rozmowy Kościół-Państwo i Watykan-Rząd PRL), którą Watykan wprowadził tylko dla Polski, była w praktyce ściśle przestrzegana. Nie oznacza to, by podejście dyplomacji watykańskiej uległo radykalnej zmianie. Można natomiast stwierdzić, że na odcinku polskim nastąpiło przystosowanie się do strategii Kościoła. Mimo dokonanej rewizji metodologicznej pozostaje wciąż jednak niebezpieczny margines, zmuszający Episkopat polski do stałej czujności. Rząd PRL nie zrezygnował bynajmniej z wygrywania tego marginesu dla swych partykularnych celów.

Rozczarowania w zakresie watykańskiej *Ostpolitik* zmusiły Pawła VI-go do próby dokonania realistycznego rozrachunku i pewnej zmiany tonu. Mons. Casaroli uczynił to w sposób charakterystyczny dla obecnego pontyfikatu: połowicznie i wymijająco. Jednak dla kogoś obeznanego z językiem dyplomacji watykańskiej nie trudno o rozszyfrowanie zawołowanej treści.

Chodzi o prelekcję wygłoszoną przez mons. Casaroli w Wiedniu w listopadzie 1977 roku, której tekst został opublikowany dopiero w lutym bieżącego roku przez organ jezuitów *Civiltà Cattolica*. Szef dyplomacji watykańskiej przeznaje, że „polityka odprężenia w swym dotychczasowym przebiegu dostarcza motywów dla wątpliwości i niepokoju i dlatego niezbędna jest ostrożność”. Bierze co prawda pod uwagę brak rezultatów w polityce wschodniej („postęp bardzo nikły”), broni jednak stanowiska Watykanu wobec krytyki, że nie występuje przeciwko niesprawiedliwościom i prześladowaniom w bloku sowieckim. Uważa, że „nie zawsze publiczne wystąpienie i cytowanie nazwisk stanowi najskuteczniejszą formę interwencji, przeciwnie może to zaszkodzić ludziom, którym zamierza się pomóc”. Twierdzi dalej, iż „wybór między celami odprężenia a postulatami sprawiedliwości jest niezmiernie trudny i często nawet dramatyczny”. Następnie czyni wielkie odkrycie: „jest znacznie łatwiej poprawić stosunki między Stolicą Apostolską a rządem komunistycznym, niż między komunistycznym państwem a lokalnym Kościołem”. Nie daje jednak żadnej recepty jak wybrnąć z tego dylematu. W zakończeniu podkreśla, że *dialog może toczyć się jedynie sulle cose* (co do kwestii praktycznych), ponieważ „kontrast między marksizmem we wszelkich wersjach a zasadami moralności chrześcijańskiej nie może być nigdy przezwyciężony”.

Wystąpienie mons. Casaroli wiąże się niewątpliwie z przebiegiem ostatniej sesji Synodu, w czasie której wielu uczestników zabrało głos, domagając się bardziej energicznego i otwartego angażowania się Kościoła Powszechnego w obronę praw człowieka i obywatela. Szef dyplomacji watykańskiej uznał, że należy przywrócić równowagę zachwianą na niekorzyść wymogów sprawiedliwości (w zestawieniu z wymogami *détente*). Ta próba znalazła również wyraz w większej *publicity* wypadków łamania praw ludzkich, a zwłaszcza w tzw. dysydencji religijnej w ZSSR. Na łamach *Osservatore Romano* pojawiło się w ostatnich miesiącach nie tylko więcej informacji, ale i artykuły np. na temat przymusowego internowania więźniów politycznych w zakładach psychiatrycznych.

Sceptycyzm, jaki nagle ogarnął mons. Casaroli i pewną zmianę tonu, którą od niedawna obserwujemy, przypisać należy głównie dwóm czynnikom: strategii polskiego Kościoła, która obnażyła słabości i iluzje watykańskiej polityki wschodniej; następnie wewnętrznej sytuacji we Włoszech. Episkopat włoski zapłacił słoną cenę za brak jasno określonych dyrektyw duszpasterskich. Z odrętwienia przebudził się dopiero po ostatnim sukcesie wyborczym komunistów, kiedy okazało się że wystąpiło zamazanie wyrażonej linii podziału na płaszczyźnie światopoglądowej. Biskupi włoscy popełnili błąd: mianowicie dokonali bezwiednie przeszczepienia na grunt włoski dialogowych konsekwencji watykańskiego otwarcia wobec bloku komunistycznego. Odbłyło się to bez żadnej inspiracji ze strony Watykanu ale wystarczyło do wywołania konfuzji w opinii publicznej. Kiedy biskupi, obojęt-

nie czy w kraju wolnym czy totalitarnym, tracą związek z rzeczywistością to nie potrafią wytyczyć własnej strategii i niepotrzebnie szukają natchnienia w Watykanie, który nie jest powołany (zwłaszcza od II-go Soboru) do rozwiązywania spraw należących do kompetencji episkopatów lokalnych, to wyniki nie każą na siebie długo czekać. Na przestrzeni ostatniego roku w Kościele włoskim nastąpiła na szczęście wyraźna poprawa. Papież interweniował, *nota-bene* pośrednio, dla przywrócenia ładu, obdarzając purpurą kardynalską swego najbliższego współpracownika, Substytutę Sekretarza Stanu, energicznego i zdolnego mons. Benelli'ego, powierzając mu nadto wakującą właśnie diecezję florencką. Papieżowi chodziło tu o wzmocnienie *leadership'u* włoskiej hierarchii. Mons. Benelli, przewidziany przy najbliższej rotacji na przewodniczącego włoskiej Konferencji Episkopatu, jest jednym z najwybitniejszych członków Świętego Kolegium kardynalskiego i zalicza się go powszechnie do *papabili*.

W obronie kultury narodowej

Po poparciu udzielonym przez polską konferencję episkopalną *Latającemu Uniwersytetowi* i postulatów studentów, biskupi wystąpili z listem o „obowiązках katolików w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej”. List ten, który będzie odczytany w kościołach 21 maja br., stanowi bardzo ważny dokument, potwierdzający ponownie, że Kościół polski konsekwentnie walczy przeciwko sowietyzacji. „Walka o kulturę narodową — stwierdzają biskupi — była zawsze rozumiana w Polsce jako jeden z pierwszych obowiązków wynikających z miłości do Ojczyzny”. Widzą dziś „poważne niebezpieczeństwo zagrażające wpływowi rodzimej kultury na wychowanie młodego pokolenia”. List ten wzywa rodziców do „wzmocnionej troski o zachowanie i rozwój naszej kultury narodowej... uzupełnianie tego, czego dzieci nie otrzymują w szkole, zwłaszcza w dziedzinie literatury i dziejów ojczyźnych”; zaś nauczycieli do przeciwstawiania się „nakazowi milczenia o sprawach dotyczących wiary, uczciwego przekazywania narodowej kultury i zaniechania wszelkich ataków na podstawy etyki chrześcijańskiej”.

Niezależnie od tego listu Komisja Episkopatu d/s Wydawnictw przedstawiła 17 kwietnia br. swoje uwagi na temat „książki katolickiej dla Polski w kraju i za granicą”. W dokumencie tym mowa o pogarszającym się od szeregu lat stanie rzeczy w dziedzinie wydawnictw religijnych („stale brak Pisma św., katechizmów, podręczników, modlitewników; nakłady są sztucznie zaniżone i szybko się wyczerpują”). Sprawa wydawnictw i cenzury — zdaniem Komisji — należy do zakresu postulatów, od których zależy postęp normalizacji stosunków Kościół-Państwo. 2 maja br. Rada Główna ogłosiła ten tekst, protestując przeciwko kontroli wydawnictw i monopolowi w zakresie przydziału papieru.

Już w komunikacie Rady Głównej z 20 stycznia br. była mowa

o „trosce o sprawy kultury narodowej i jej chrześcijański i humanistyczny charakter”. Obecny „List Episkopatu” wywołały m.in. niepokojące informacje, uzyskane z miarodajnych źródeł, o nowych programach szkolnych, przewidujących redukcję godzin i obowiązkowej lektury z zakresu najnowszej historii Polski na rzecz literatury uwypuklającej walkę klasową oraz na korzyść dziejów międzynarodowego ruchu robotniczego i państw „socjalistycznych”. W tym świetle sążnisty artykuł Rakowskiego w *Polityce* (25. 3. br.) pt. „Podstawy współdziałania i dialogu” wygląda na próbę wymanewrowania Kościoła na płaszczyznę *realistycznej* współpracy poprzez roztoczenie mirażu ewentualnych korzyści. Jest to jednak — trzeba przyznać — dość zręczny unik od prawdziwych problemów. Określając kazanie księdza Prymasa z 6 stycznia br. (opublikowane w *Tygodniku Powszechnym* z 12. 2. br.) jako „doniosły politycznie dokument” Rakowski przyznaje, że w przeszłości partia popełniła w polityce wobec Kościoła błędy, wynikające z „tendencji sekciarskich, które otwierały drogę do stosowania represji zamiast argumentów”. Autor pragnie „oczyszczyć pole z uprzedzeń, przemilczeń, uproszczeń i mitów” i odcina się od „prymitywnego ateizmu i marksizmu”. Powołuje się na zasługę *przemiany* również i w postawie Kościoła, a zwłaszcza Watykanu (który uznał *nową rzeczywistość socjalistyczną*) i wychwalając postawę Pawła VI-go, redaktor naczelny *Polityki* dowolnie manipuluje tekstem prymasowskim: przemilcza konkretne postulaty Kościoła w dziedzinie kultury, wychowania, stowarzyszeń, wydawnictw, prasy i deformuje istotne fragmenty kazania; wyłuskuje jedynie to, co odpowiada jego tezie o konieczności dążenia do „jedności wokół celów pozytywnych”. Starym zwyczajem dzieli biskupów na „rozumiejących miejsce Kościoła” i na przedstawicieli „nurtu konserwatywnego” (także i „świeckich działaczy”), zniekształcając świadomie słowa ks. Prymasa o liczeniu się z obawami wiernych, że Kościół „pójdzie zbyt daleko” w swych kontaktach z władzami (Rakowski przypisuje te obawy *konserwatystom* w łonie Kościoła). Owiany nagle duchem *tolerancji* postuluje „otwartą dyskusję między marksistami i katolikami”, tak jakby istniały do tego obiektywne przesłanki. Czysty surrealizm!

W tym programowym artykule, który na pewno odzwierciedla stanowisko samego Gierka, Rakowski daje do zrozumienia, że za cenę *współdziałania* w zakresie *dyscypliny pracy* i *utrzymania ładu i pokoju społecznego* Kościół mógłby coś uzyskać („oprócz nierealnych postulatów”). Zaznacza jednak dyplomatycznie, że jest to tylko jego *osobisty pogląd* i uchyla się od sprecyzowania postulatów Kościoła — realnych i *nierealnych*.

Artykuł zawiera elementy racjonalnego rozumowania odległe od dotychczasowej nieokrzesanej propagandy i dlatego zasługuje na analizę. Wynika z niego, że partia widzi dziś w Kościele uprzywilejowanego partnera na płaszczyźnie politycznej, co nie tylko obniża wartość wszelkich katolickich pośredników (już taki się znalazł — *Polityka* zamieściła 22 kwietnia br. polemiczny

głos pła Zabłockiego), ale wyklucza rolę niezależnych twórczych ośrodków myśli politycznej i społecznej — obojętnie chrześcijańskiej czy socjalistycznej lub narodowo-liberalnej orientacji. Co zaś do *współdziałania* z Kościołem w ramach *dyscypliny pracy* tzn. podniesienia wydajności i zwalczania absenteizmu w fabrykach, to warto przytoczyć słowa jednego z członków polskiego Episkopatu: „Możemy pomóc w akcji przeciwko demoralizacji i bumelanctwu, mówimy o obowiązku rzetelnej i solidnej pracy, ale w kontekście swobód obywatelskich. Nie możemy nawoływać robotników do zwiększania wydajności i popędzać ich do roboty jak niewolników”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 3 maja 1978 r.

Widziane z Brukseli

CO NAPISAŁ P. SZEWCZENKO?

Grupa turystów zwiedzających Tel Awiw zatrzymuje się przed okazałym gmachem, na frontonie którego widnieje napis: „Auditorium im. Mann’a”. Po kilku słowach przewodnika, jeden z gości zapytuje:

— Imienia Tomasza Mann’a?

— Nie.

— Henryka Mann’a?

— Nie.

— A jakiego Mann’a?

— Abrahama Mann’a.

— A co on napisał?

— Czek na kilka milionów dolarów.

W pierwszej linii czeku opiewającego tylko na 75.000 dolarów widniało nazwisko p. Szewczenki.

— Jakiego Szewczenki? — spytałem sam siebie.

— Tarasa Szewczenki zapewne — odpowiedziałem też sam sobie, ukraińskiego poety i malarza, XIX-towiecznego wieszcz Ukrainy, o którym musiałem się uczyć przed wojną w szkole we Lwowie i z powodu którego brałem regularnie w zęby, albowiem za ścianą rodzinnej kamienicy mieściła się szkoła jego imienia z boiskiem do futbolu i dziewczynkami.

Nie, odpowiada czek, nie chodzi o Tarasa, chodzi o Arkadego Mikołajewicza Szewczenkę, też Ukraińca, ale nie malarza ani poetę, a dyplomatę.

— A co on napisał?

On napisał pokwitowanie na odbiór czeku na 75.000 dolarów, jeżeli nie liczyć tysięcy raportów służbowych oraz doniesień na kolegów i przyjaciół, na personel i przełożonych.

I to byłoby wszystko? Pozornie tak. Jak bowiem pisało w sklepie przy ul. Gródeckiej, też przed wojną we Lwowie, „po odejściu od kasy reklamacje nie są uwzględniane”. W istocie jednak, nie. Mimo bowiem, iż p. Szewczenko od kasy już odszedł, to ja zgłaszam reklamacje i proszę o ich uwzględnienie. Mam mianowicie kilka pytań w sprawie 75.000 dolarów: kto komu, kiedy, dlaczego i co z tego wynika?

Dwie misje Arkadego

Arkady Szewczenko urodził się przed 48 laty w Gorłowie na Ukrainie, jak sama nazwa wskazuje. Ukończył chlubnie Instytut Spraw Międzynarodowych z wysokim wyróżnieniem organów. Już w roku 1963 zjawia się w misji sowieckiej przy ONZ i to od razu w stopniu radcy ambasady, jako zaufany Jakuba Malika, szefa misji, którego upiór do dziś straszy w kuluarach ONZ jako symbol kamiennej dyplomacji sowieckiej. Kiedy w 1970 roku Arkady opuszcza Nowy Jork jest już ministrem pełnomocnym. W Moskwie funkcjonuje jako radca ministra Gromyki, niedługo zostaje najmłodszym ambasadorem w sowieckim aparacie — zwanym dyplomatycznym — i przewodniczy delegacjom na wiele konferencji rozbrojeniowych. W wyniku wielostronnie owocnej działalności p. Szewczenki świat może zanotować skomplikowany wynik: postępy rozbrojenia są odwrotnie proporcjonalne do postępów w karierze p. Szewczenki. Jest to tylko sprzeczność pozorna, w istocie bowiem Kremlowi o to właśnie chodzi: jak najmniej rozbrojenia, jak najwięcej Szewczenków.

Nikogo więc nie zdziwiło, że kiedy w 1973 roku Kreml miał obsadzić (jest to stanowisko zastrzeżone dla Rosji) najwyższy, po sekretarzu generalnym, fotel w ONZ, wybór padł bez wahania na Arkadego Szewczenkę. Obejmując gabinet na najwyższym piętrze gmachu nad rzeką Hudson z widokiem aż po statwę Wolności, Szewczenko miał zleconą misję podwójną. Oficjalnie, na zlecenie p. Waldheima, Szewczenko odpowiedzialny był za sprawne funkcjonowanie Rady Bezpieczeństwa i innych organów politycznych ONZ oraz za kierowanie pracą podległych mu ok. 200 tzw. międzynarodowych urzędników. Nieoficjalnie, na zlecenie p. Gromyki, ten sam Szewczenko odpowiedzialny był za wykonywanie instrukcji Kremla, za szybkie i dokładne informowanie Moskwy o wszystkim co w podległych mu delikatnych dziedzinach polityki się działo oraz za nadzór nad setkami sowieckich urzędników, zatrudnionych w sekretariacie generalnym ONZ.

W zamian za to wszystko Szewczenko otrzymywał roczne uposażenie w wysokości 76.000 dolarów USA, z czego, po rozmaitych potrąceniach (socjalnych a nie podatkowych, broń Boże) pozos-

tawało mu jakieś marne 44.000, co, jeżeli wziąć pod uwagę bardzo szerokie awantaże w naturze, ulgach celnych, zwroty delegacji i wydatków służbowych i reprezentacyjnych, specjalne sklepy, wódka prawie darmo, mieszkanie i samochód służbowe... *passons en...* wystarczyło na skromne proletariackie utrzymanie p. Szewczenki, żony Leonginy, 16-letniej córki Anny oraz na posyłanie jeans'ów i płyt „pop” synowi Genade'mu, znakomicie zapowiadającemu się urzędnikowi także MSZ, przydzielonemu do sowieckiej misji... rozbrojeniowej w Genewie. Wystarczyło także na opłacanie składek partyjnych. I wszyscy byli szczęśliwi...

Do 10 kwietnia 1978 roku. Tego dnia, Arkady Szewczenko, szef trudny i wymagający, niesympatyczny i mrukliwy („prawdziwy stalinowiec” mówili o nim jego podwładni nieznający „Krótkiego kursu WKP(b)”, opuścił biuro kiedy gmach był już prawie pusty. „Pracusz”, pomrukiwali strażnicy salutując dygnitarza bez zdziwienia zresztą, albowiem ostatnimi czasy Szewczenko coraz częściej wysiadywał po godzinach. „Przygotowuje ważne sprawozdanie, mawiali ludzie zorientowani. Jedzie do Moskwy, może będzie odwołany, żona i córka już dwa dni temu wyjechały”.

Dwa komunikaty

Następnego dnia p. Szewczenko nie zjawił się w biurze. Zadzwoił tylko, żeby zamknąć drzwi do jego gabinetu, bo on udaje się w podróż służbową. Ponieważ p. Waldheim był, jak zwykle, nieobecny, dokonując jednej ze swych inspekcji, po których sytuacja zawsze się pogarsza w odwiedzanej przez niego strefie, więc Szewczenko nie musiał się przed nikim tłumaczyć. Bomba wybuchła w 24 godziny później: dwa komunikaty poszły w świat. Pierwszy ogłoszony został przez rzecznika sekretarza generalnego ONZ: p. Szewczenko, zastępca sekretarza generalnego ONZ zawiadomił mianowicie swego formalnego szefa, że opuszcza swój urząd z powodu „rozbieżności z rządem sowieckim”. Drugi komunikat ogłoszony został przez rzecznika Departamentu Stanu USA: mecenas Ernest Gross zawiadomił mianowicie władze amerykańskie, że jego nowy klient niejaki p. Szewczenko zdecydował się nie wracać do Moskwy.

Jak zwykle, Moskwa milczała. Reszta świata odwrotnie. Z kilometrów depesz wynikało, że chodzi o największą ucieczkę w historii dyplomacji sowieckiej. Szewczenko był rzekomo w posiadaniu bardzo delikatnych informacji, nie schodził właściwie z czerwonego olimpu, stanowił wraz z ambasadorem w Waszyngtonie Dobryninem i ambasadorem przy ONZ Trojanowskim wielki trójkąt czerwonej siatki w USA. Niedawno jeszcze towarzyszył Waldheimowi w podróży do Moskwy i jako numer 2 ONZ został przyjęty przez Breżniewa. Niektórzy porównywali awanturę Szewczenki z aferą Światły czy Tykocińskiego lub ucieczką por. Belenko na najtajniejszym MIG-25.

Ucieczka Szewczenki wydała się niektórym dziennikarzom

amerykańskim tak nadzwyczajna, że zaniepokoił się czy nie odbije się ona niekorzystnie na rokowaniach SALT II i wydawali się żałować, że otrzymali tak zatruty prezent. Nawet wybór adwokata wydał się im dwuznaczny. P. Gross był mianowicie kiedyś bardzo wysokim urzędnikiem Dep. Stanu, kilkakrotnie członkiem amerykańskiej delegacji na zgromadzenia generalne ONZ oraz związany był z Radiem Wolna Europa, co ciągle jeszcze uchodzi w oczach niektórych delikatnych jankesów za towarzystwo podejrzane. Ponadto szybki w informacji tygodnik *Time* doniósł, że Szewczenko już od dwóch lat był w kontakcie z CIA, której, w zamian za 100.000 dolarów, ofiarował był rzekomo pełną informację o metodach dezinformacji praktykowanych przez KGB. Ponieważ — dodał *Time* — rząd amerykański nie kwapił się z wypłatą, Szewczenko czekał na oferty z innych krajów.

W takiej atmosferze tajemniczo-absurdalnej Moskwa miała ułatwione zadanie. Kiedy TASS uznał, że należy zabrać głos dodał tylko nieco bredni, a władze sowieckie złożyły w Waszyngtonie ostry protest przeciwko „prowokacji wywiadu USA wobec Arkadego Szewczenki, obywatela sowieckiego, urzędnika ONZ”. Żona Szewczenki potwierdziła tę tezę: wyraziła zdanie, że „chodzi tu o prowokację albo o szaleństwo” i wyraziła pewność, że jej mąż niedługo powróci do ZSSR: „On nie lubi Ameryki, kocha natomiast ojczyznę i rodzinę”.

Wszyscy byliby szczęśliwi!!!...

Dwa tygodnie później Leongina Szewczenko popełniła samobójstwo. Truła się środkami nasennymi, a jej zwłoki znaleziono w szafie. Jej syn powiedział, że chciałby móc osobiście zakomunikować tę wiadomość ojcu... Okazało się więc, że Szewczenko kocha ojczyznę i rodzinę tylko do pewnego stopnia. Wszyscy poczuli się ogromnie zażenowani, wszyscy chcieli jak najprędzej ten niemiły incydent zakończyć. Kiedy dwa spotkania zaaranżowane przez mecenasa Grossa między Szewczenką z jednej strony a ambasadorami Trojanowskim i Dobryninem z drugiej strony nie przyniosły skutku, sprawę wziął w swe niezawodne ręce p. Waldheim.

Sekretarz generalny ONZ przyjął grzecznie swego zastępcę, zrobili razem obliczenia i doszli do porozumienia. Był to, nawiasem mówiąc, jedyny konflikt o charakterze międzynarodowym, który udało się p. Waldheimowi polubownie załatwić. Oficjalnie, sprawa jest prosta: chodzi o pokój na świecie i interes ludzkości, na których straży stoi, jak wiadomo, p. Waldheim (do niedawna stał na tej straży w towarzystwie Szewczenki). „Zgodnie z regulaminem ONZ, pouczył nas komunikat p. Waldheima, sekretarz generalny ONZ może położyć kres nominacji jednego z członków sekretariatu, jeżeli akt taki leży w interesie instytucji, i pod warunkiem, iż członek ów nie kwestionuje decyzji sekretarza generalnego”.

Tyle na temat ideologii członka, który nie kwestionuje. Praktycznie zaś rzecz biorąc w zamian za ideologiczne i dyskretne natychmiastowe opuszczenie swego gabinetu Szewczenko otrzymał czek na 76.116 dolarów: 34.855 tytułem odszkodowania za przedwczesne rozwiązanie umowy, 24.368 tytułem zwrotu wpłat poczynionych do kasy emerytalnej ONZ i 16.893 dolarów z tytułu niewykorzystanych urlopów oraz jako zwrot wydatków poczynionych przy zainstalowaniu się w Nowym Jorku a także jako wypłata przewidzianych kosztów... przenosin do Moskwy.

Można na ten rachunek sumienia patrzeć w dwojaki sposób. Nie jest to zły interes, jeżeli zważyć, że gdyby Szewczenko został na swym stanowisku (co było teoretycznie możliwe) do chwili wygaśnięcia kontraktu w kwietniu 1980, to ONZ — czyli my wszyscy — musielibyśmy mu wypłacić jeszcze ponad 200.000 dolarów. Jest to jednak interes fatalny, jeżeli zważyć, że i tak te 200.000 dolarów wpłynę do kieszeni następcy Szewczenki, bez którego p. Waldheim nie mógłby skutecznie bronić pokoju. Na to nie ma jednak rady, tak chce regulamin i w chwili kiedy Szewczenko odszedł od kasy z czekiem na 76.000 dolarów kilka osób odetchnęło z ulgą.

Po pierwsze, sam Arkady Szewczenko. 76.000 dolarów na rozpoczęcie nowego życia to nie jest najgorzej, tym bardziej że od trzech lat Szewczenko ma już podpisany kontrakt na sporą książkę. Wielkie wydawnictwo „Knopf” zamówiło u niego książkę o rozbrojeniu, ale na pewno zgodzi się na inny temat, bardziej osobisty, nawet jeżeli będzie musiało w tym celu podnieść stawkę za arkusz. W każdym razie, z wielu widm, które będą Szewczenkę w przyszłości nachodzić (żony zaszczutej na śmierć i dzieci w rękach KGB), widmo głodu jest chyba definitywnie odsunięte.

Po drugie, p. Waldheim. „Złoty kompromis” z Szewczenką pozwala mu zakończyć tę nieprzyjemną sprawę, która tak bardzo rozgniewała Kreml, a Waldheim bardzo nie lubi kiedy Kreml się gniewa. Kreml też zresztą chciał, i to za wszelką cenę (zwłaszcza z naszych podatków), szybkiego wymazania Szewczenki z rejestru spraw bieżących. Kremłowi zależało mianowicie na jak najszybszym obsadzeniu stanowiska zastępcy p. Waldheima, wyjątkowo ważnego w trakcie ostatnich przygotowań do sesji ONZ na temat rozbrojenia, za które to właśnie Szewczenko był odpowiedzialny. Na ostatnim piętrze ONZ, po prawicy p. Waldheima, urzęduje już Michał Sytenko, też ambasador, też fachowiec od rozbrojenia, zwłaszcza na... Bliskim Wschodzie, i też zaufany i oddany człowiek min. Gromyki.

Wszyscy, z wyjątkiem rodziny Szewczenki, powinni być zadowoleni. I byliby, gdyby nie gadulstwo Szewczenki. Nie wystarczyło mu mianowicie inkaso 76 kawałków i wolność od KGB, musiał jeszcze dorobić do tego ideologię i bardzo wyszukaną teorię polityczną.

„Jak wiadomo — oświadczył Szewczenko kilka godzin po przelaniu 76.000 na swoje konto — doszliśmy z sekretarzem generalnym do porozumienia co do warunków mojego odejścia z se-

kretariatu generalnego ONZ. Mam zamiar obecnie podjąć kroki prawne niezbędne do uzyskania prawa zamieszkania w USA, gdzie, mam nadzieję, będę mógł prowadzić normalne i pożyteczne życie. Jak również wiadomo (komu i od kiedy — dop. mój, B.), bardzo poważne różnice jakie zachodzą pomiędzy mną a aktualnym ustrojem sowieckim w dziedzinie filozofii politycznej i przekonaniach doprowadziły mnie do odmówienia wykonania polecenia rządu sowieckiego udania się do Moskwy w celach służbowych. Uważam mianowicie, że rząd ZSSR nie ma prawa udzielania takich poleceń urzędnikowi instytucji międzynarodowej. Poinformowałem ponadto sekretarza generalnego ONZ o moim przekonaniu, iż wchodzenie w szczegóły moich rozbieżności z ustrojem sowieckim nie leżałoby w interesie jego instytucji. Uważam również, że publiczna dyskusja na temat moich osobistych poglądów odbić by się mogła niekorzystnie, w chwili obecnej, na stanie stosunków amerykańsko-sowieckich oraz na położeniu mojej rodziny w ZSSR...”

Choć tak w odniesieniu do stosunków amerykańsko-sowieckich jak i do położenia rodziny w ZSSR, Szewczenko się mylił (stosunki nie ucierpiały, rodzina — tak), to jego oświadczenie nie przeszło bez echa.

W teorii jest prześlicznie...

Po pierwsze, deklaracja Szewczenki wywołała ogromne zaskoczenie wśród personelu ONZ. Szewczenko znany tam był mianowicie ze swego całkowitego bez reszty posłuszeństwa wobec Moskwy. Regularnie uczestniczył w odprawach „aktywu” sowieckiego w aparacie ONZ, nigdy nie zaniedbał wstąpić do gmachu misji ZSSR przy ONZ dla odebrania bieżących instrukcji, miał pełne zaufanie Gromyki, zachowywał się zresztą nie jak międzynarodowy dyplomata, a jak sowiecki komisarz, brutalnie i biurokratycznie, gorzej nawet od innych sowieckich urzędników w ONZ. Krótko mówiąc nikt nic nie wiedział o rozbieżnościach co do filozofii i przekonań, wszyscy natomiast znali wierność Szewczenki wobec portretów wiszących nad jego fotelem w biurze i w domu.

Ale, po drugie, oświadczenie Szewczenki zwróciło uwagę świata na żenującą i przemilczaną kwestię statutu, położenia i roli narodowych urzędników międzynarodowych instytucji. Wprowadzenie do tego tematu wymaga chwili skupienia. Otóż, międzynarodowe życie współczesne zakładające, zgodnie ze światłą nauką prof. Brzezińskiego, stałe przenikanie się współpracy i współzawodnictwa rozmaitych państw, grup i systemów, spowodowało ogromny rozwój sieci instytucji międzynarodowych. Poza tysiącami instytucji prywatnych, świat objęty jest siecią ok. 200 instytucji międzynarodowych o charakterze oficjalnym. Zawiadują one budżetami idącymi w miliardy dolarów. Ok. 100.000 urzędników, świetnie na ogół żyjących, zajmuje się marnotrawieniem tych

miliardów w najrozmaitszych dziedzinach: dyplomacji (ONZ), kultury i oświaty (UNESCO), gospodarki i statystyk, handlu i finansów, pracy i związków zawodowych, lotnictwa cywilnego i meteorologii, rolnictwa, zdrowia, poczty, łączności, techniki, sportu... Przystępując dobrowolnie i suwerennie do jednej albo do wielu z tych instytucji państwa członkowskie nabierają pewnych praw, co jest jasne i zawsze wykorzystywane, oraz zaciągają pewne zobowiązania, co jest mniej jasne i z reguły nieprzestrzegane.

Najważniejszym z tych zobowiązań jest przestrzeganie niezawisłości instytucji międzynarodowych i powstrzymanie się od prób wywierania na nie nacisku rządowego. Wynika z tego zasada neutralności instytucji międzynarodowych i urzędników mających realizować jej cele. Ta święta zasada zakłada naturalnie, to przecież logiczne, niezawisłość i immunitet urzędnika instytucji międzynarodowych. Oczywiście, immunitet ten kryje urzędnika międzynarodowego wyłącznie w zakresie pełnienia jego funkcji (a nie kiedy rabuje kasę lub morduje żonę), ale w zakresie jego funkcji kryje go całkowicie, niezależnie od miejsca i okoliczności, także albo przede wszystkim wobec kraju, którego ów urzędnik jest obywatelem. Istotnie bowiem, funkcja urzędnika międzynarodowego byłoby absolutną fikcją, gdyby ów urzędnik, mimo oficjalnego międzynarodowego i neutralnego charakteru jego misji, mógł być przedmiotem nacisku, gdyby np. mógł być siłą zatrzymany przez władze jego kraju, odwołany w każdej chwili, pozbawiony swych funkcji lub nawet wolności przez rząd, który go do tej funkcji delegował a który jest w pewnym momencie z jego urzędowania niezadowolony dlatego że — powiedzmy — ów urzędnik realizuje cele instytucji międzynarodowej także kiedy stają one (to przecież możliwe) w kolizji z instrukcjami jego rządu.

...w praktyce mniej...

Uff! Tyle, mniej więcej, teoria. Państwo nie wzięli jej poważnie. Państwa także nie. Od nich zależy przecież mianowanie wszystkich Szewczenków, od nich zależy także faktycznie ich odwołanie. Szewczenkowie siedzą za granicą nie po to aby spełniać jakieś wyimaginowane idealne misje czy posłannictwa, a po to aby działać zgodnie z instrukcjami i z interesem rządów, a nawet poszczególnych tzw. resortów, które ich na te złote posady wysłały.

Cała reszta to bujda i literatura. Tak było zawsze i tak jest dzisiaj, tyle że nie zawsze odbija się to skandalem. O statucie urzędnika międzynarodowego mówi się jak o chorobach wenerycznych, z zażenowaniem i kiedy nie można już milczeć. Skandal więc wybuchał kiedy za czasów McCarthy'ego Stany Zjednoczone prowadziły polowania na czarownice wśród swoich „niezależnych” urzędników ONZ lub kiedy, po inwazji w 1968 roku,

Czechosłowacja wycofała z zagranicy dziesiątki swych „niezależnych” urzędników, podejrzanych o sympatie dla Dubczeka. Jeżeli chodzi o ZSSR, który jak zwykle przoduje, to nie warto nawet wspominać. Artykuł 100 Karty ONZ mówi, że personel międzynarodowy nie powinien otrzymywać instrukcji od swych rządów i że poszczególne rządy nie powinny wywierać nacisków na urzędników, ani zmuszać ich do działania niezgodnego z ich statutem... Kolosalny procent urzędników międzynarodowych pochodzenia sowieckiego wydalanych za szpiegostwo wystarczy, aby zamknąć ten niepoważny rozdział o rozżewie między teorią a praktyką prawa międzynarodowego.

Dumitrescu nie miał szczęścia

Święte oburzenie Szewczenki na próby wywierania na niego nacisku przez Moskwę jest więc cyniczną hipokryzją, tym bardziej, że znajdując się poza zasięgiem ramienia KGB, w warunkach wolności i bezkarności, Szewczenko mógłby coś naprawdę poważnego wywalić nie po to, aby zlikwidować sprzeczność między teorią a praktyką, bo to niemożliwe, ale aby pomóc innym urzędnikom w kolizji z ich rządami, ale w mniej luksusowych sytuacjach.

Aby pomóc np. Sorin Dumitrescu, który przez 2 lata wołał o szacunek dla statutu urzędnika międzynarodowego, ale w zgoła odmiennych warunkach. Dumitrescu, wysoki urzędnik UNESCO nie tylko nie otrzymał 75.000 dolarów, ale przesiedział w więzieniu w ojczystej Rumunii, aresztowany w trakcie wykonywania jak najbardziej służbowych czynności. 50-letni Dumitrescu pełni od 1969 roku funkcję dyrektora departamentu hydrologii UNESCO. W tym właśnie charakterze Dumitrescu w czerwcu 1976 roku udał się do Bukaresztu, gdzie miał reprezentować dyrektora generalnego UNESCO na konferencji w sprawie wody oczyszczenia. Żona i córka towarzyszyły mu w podróży, bo wszyscy mieli zamiar spędzić wakacje i wydać dewizy w kraju. Przedtem jednak Dumitrescu winien był też w sprawie wody udać się jeszcze do Bułgarii. Ale 15 czerwca 1976, w chwili kiedy na zasadzie paszportu dyplomatycznego urzędnika międzynarodowego Dumitrescu zamierzał przekroczyć granicę rumuńsko-bułgarską, został on zatrzymany przez władze swego kraju, odstawiony ciupasem do Bukaresztu, aresztowany i postawiony w stan oskarżenia jako podejrzany o „przestępstwa natury dewizowej”. Nic prostszego w krajach gdzie, jak wiadomo, wszyscy urzędnicy międzynarodowi są zobowiązani do oddawania części swych dewizowych uposażeń do skarbu państwa. Kiedy okazało się, że to nieprawda, że choć były jakieś niedopłaty, to już dawno zostały one uregulowane, wówczas Dumitrescu, znowu z absolutnym pogwałceniem wszystkich statutów międzynarodowych, został powołany... do wojska, a potem skazany na areszt domowy itd... Sprawa Dumitrescu była przedmiotem osobistego *démarche* dyrektora

generalnego UNESCO u prez. Ceausescu (pisarz Goma nazywa go Catastrofescu), oraz tematem niekończących się debat władz tej organizacji. Zaprotestowała także potężna Unia związków pracowników instytucji międzynarodowych.

Przez 2 lata wszystko było na nic i nadaremno, mimo iż, zdaniem UNESCO, „chodziło tu o niesłuchanie poważną sprawę” i że zachowanie się Rumunii stawiało pod znakiem zapytania w ogóle działalność urzędników międzynarodowych i gwałciło wszystkie zobowiązania podjęte przez Bukareszt. Aby dać wyraz prawnemu aspektowi tego gwałtu Dumitrescu rzekł się nawet rumuńskiego obywatelstwa. „Mój dramat, powiedział ów urzędnik międzynarodowy, chroniony przez dziesiątki paragrafów, polega na tym, że jestem więźniem mojego własnego kraju, ofiarą ustroju, który sam dobrowolnie wybrałem w 1945 roku. Władze moje mówią: 'jesteś obywatelem rumuńskim, państwo może z tobą robić co mu się podoba'. Ponieważ feudalny charakter tego argumentu mi nie odpowiada, ponieważ żaden dialog z władzami nie jest faktycznie możliwy, zdecydowałem się złożyć rezygnację z obywatelstwa rumuńskiego...”.

Pewien dialog okazał się jednak możliwy. Ceausescu uległ presji, wypuścił Dumitrescu i „niezależny urzędnik”, nie na długo zapewne, wrócił jak gdyby nigdy nic na swój fotel. Tak więc Szewczenko dostał 75.000 dolarów za odejście, a Dumitrescu płaci samozakneblowaniem i milczeniem za przyjsie. No i wszystko jest w porządku. Pozornie...

Dlaczego tak drogo?

Sprawy Szewczenki i Dumitrescu, choć tak odmienne, mają jednak coś wspólnego. Demaskują mianowicie jedną z najbardziej cynicznych manipulacji politycznych w skali międzynarodowej, ujawniają fikcję niezależności urzędników międzynarodowych i fikcję suwerennego działania instytucji międzynarodowych. Nie są to przykłady ani jedyne, ani najbardziej wymowne. Haniebne milczenie i biurokratyczna odmowa Międzynarodowego Biura Pracy zajęcia się inicjatywą powołania w Polsce i ZSSR niezależnych związków zawodowych, uległość UNESCO wobec machinacji i mafijnych nacisków paraliżujących faktycznie jej działalność, nie mówiąc już o manipulowaniu maszynką wielkościową w ONZ, której cała działalność sprowadza się do piętnowania Afryki Południowej, Rodezji i Izraela i w której w Komisji Praw Człowieka zasiadają Uganda, Irak czy Libia, wszystko to wykazuje, ba, wykazało już dawno, że wielkie i superpotężne organizacje międzynarodowe są w istocie w niewoli, są zakładnikami wielkich państw czy grup państw. I wykazuje, że tzw. międzynarodowi urzędnicy są zwyczajnymi pełnomocnikami czy nadzorcami wysłanymi przez poszczególne rządy, aby pilnować interesów nie jakiejś mitycznej ludzkości, a tylko ich własnych interesów.

Pewnie, sytuacje bywają różne. W przypadku Szewczenki chodzić może o szpiegostwo (i to podwójne), o pieniądze i *dolce vita*; w sprawie Dumitrescu i Szewczenki widać, że w grę wchodzić mogą dramaty rodzinne i losy człowieka, a nawet jego życie. Ale niezależnie od ludzkich tragedii, wszystkie te sprawy wykazują bezradność wielkich organizacji międzynarodowych wobec racji stanu państw członkowskich, państw potężnych, bogatych, lub po prostu bandyckich. Wszystko to jest dlatego ważne, że ujawnia prawdziwy powód kryzysu tych instytucji i prawdziwą przyczynę ich bezradności i ich kompromitującej nieskuteczności.

Kiedy męczyłem się w poszukiwaniu *chute* czyli zabawnego zakończenia tej smutnej historii, życie samo dopisało epilog. Wpadła mi mianowicie w ręce jednomyślna uchwała komitetu wykonawczego UNESCO co do nowych zasad przyjmowania i badania skarg na gwałcenie praw człowieka. Jest to procedura ogromnie skomplikowana i uczona, absolutnie nie do oddania w normalnym języku. Ale spróbuję...

Wynika z niej, iż po to aby UNESCO mogła zająć się obroną złamanego prawa człowieka — nie mówiąc już o obronie złamanego człowieka bez żadnego prawa — skarga musi być zgodna z zasadami UNESCO, Powszechną Deklaracją Praw Człowieka, Kartą ONZ i szeregiem innych dokumentów międzynarodowych. Zgodna z tymi dokumentami skarga nie może być ponadto „nie-wystarczająco udokumentowana”, ani anonimowa. Po otrzymaniu skargi (zgodnej itd...) dyrektor generalny UNESCO musi zapytać jej autora czy nie widzi on przeszkód w zakomunikowaniu *dossier* zainteresowanemu rządowi i w ujawnieniu tożsamości autora skargi. Po otrzymaniu zgody skarżącego się, jego rząd zostanie powiadomiony o skardze i wezwany do udzielenia odpowiedzi, po czym zbierze się specjalna komisja UNESCO, aby uznać czy tak skonstruowana skarga odpowiada warunkom i czy może być przyjęta. Jeżeli egzamin wypadnie pomyślnie, to komisja podejmie kroki w celu „przyczynienia się do uzyskania rozwiązania polubownego, zdolnego do umocnienia praw człowieka w zakresie kompetencji UNESCO...”. To nie koniec jeszcze. Dopiero bowiem po próbach „przyczynienia się” specjalna komisja przedstawi komitetowi wykonawczemu UNESCO poufne sprawozdanie i odpowiednie zalecenia.

Nie wiem ile czasu i pieniędzy kosztowało wypracowanie tej uchwały. Wiem tylko, że ciągle nie wiem jaki będzie los skargi złożonej w UNESCO, wydaje mi się jednak że w czasie procedury, według której UNESCO przyrzeka bronić człowieka „w zakresie swych kompetencji”, człowiek po prostu zdechnie.

Ta moja wątpliwość przerodziła się w absolutną pewność kiedy przeczytałem entuzjastyczny komentarz jednego z ambasadorów, współuczestniczących w zredagowaniu wspomnianej procedury. Ambasador ów uznał więc, że nowa procedura zapewnia mocną podstawę dla akcji UNESCO w obronie praw człowieka, zwłaszcza zaś w dziedzinie gwałtów masowych i wyjątkowo brutalnych. Ambasador i współautor dodał jeszcze, iż nowe zasady

są tym cenniejsze, iż wykluczają wszelką ingerencję w sprawy wewnętrzne państw i uniemożliwiają UNESCO przekształcenie się w rodzaj międzynarodowego trybunału. Tym zadowolonym mówcą był delegat sowiecki p. Kutakow. Nie muszę dodawać, iż nikt spośród dziesiątków członków Komitetu wykonawczego UNESCO nie zwrócił mu uwagi na niestosowność tych żartów i nie powiedział co myśli o jego wykładni sposobu w jaki UNESCO będzie bronić praw człowieka i ludzkości „w zakresie jej kompetencji”...

Ja wiedziałem, że wszystkie organizacje międzynarodowe to kpina ze zdrowego rozsądku i parodia sprawiedliwości. Nie wiedziałem jedynie, że to mnie tak drogo kosztuje...

BRUKSELCZYK

Pisane 12 maja 1978.

P.S. „Gdy wskazuję znanemu dziennikarzowi, jak doskonale napisał coś w *Kulturze* Leopold Unger, replikuje: „Panie, a kto by nie pisał dobrze gdyby uciekł? Nie sztuka pisać, kiedy pozwalają...”.

„Znany dziennikarz”, rozmówca Kisiela (patrz *Kultura* Nr 5/1978, str. 105) jest może znany, ale jest przede wszystkim głupi i nie warto go było cytować.

Po pierwsze, bowiem, się myli. Jak wynika z moich informacji, a pochodzą one z najlepszego źródła, Leopold Unger nie uciekł, a został z Polski jak najbardziej legalnie wyjechany. Był zaopatrzony, zapodaje to do wiadomości znanego dziennikarza — no i Kisiela przy okazji — w maleńki, ale legalny świstek papieru, z godłem narodowym na górze, z którego (świstka a nie godła) wynikały tylko dwie legalne rzeczy: a) że na mocy legalnej uchwały Rady Państwa PRL, L.U. nie jest obywatelem tego państwa; i b) że ów legalny świstek upoważnia L.U. do legalnego wyjazdu z PRL, natomiast nie upoważnia go do legalnego powrotu do PRL. No i gdzie tu ucieczka?!

Ale, po drugie, i to jest znacznie ważniejsze, teoria znanego dziennikarza absolutnie mija się z prawdą i nie odpowiada historycznej rzeczywistości. Rozpatrzmy bowiem w skrócie wszystkie możliwe wersje tej popularnej w niektórych kołach zawodowych legendy o ucieczce i geniuszu.

Teza a: ucieczka pozwala dobrze pisać. Nieprawda! L.U. z Polski nie uciekł, natomiast uciekło z niej bardzo wiele innych osób, z których bardzo niewiele pokazało, że umieją dobrze pisać kiedy wolno.

Teza b: Nie sztuka pisać, kiedy pozwalają. Nieprawda. Sztuka. Znanemu dziennikarzowi pozwalają, a nie umie.

Teza c: Pozostanie w kraju uniemożliwia dobre pisanie. Nieprawda. Kisiel udowodnił, że można dobrze pisać kiedy zabraniają i kiedy pozwalają. Osobiście wolę nawet jego pisanie, kiedy mu zabraniają. Nie zawiera ono wówczas cytatów ze znanych ale głupich dziennikarzy. I jest znacznie ciekawsze.

B.

Kraj

Stosunki polsko-ukraińskie widziane z Kraju

Z wielkim zainteresowaniem i uznaniem przeczytałem w ostatnich zeszytach *Kultury* paryskiej artykuły omawiające problem ukraiński (maj, lipiec-sierpień, październik 1977). Należę do pokolenia, które śledzi z największą uwagą i głębokim współczuciem losy tego bratniego narodu, z którym związały nas dzieje.

Deklaracja w sprawie ukraińskiej jest doniosłym etapem na trudnej drodze walki o sprawiedliwość dla tego udręczonego narodu, któremu należy się wolność, suwerenność i niepodległość.

Wolność i niepodległość są nieodzownymi warunkami normalnego rozwoju narodu, a więc składających się nań poszczególnych jednostek — osobowości ludzkich. Niewola zawsze wypacza, rodząc w głębi świadomości różne urazy i kompleksy. Co gorzej, uniemożliwia niejako podejście do realiów życia w sposób obiektywny. Tak było i częściowo jest jeszcze z psychiką polską, tak jest tym bardziej z psychiką ukraińską, gdyż w istocie państwowość ukraińska istniała stosunkowo krótko a brak wolności trwał stulecia. Tym chyba a nie złą wolą należy tłumaczyć pewne stwierdzenia zawarte w „Głosie Ukraińców z Polski” (*Kultura* nr 9, 1977). Zanim przejdę do szczegółów, poruszę parę problemów natury bardziej ogólnej.

Jest już chyba truizmem ciągle powtarzanie prawdy oczywiście, że bez dogadania się Polaków i Ukraińców nie tylko nie będzie na trwałe ich wolności i suwerenności, ale w ogóle, w tej strefie Europy, nie będzie trwałego pokoju. Jest to tak zwany „problem Środkowej Europy”, który Niemcy i Rosjanie załatwiali na swój sposób, nie bacząc na dobro żyjących tam narodów.

Pogodzenie się Polaków z Ukraińcami nie tylko dałoby ich narodom warunki rozwoju ale ustabilizowałoby sytuację na tych terenach raz na zawsze, co byłoby z pożytkiem dla całej Europy a nawet dla całego świata. Oto problem niezmiernej wagi. Stwier-

dzić należy, że olbrzymia większość Polaków czujnych na znaki czasu i nie poróżnionych z historią, ma pełne zrozumienie dla praw i słuszných aspiracji narodu ukraińskiego.

Albowiem cała historia, a przede wszystkim ostatnie dziesięciolecie, dowiodły ponad wszelką wątpliwość, *kto* jest głównym a nawet biologicznym wrogiem narodu ukraińskiego. Zdają sobie z tego w pełni sprawę Ukraińcy żyjący nad Dnieprem i Dniestrem. Każdej emigracji grozi oderwanie się od rzeczywistości i patrzenie pod kątem zaścianka, z którego się wyszło. Tę wizję przechowuje się pieczętując dziesiątkami lat, nie bacząc że w kraju zmieniło się wiele i sprawy poszły już daleko naprzód.

Z tym zastrzeżeniem należy też traktować *Głos Ukraińców z Polski*, żyjących na emigracji. Wizja musi być całościowa, a nie fragmentaryczna, i to zarówno pod względem czasu jak i przestrzeni.

Pod względem czasu. Obojętnie jaka będzie Rosja w przyszłości, biała, czerwona czy szara: jeśli nie wyrzeknie się imperializmu, będzie zawsze śmiertelnym niebezpieczeństwem dla sąsiadów a w pierwszym rzędzie dla Ukrainy. Utrata Ukrainy, to utrata statusu supermocarstwa, i to nie tylko ze względów gospodarczych, niepośledniej wagi, ale również ze względów strategicznych. Niepodległa Ukraina, to zepchnięcie Rosji na wschód, to zamknięcie drogi na Morze Czarne, a pośrednio i Śródziemne... Rosjanie o tym dobrze wiedzą. Utwierdziło mnie w tym przekonaniu jedno zdarzenie: rozmowa z emigrantami rosyjskimi w Paryżu. Pragną oni zagłady komunizmu, przyznają prawo do samodzielnego bytu narodom bałtyckim, azjatyckim, nawet Białorusi, ale nie chcą nawet słyszeć o niepodległości Ukrainy. O tym Ukraińcy muszą pamiętać, nie łudzić się, że z chwilą zmiany ustroju w Rosji, wszystko automatycznie się załatwi. Trzeba też brać pod uwagę olbrzymi odsetek ludności rosyjskiej na Ukrainie. Oficjalne statystyki podają około 25 %, ale my wiemy, że jest jej o wiele więcej, zwłaszcza w miastach i we wschodnich okręgach przemysłowych.

W tych warunkach zgoda między Polakami i Ukraińcami jest po prostu współczynnikiem trwania i przetrwania: OBUSTRON-NYM. Dziwić się nie można że Rosjanie robili i nadal robią wszystko co w ich mocy, żeby nas skłócić, poróżnić, nie dopuścić za żadną cenę do porozumienia. Toteż obu narodom trzeba wielkiej odwagi i mądrości politycznej, żeby sprostać potrzebom czasów, które idą, i stanąć na wysokości zadań, które dyktują im dzieje. Pojedyncze drzewo nie może zasłaniać lasu! Najbardziej bolesne i tragiczne przeżycia osobiste i dzielnicowe, po obu stronach, nie mogą pozbawić nas obiektywizmu i realizmu, bo znowu przegramy i stracimy szansę tylekroć już zmarnowaną w historii, a która może się już nie powtórzyć. W stosunkach międzynarodowych między dwoma odrębnymi społecznościami, lecz na równi przeciętnymi w zaangażowaniu w dobro i zło, jest czasami tak jak w skłóconym małżeństwie: wina nie jest tylko

po jednej stronie. Droga do pojednania wiedzie tylko poprzez obustronne uznanie własnych błędów, pomyłek i braków.

Polacy w wielu publikacjach wydanych w kraju i na emigracji widzą swoje błędy, przyznają się do nich. Świadczy o tym dowodnie paryska *Kultura* i „Deklaracja w sprawie ukraińskiej”. Ilość podobnych postaw rośnie: TO jest warunkiem zaufania. Bracia Ukraińcy nie obrażają się, kiedy im powiem, że za mało jest z ich strony dążenia do pełnego obiektywizmu (przynajmniej tak to odczuwamy w kraju my, którzy jesteśmy szczerymi przyjaciółmi narodu ukraińskiego i pragnęlibyśmy dla nich jak i dla siebie, wszelkiego dobra). Na odwrót, czasami pisze się rzeczy niezgodne z faktycznym stanem rzeczy a więc krzywdzące społeczeństwo polskie, co nie buduje mostów, ale co gorzej niszczy istniejące.

Głos Ukraińców z Polski zawiera sformułowania niezgodne z rzeczywistością i z interesem obu narodów. W niniejszym artykule nie kładę nacisku na to, co jest wynikiem panującego ustroju, lecz podkreślam te fakty, które krzywdzą społeczeństwo. Oto cytaty: „Polityka asymilacji zapoczątkowana w 1947 roku przesiedleniem na Ziemię Zachodnie stale przybiera na nasileniu”. „W ciągu ostatnich dwudziestu lat zniszczono ponad trzysta cerkwi, często z inicjatywy i przy współdziałaniu rzymsko-katolickiej hierarchii”... „Także nie należy zapominać o polskim szowinizmie, podtrzymywanym przez reżym antyukraińskimi publikacjami w prasie oraz wydawaniem tendencyjnych książek”... „Nastał czas jeszcze większej dyskryminacji i bardziej konsekwentnej asymilacji ukraińskiej mniejszości niż to się działo na naszych ziemiach między dwoma wojnami”... „Zakazuje się organizowania festiwali ukraińskiej pieśni na ukraińskich terenach...”.

W powyższych cytatach oskarżone jest społeczeństwo polskie (czasem razem z reżymem, czasem osobno) oraz Kościół o następujące „wykroczenia” względem Ukraińców żyjących w Polsce:

- 1) Asymilacja na siłę i przesiedlanie,
- 2) Dyskryminacja,
- 3) Burzenie cerkwi, przy współdziałaniu hierarchii katolickiej,
- 4) Niedopuszczanie festiwali na ukraińskie tereny,
- 5) Szowinizm polski który publikuje książki i artykuły tendencyjne.

Spróbujmy odpowiedzieć kolejno na te zarzuty.

1) Przyspieszenie tempa spontanicznej asymilacji grup mniejszościowych we wszystkich społeczeństwach jest *ogólnoświatowym zjawiskiem*. Składają się na to: większe migracje ludności, uprzemysłowienie, szkolnictwo, *mass media*, urbanizacja itp. Do końca XIX-go wieku mniejszości narodowe mogły żyć w większych społeczeństwach zupełnie odosobnione, pielęgnować swe wartości nie zwracając uwagi na to, co się w świecie dzieje. Był to typ grup i osiedli tzw. „zamkniętych”. Dziś, w epoce wielkich i szybkich przemian, każda, nawet najmniejsza wioska ma charakter otwarty. A więc asymilacja nie jest produktem polskim na

szkodę Ukraińców. Sami Polacy siłą rzeczy w jeszcze większej liczbie asymilują się w wielu krajach.

Przesiedlenie z terenów południowowschodnich było bolesną operacją, jak każde przesiedlenie, ale jak wiadomo innego wyjścia nie było. Czy dla Polaków, wysiedlenie w liczbie o wiele większej, z miejsc ich zamieszkania na Wschodzie było mniej bolesne?

2. Dyskryminacja pod jakim względem? Pracy, zarobków, awansów? Chyba nie. W Polsce wielu Ukraińców zajmuje różne stanowiska nawet w administracji, na wyższych szczeblach. Odsetek ich jest stosunkowo wysoki w porównaniu z ilością ludności ukraińskiej. To samo w innych dziedzinach. Jeśli można mówić o dyskryminacji, to tylko na odcinku wyznaniowym. Jak wiadomo, Cerkiew unicka została siłą przyłączona do prawosławia w Rosji i w krajach satelickich. Ale w Polsce, dzięki stanowisku hierarchii i ludności polskiej, wysiedlonej ze wschodu, nie uznaje się tego gwałtu zadanego tysiącom sumień. Tradycje tolerancyjne grają w pełni i jednomyślnie, na planie wyznaniowym. Faktycznie, siłą rzeczy, duszpasterstwo unickie jest tolerowane przez władze. Upaństwowiono wszystkie cerkwie unickie, ale otwarto dla unitów kościoły rzymsko-katolickie w kilkudziesięciu punktach, w całej Polsce.

Rosja była zawsze wrogiem Unii i z całą pewnością starałaby się ją zniszczyć. Niestety sama Cerkiew unicka ułatwiła robotę komunistom przez swój pozytywny stosunek do hitlerowskich Niemiec. Przecież u bram świątyń unickich witano wkraczające oddziały hitlerowskie procesjami w liturgicznych strojach. To jest bardzo bolesne, ale na to żeby atmosferę oczyścić, trzeba stać na gruncie prawdy, choćby przykrej, i na przyszłość zająć jasne stanowisko wobec tych faktów. Nie wystarczy da się wytłumaczyć wiarą i męczeństwem za wiarę. Tylko prawda wyzwala — również od urazów nienawiści.

3. „W ciągu ostatnich dwudziestu lat zniszczono ponad trzysta cerkwi”. Zdanie to nie jest zgodne z prawdą. Oto fakty które każdy, kto chce, może stwierdzić w Polsce. Najwięcej cerkwi uległo zniszczeniu w końcowym okresie wojny i zaraz po wojnie, kiedy to płonęły całe wsie w Bieszczadach (o nie głównie chodzi); gdy toczyły się walki na tych terenach a ludność ukraińska wyjeżdżała do ZSSR lub była przesiedlana na ziemie zachodnie zaś ludność polska żyła w rozproszeniu. Całe powiaty wyludniły się wówczas, wsie i osiedla przestały istnieć i wiele z nich istnieje dziś już tylko na mapie. Wtedy to wiele cerkwi uległo zniszczeniu, ale padły też ofiarą niektóre kościoły. Nawet w ostatnim dwudziestolecu przestały istnieć pojedyncze cerkwie, bądź to dlatego, że ich stan opuszczenia doszedł do tego stopnia, iż same się zawaliły, bądź też zostały rozebrane przez władze. Posądenie hierarchii Kościoła rzymsko-katolickiego o współpracę w niszczeniu cerkwi jest nie tylko kłamstwem, ale krzywdą, której nie powstydziliby się najzawziętszy, wojujący ateusz.

Jak wyglądają fakty? Najpierw Kościół rzymsko-katolicki otworzył swoje kościoły dla nabożeństw grecko-katolickich. Gdy chodzi o cerkwie, wiele zostało uratowanych właśnie dzięki Hierarchii i Kościołowi.

Przytoczmy konkretne przykłady. W ostatnich dziesięciu latach duchowieństwo rzymsko-katolickie, z pomocą wiernych, po usilnych i często dramatycznych i bolesnych zabiegach, odebrało władzom PONAD CZTERDZIEŚCI CERKWI, które były nieraz w ostatnim stadium zniszczenia i służyły jako magazyny na nawozy, materiały budowlane, cement, mąkę itp. Aby nie być gołosłownym, wyliczę je szczegółowo. Każdy będąc w tamtych stronach może te dane sprawdzić.

W OKOLICACH USTRZYK DOLNYCH odzyskano i odnowiono cerkwie w następujących miejscowościach: SMOLNIK k. Lutowisk, CHMIEL, POLANA, MICHNIOWIEC, JASIEŃ, JAŁOWE, HOSZÓW, RABE, ŻŁOBEK, LIPIE, HOSZOWCZYK, KRÓSCZENKO, LISKOWATE, USTIANOWA, RÓWNIA, WOJTKOWA, STRWIĄZEK, BRZEGI DOLNE, ŁODYNA.

W OKOLICACH LESKA: MONASTERZEC, ZWIERZYN, ORELEC, RUDENKA, MYCZKÓW.

W OKOLICACH SANOKA: SMOLIK k. KOMAŃCZY, CZERTEŻ, MIĘDZYBRÓDZ, ŁODZINA.

W OKOLICACH PRZEMYŚLA: KOROTNIKI, PRZEKOPANE, KONIUSZA, STUBIENKO.

W OKOLICACH JAROSŁAWIA: KRAMARZÓWKA, CIEPLICE.

W OKOLICACH BRZOSZOWA: KRZYWE, OBARZYM.

W OKOLICACH KROSNA: POLANY, KRĘPNA, TYLAWA.

W OKOLICACH BIRCZY: RUDENKA.

Nie jest to jeszcze wykaz kompletny, gdyż oprócz wyżej wymienionych odzyskano i odnowiono jeszcze przynajmniej kilka innych cerkwi¹.

Cerkwie te wyremontowano zgodnie z ich architekturą. Ostatnio kończy się remont cerkwi w Hoszowie. Oprócz tego wiele cerkwi zabezpieczono ZARAZ PO WOJNIE i stale dba się o ich konserwację. W trzech diecezjach: tarnowskiej, przemyskiej i lubaczowskiej uratowano w ten sposób blisko TRZYSTA obiektów sakralnych greckiego obrządku, nie tylko dla kultu religijnego, ale także dla kultury i sztuki.

Nie wszystko Kościół mógł zrobić, bo tam gdzie nie było ludzi do pomocy, był sam bezradny wobec procesów zniszczenia. Były to czasy stalinowskie, kiedy była zagrożona sama egzystencja Kościoła. A czy nas nie boli los kościołów rzymsko-katolickich za Bugiem? Choć wiemy kto zawinił, nie chcemy nikogo oskarżać.

4) Pisze się o terenach ukraińskich w Polsce. Chciałbym autorów jak najlepiej zrozumieć, zgodnie z ich intencją. Samo brzmie-

1. Spisy uratowanych cerkiewek zdobyliśmy w terenie, przemierzając Bieszczady i sąsiednie tereny pieszko, z plecakiem, wzdłuż i wszerz. Radziłbym tym wszystkim, którzy interesują się problemem konserwacji cennych zabytków,

nie: „tereny ukraińskie” przypomina sytuację międzywojenną, kiedy to pewne odłamy Ukraińców, nie bacząc na to, co ich czeka i stawiając na zasadę: „wszystko albo nic”, robili wszystko co było w ich mocy, aby ten wspólny dom, jakim było Państwo polskie, zniszczyć. Nie przeczę bynajmniej, że Ukraińcy doznawali krzywd, ale czymżeż one był w porównaniu z tym co czynił i czyni Związek Radziecki? Mimo tych wszystkich trudności, Ukraińcy w Polsce stworzyli wspaniały ruch spółdzielczy, wydawniczy, dorobili się licznej inteligencji, jednym słowem stworzyli w pewnym sensie polityczny aeropag ukraiński, który stopniowo mógł oddziaływać na całą Ukrainę. Jeśli nie dano ukraińskiego uniwersytetu czy autonomii, to chyba w perspektywie tych kilku-nastu lat, przy tendencjach odśrodkowych, był to projekt dojrzały ale niedojrzały. Zresztą problem ukraiński miał o wiele szersze znaczenie. Ale cierpliwość nawet w tym domu tak niedoskonałym i obopólne zrozumienie byłyby z czasem przyniosły lepsze rezultaty i doprowadziły stopniowo do rozwiązania wielu problemów na korzyść Ukraińców*. Wojna przekreśliła nadzieje najlepszych synów obojga narodowości obeszła się okrutniej z Ukraińcami niż z Polakami. Bolszewicy unicestwili cały dorobek ukraiński, nagromadzony w przedwojennej Polsce, co trzeba zapisać na stratę nie tylko narodu ukraińskiego. Są jednak jeszcze inne straty, natury psychologicznej, w pierwszej mierze kryzys a nawet BRAK ZAUFANIA. Takie skojarzenia budzą słowa „tereny ukraińskie” w dzisiejszej Polsce. Uważam, że w interesie nie tylko Polski, lecz Ukrainy leży jasne postawienie sprawy przez Ukraińców w Polsce, w duchu zwykłej lojalności wobec granic naszego tymczasowo satelickiego państwa. Gdy to będzie jasno i szczerze postawione, wzrośnie wzajemne zaufanie, nikt nie będzie się bał nowych prób rozbicia ojczystego domu. Wtedy Polacy przestaną bać się Ukraińców, tak jak nie boją się ich w Kanadzie czy w USA. Wysuwanie rozdętych planów na przyszłość, publikowanie map ukraińskich z granicami aż po Kraków, odbija się rikoszetem i szkodzi najbardziej samym Ukraińcom. Kwestia zaufania jest bardzo istotna gdyż, jak wspominałem, bez

ków, pójść tym samym tropem. Wówczas może uda się wyłuskać rzeczywistość z narosłych uprzedzeń i legend.

* W roku 1938/39 z inicjatywy Piotra Borkowskiego, b. wojewody lwowskiego, była postawiona sprawa tzw. normalizacji polsko-ukraińskiej. Sprowadzała się ona przede wszystkim do sprawy autonomii Małopolski Wschodniej w myśl zobowiązań RP w latach dwudziestych, uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie. Te zabiegi (w których brałem czynny udział jako redaktor *Polityki*) wyglądały na bliskie realizacji, tym bardziej, że udało się do tej koncepcji przekonać płk. Wende, który był czynnikiem decydującym w OZONIE, partii obozu rządowego. Te reformy — jak wiele innych — były przewidziane na rok 1940. Niestety wojna wszystko przekreśliła. Ciekawe że PPS w osobie M. Niedziałkowskiego, z którym się przyjaźniłem i z którym na ten temat dyskutowałem, odnosił się pesymistycznie jeśli idzie o poparcie tych planów mimo że je całkowicie podzielał, ze względu na bardzo nacjonalistyczne stanowisko Związków Zawodowych, z którymi kierownictwo PPS musiało się bardzo liczyć (*Redaktor*).

dobrych stosunków z Polską, Ukraina nie wyrwie się nigdy z objęć Związku Radzieckiego.

5) Radziłbym obojawnie unikać inwektyw, choćby tylko — szowinizmu. Są na pewno również wśród Polaków tacy, którzy takie nastawienie mają, choć uważam że ich liczba z każdym rokiem maleje. Czyż to jest choroba, która tylko Polakom grozi? Czy Ukraińcy są uodpornieni na ten jad torujący drogę zbrojnym rozprawom? Należy więc z wielką rozważą unikać wszelkich, niepoważnych uogólnień i widzieć rzeczywistość nie w cieniu opłotków, ale w CAŁOKSZTAŁCIE.

Argumentem na to, że w Polsce panuje szowinizm, mają być wydawnictwa i książki tendencyjne. Tu również należy jasno sprecyzować, o co chodzi? Czy prawda historyczna może utożsamiać się z paszkwilem i tendencyjną interpretacją? Czy wspomnienia o tym, co działo się na Wołyniu czy na innych terenach jest już samo w sobie tendencyjne? Byłoby takim, gdyby obciążało cały naród ukraiński, ale nie sposób zaprzeczyć, że pewne odłamy Ukraińców brały udział w eksterminacji ludności polskiej, choć inspiratorzy — o tym również świadczą dokumenty historyczne — byli POZA UKRAINĄ. Odróżniamy RĘKĘ i MIECZ. Takich przykładów można przytoczyć znacznie więcej. Jeśli Polsce zarzuca się imperializm to można zapytać, od kiedy do Ukrainy należą ziemie nad Morzem Czarnym i Krym, nie mówiąc o innych terenach wschodnich. Wspominam o tym nie po to, żeby drażnić, ale żeby przypomnieć, że nie tylko same racje historyczne decydują, ale że również aktualne, konkretne warunki są konieczne na to, żeby narody mogły bezpiecznie istnieć i rozwijać się organicznie.

Jednym słowem — Polakom i Ukraińcom potrzeba wzajemnego zaufania, *bo bez niego niczego się nie osiągnie*. A do zaufania potrzeba szczerości i prawdy obiektywnej, która nie bawi się w manicheizm ostrych kontrastów: tu dobre, tam złe, tu białe, tam czarne. W istocie, nie biorąc nawet pod uwagę obcych ingerencji czy inspiracji, obie strony są winne i obie cierpią, ponosząc konsekwencje swoich błędów. Przyszłość obojżna zależy od uznania i potępienia WŁASNEGO ZŁA i w szukaniu nowych rozwiązań opartych na wzajemnym szacunku i uznaniu praw każdej ze stron do wolności, suwerenności i sprawiedliwości, jak to tylko w stosunkach międzyludzkich jest możliwe. Historia zdaje się nam dawać nową szansę: obyśmy jej nie zmarnowali. Obie strony mają wiele do zyskania i do stracenia. Ukraińcy chyba więcej!

R. Z.

Świadome i nieświadome dywersje

Należy przyznać, że komuniści nauczyli się dużo z doświadczeń przeszłości. Na odcinku kościelnym pozostali wierni jednej tylko regule postępowania: wbijaniu klina i dzieleniu na „dobrych” i „złych” w hierarchii i duchowieństwie; tych pierwszych akceptując jako „realistów” przeciwstawiając drugim, krytykowanym za „konserwatywizm”; na odcinku społecznym — używając do siania zamętu i tworzenia sztucznych podziałów katolików, świadomych lub nieświadomych narzędzi dywersji. Tym stwarzają dogodną pozycję wyjściową i warunki działania, oczekując w zamian należytej rekompensaty. Czasem chodzi o skromne dowody lojalizmu (nie lojalności!), czasem o wyżywianie się w drobnych ambicjach. Władza wie jak je zaspokoić, wykorzystując ludzkie słabości. Władza potrafi być hojna. Biskup Pylak z Lublina popiera na przykład przyziemny realizm rektora Krapea, któremu zależy na dobrych stosunkach z władzami dla świętego spokoju i dokończenia rozbudowy KUL-u. Biskup Pylak idzie jednak dalej: przeciwstawia się nieraz postulatowi studenckim i akcji duszpasterstwa akademickiego Ojca Ł. Wiśniewskiego O.P., cieszącego się zaufaniem i popularnego wśród młodzieży. Takich potencjalnych węgierskich czy czeskich biskupów — na szczęście — nie ma wielu.

Są inne przykłady. Za przystąpienie do rozłamowego Klubu Inteligencji Katolickiej aktywiści pseudo-„Znaku” oferują różne ułatwienia: stypendia, wyjazdy za granicę itp. Korupcja moralna kwitnie. Inny przykład — tym razem świadomej dywersji — stanowi powierzenie posłowi Zabłockiemu odcinka działania na terenie zachodniej chrześcijańskiej demokracji. Odpowiada to zarówno planom MSZ-tu jak i pewnych wiadomych organów MSW. Zabłocki wykorzystuje cynicznie dwóch zasłużonych emerytów: prof. Cz. Strzeszewskiego i K. Turowskiego, byłych działaczy Stronnictwa Pracy. Obaj są członkami Rady Naukowej ODISS i cieszą się jakoby zaufaniem ks. Prymasa, co Zabłockiemu ułatwia stałe powoływanie się na rzekomy placet Kardynała. Wygrywa ten atut w kontaktach zagranicznych, nadużywając autorytetu Prymasa dla swej kolaboranckiej działalności. Obaj ci starsi panowie opętani są myślą o reaktywizacji stronnictwa chadeckiego w oparciu o grupę Zabłockiego, co kontestuje większość b. działaczy S.P., jak adw. Siła-Nowicki, Kwasiński, dr Studentowicz, Madeyski itd. Niedawno udali się oni do Rzymu, by tam przekonywać członków emigracyjnej grupy Stronnictwa Pracy o konieczności udzielania dalszego poparcia Zabłockiemu, bowiem w ostatnim czasie w łonie tej grupy wystąpiły fermenty.



Konferencja Episkopatu obradująca w Częstochowie 4 i 5 maja br. „uważa za swój obowiązek zabezpieczenie spokojnej pracy duszpasterskiej z młodzieżą akademicką. Wszelkie próby zakłócania pracy duszpasterskiej przez czynniki zewnętrzne lub próby kwalifikowania tej pracy jako niekościelnej, muszą się spotkać z zaprzeczeniem”. W dalszym ciągu komunikat stwierdza, że ta „wielokierunkowa praca ma na celu pogłębianie i dopełnianie wykształcenia akademickiego. Nie tylko teologia, filozofia chrześcijań-

ska, katolicka nauka społeczna, ale także wiele tematów z historii, literatury i kultury narodowej musi składać się na program tego wykształcenia".

W kazaniu wygłoszonym 8 maja br. w Szczepanowie w czasie uroczystości upamiętniającej rocznicę śmierci św. Stanisława, Ks. Prymas powiedział m.in.: „... naród polski żyje okłamywany... bez względu na wszelkie zniekształcenia i fałsze propagandy, jakim poddane jest społeczeństwo, karmione kłamstwem, Polacy nie tracą poczucia ważności życia w prawdzie”. Prymas Polski domagał się uszanowania prawa Kościoła do „mówienia twardo prawdy ludziom sprawującym władzę chociaż Kościół nie walczy z ludźmi, lecz przeciwko ich błędom i grzechom, przeciw niesprawiedliwościom i szkodom jakie wyrządzają”. Według opinii prasy włoskiej, „to zdecydowane wystąpienie wobec reżymu dowodzi że stosunki między Kościołem a Państwem weszły ponownie w fazę kryzysu”. Zwraca uwagę zbieżność tego wystąpienia z przewidywanym wkrótce wyjazdem do kraju mons. Poggi, wysłannika Stolicy Apostolskiej.

Heinrich Böell odpowiada Wirpszy

Drogi Witoldzie Wirpsza,

Zaskoczony informacją dziennikarską zrekonstruowałem z trudem na podstawie moich notatek, jak doszło do wywiadu z panem Krzemińskim: między pierwszą a drugą w nocy z dn. 29. 11 na 30. 11. 1977 w czasie jazdy samochodem między Kolonią a Bonn, po pięciogodzinnej imprezie z Siegfriedem Lenzem w Stowarzyszeniu Prasy Zagranicznej w Bonn. Po wielogodzinnym przedyskutowaniu wspólnie z Siegfriedem Lenzem wszystkich, ale to wszystkich problemów Republiki Związkowej przed zagranicznymi, także i polskimi, dziennikarzami, po tym, kiedy całe tygodnie i prawie miesiące odmawiałem udzielania tzw. wywiadów osobistych lub na prawach wyłączności, wydał mi się ten nocny wywiad samochodowy zbyteczny, ale w nastroju wynikłym z przemęczenia zmieszanego z współczuciem otworzyłem usta, kiedy mi do ust przyłożono przedmiot zwany mikrofonem, a to ponieważ pan Krzemiński zachowywał się tak, jakby od tego zależało jego życie i nie chciałem go wystawić na szwank. No, może nie życie od tego zależało, ale coś innego: nie mnie o tym sądzić. Nie chcę także pomawiać pana K. o to, że chciał mnie zrobić: że wrobiony zostałem — przez kogo? przez *Politykę*? przez siebie samego? — stało mi się tymczasem jasne i mogę sobie także wytłumaczyć, dlaczego ten wywiad był tak ważny: potem, kiedy moja jednoznaczna postawa wobec Adama Mich-

nika i jego grupy stała się w Polsce wiadoma, chciano mnie również i w *Polityce* „mieć”. Zapewniam Pana: dałem ten wywiad panu K., a nie *Polityce* i to, że ukazał się teraz z czteromiesięcznym opóźnieniem, uważam, oględnie mówiąc, za rzecz nie *fair*.

Biorę na siebie całkowitą winę za to, że rzeczywiście otworzyłem usta i to doświadczenie uczyni mnie jeszcze ostrożniejszym, gdyż myśl, że ten wywiad może być wyzyskany przeciwko moim przyjaciołom, że może być źle zrozumiany, sprawia mi poważne zmartwienie. Bardzo poważne.

Jest pewna trudność, którą Pan jako pisarz zrozumie: siłą rzeczy przetłumaczył Pan mnie *na powrót* z polskiego na niemiecki, a więc w formie słownej, która nie jest moją, a jako że nie przypominam sobie jakichkolwiek pytań i odpowiedzi, i jako że nigdy nie przedłożono mi manuskryptu z moimi *niemieckimi* odpowiedziami, nie mogę w pełni zaakceptować tej przełożonej na powrót formy słownej, gdyż wyrażenie „zgodnie z sensem” jest mylące, sens wynika właśnie z dosłowności. Może Pan ma doświadczenie z tą osobliwą postacią uczucia obcości, wyrażającego się tak oto: „może to i powiedziałeś, ale nie tak”. No dobrze, i to również przynależy do tego osobliwego proceduru udzielania wywiadów i biorę za to winę na siebie, proszę Pana jednak jako *pisarza*, by zechciał Pan zrozumieć, jak trudno mi odpowiedzieć na cytaty, przetłumaczone *na powrót*.

Teraz jednak, po tych kilku, jak mi się wydawało koniecznych, wstępnych wyjaśnieniach, przechodzę do Pańskich pytań.

Że nie wypowiadałem się więcej w prasie krajowej, dotyczy wyłącznie problematyki „Katarzyny Blum”. Po tym, kiedy z większym lub mniejszym powodzeniem zrobiono z tej książki, filmu i sztuki teatralnej książkę, film i sztukę „terrorystyczną”, mimo że żadna z występujących tam postaci nie uprawiała terrorku nawet aluzyjnie i po tym, kiedy mówiłem na ten temat wiele, bez mała za wiele, chciałem o tym milczeć. Jeszcze 1. 10. 1977 — trzy tygodnie po uprowadzeniu dra Schleyera — niejaki Enno von Loewenstein napisał w *Die Welt*, że „Katarzyna Blum” jest „niezakamulowanym podjudzaniem do mordowania przeciwnych terroryzmowi dziennikarzy”, zaś przed laty pan Pachman powiadał za mordowanie Drenkmanna bezpośrednio z „Katarzyną Blum”. Czy dla kogoś, kto być może tę książkę przeczytał, jest to „niezakamulowanym podjudzaniem” czy nie? Milczałem również na temat żenujących spraw w Würzburgu i nadal będę milczeć.

Nie ma sprzeciwu, drogi Panie Wirpsza, jeśli Pan mimo całego „niezakamulowanego podjudzania” stwierdza tutaj, że moje „koszta” są mniejsze niż Pańskie i Pana kolegów. Nie ma sprzeciwu. Fakt, że Pan i Pańscy koledzy nie mogą we własnym kraju publikować, jest przyczyną naszej interwencji w stosunki polskie, czeskie i sowieckie. Istnieje wszakże niebezpieczeństwo, że analogie tego rodzaju będą nadużywane dla relatywizacji. Mało pomoże górnikowi w Boliwii, jeśli przedstawi mu się okropności stalinizmu; jest on zagrożony przez głód i nędzę, i okrop-

ności stalinizmu staną się bronią w ręku tych, co od stuleci gnębią ich głodem. Mało pomoże nauczycielce z Dortmundu lub Kolonii, jeśli się dowie, że w Polsce jest o wiele, wiele gorzej, przy czym nie ma nawet tej pociechy, jaką polska nauczycielka prawdopodobnie ma: że większość ludności jest po jej stronie. Albo czy pomoże to Panu i Pańskim przyjaciołom, jeśli stwierdzą, że w Kambodży jest o wiele, wiele gorzej niż w Polsce. Żyjemy *tutaj*, drogi Witoldzie Wirpsza i możemy interweniować gdzie indziej tylko wtedy, jeśli i tutaj to czynimy. Na analogie zgoda, ale tylko, jeśli nie mogą zostać nadużyte dla relatywizacji. Relatywizacja osłabia naszą pozycję, także i wobec tych, których w krajach socjalistycznych podtrzymujemy na duchu i których możemy poprzeć chociażby jedynie przez wyrażenie naszej przyjaźni i uwagi.

Przyrzekam Panu, że już nigdy nie udzielię wywiadu między pierwszą a drugą w nocy, przemęczony i skłonny do współczucia, komuś, kogo nie znam. Myśl, że ten wywiad mógłby być wykorzystany przeciwko moim przyjaciołom w Polsce, przestrasza mnie i uczyni mnie ostrożnym.

Dziękuję Panu za list i mam nadzieję, że zdołałem pewne sprawy wyjaśnić. Proszę nie rozumieć mylnie przedstawienia okoliczności, w jakich powstał ten wywiad, jako tłumaczenia się, lecz jako wyjaśnienie.

Z przyjaznym pozdrowieniem,

Heinrich BÖLL

Kolonia, dn. 1. 4. 1978

NAKŁADEM „ANEKSU”

STANISŁAW BARAŃCZAK

SZTUCZNE ODDYCHANIE

Bibliofilskie wydanie poematu wybitnego przedstawiciela powojennego pokolenia poetów polskich z grafikami Jana Lebensteina. Autor w sugestywnej poetyckiej formie przedstawia obraz jednego dnia przeciętnego Polaka i ukazuje rozmiary spustoszenia moralnego i wynikające z tego udręki jako konsekwencję wynaturzonego systemu społecznego.

CENA: US\$ 6.00, FF. 25.00. W Wielkiej Brytanii: £ 2.50.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

**A N E K S, 61 DORSET RD., LONDON W 5,
ENGLAND.**

Sąsiedzi

Katolicy w ZSSR

Przeniknęły ostatnio na Zachód relacje o położeniu katolików w ZSSR. Pochodzą one z różnych źródeł, są z konieczności bardzo fragmentaryczne, dotyczą w większości drugiej połowy zeszłego roku. Spróbujemy zestawić obraz jaki się z nich wyłania, ostrzegając z góry czytelników że będzie przybliżony i niepełny.

Oznaki poprawy. W walce o wolność Kościoła prym wiedzie Litwa. Nawet ostrożni proboszczowie urządzają wspólną Komunię świętą. Istnieją parafie, w których małoletni służą do Mszy i uczestniczą w procesji. Dzieci są katechizowane przed pierwszą Komunią świętą, mimo że w mocy pozostaje surowy zakaz. Tylko jednemu księdzu zagrożono represjami za katechizację. Biorą w niej także udział siostry zakonne (nawiasem mówiąc, ich działalność wykracza daleko poza granice Litwy, dociera niekiedy aż do Syberii). Dwaj biskupi litewscy, którym nakazano przebywać w wyznaczonym miejscu zamieszkania, uprawiają wbrew temu nakazowi działalność duszpasterską. Kilku księży greko-katolickich zatwierdzono w parafiach łacińskich. Inni, pozbawieni zgody władz, są duszpasterzami i nie podlegają za to ściganiu. Jednego tajnie wyświęconego kapłana zatwierdzono na proboszcza w Duszanbe. Pomagają w pracy duszpasterskiej również inni tajnie wyświęceni, o czym władze dobrze wiedzą. Pewien proboszcz otrzymał zapytanie od władz, dlaczego dopuszcza na zastępstwo tajnych księży. Odpowiedział na piśmie, że w sprawach kościelnych nie podlega władzy świeckiej. Proboszcz w Kibartai przez dwa lata odbywał koledę, zawiadamiając o tym wiernych w ogłoszeniach niedzielnych.

Na Białorusi widoczne są przejawy walki o prawo do publicznego wyznawania wiary katolickiej. Zapoczątkował ją incydent w Brastawiu, gdzie tłum wiernych udał się do zarządu miasta i odebrał klucze od świeżo zamkniętego kościoła. W roku 1976 przystąpiło do wspólnej Komunii świętej (po przygotowaniu ka-

techetycznym przy zamkniętych drzwiach w kościele) 180 dzieci. W następnym — 230 dzieci, wśród nich dzieci urzędników państwowych i nawet milicjantów. Zaczęła się kontrakcja ze strony władz i szkoły, ale ze strony rodziców posypały się skargi do Moskwy o gwałcenie konstytucji. Rejonowy pełnomocnik do spraw wyznań musiał dać pisemną odpowiedź, która stanowi jaskrawy dowód lekceważenia zasad wolności religii stypulowanych w Helsinkach. Odpowiedź pełnomocnika nie wpłynęła na zmianę postawy parafian w Brasławiu: dzieci nadal służyły do Mszy świętej i brały udział w procesji. Nie odniosła też skutku wizyta pełnomocnika republikańskiego z Mińska i wojewódzkiego z Witebska. Przykład Brasławia promieniuje na okolicę.

W ostatnich latach zwiększyła się ilość miejsc kultu zarejestrowanych przez władze sowieckie. Dotyczy to przede wszystkim Ukrainy Wschodniej i Kazachstanu. Naliczono blisko czterdzieści takich ośrodków, gdzie ksiądz albo przebywa stałe albo dojeżdża, albo w każdym razie można się modlić legalnie. W nabożeństwach bez kapłana jego nieobecność zaznacza wyniesiony uroczyscie i położony na ołtarzu ornat. Walka o zezwolenie na wspólne spotkania modlitewne jest wyjątkowo trudna, zwłaszcza tam gdzie władze obawiają się masowego odrodzenia religijnego. W Mińsku, na przykład, niezliczone petycje są grochem rzucanym o ścianę. Działają tu, jeśli chodzi o władze, podwójny strach: że z Mińska „zaraza” przeniknie do Mohylowa, Borysowa i innych miejscowości; że udział w modlitwach ujawni ilość katolików na tych terenach. Znamienny jest pod tym względem list z kancelarii premiera Białorusi w odpowiedzi na petycję katolików ponad milionowego Mińska w sprawie otwarcia kościoła lub kaplicy: doradza się w nim dziesiątkom tysięcy ludzi wyjazdy do dwóch wiosek, położonych w odległości 50 kilometrów od miasta.

Na skutek deportacji różnych narodowości w latach poprzednich katolicy zostali rozproszeni na ogromnych obszarach ZSSR. To oni są obecnie punktem oparcia dla pracy misyjnej Kościoła, której pionierami stały się siostry zakonne. Dziełem sióstr zakonnych jest rozpoznawanie terenu i przygotowanie ludzi na przyjęcie kapłana katolickiego. Udać się to dopóki można liczyć na ludzi starszego pokolenia, którzy z ulgą wracają po długiej przerwie do praktyk religijnych i często budzą swym przykładem potrzebę wiary w młodszych. Należy jednak przewidywać, że możliwości misyjne skurczą się z wymarciem starszego pokolenia.

Elementy zagrożenia. Głównym elementem zagrożenia jest okoliczność że władze sowieckie, wbrew przyjętej oficjalnie zasadzie rozdziału państwa od Kościoła, podporządkowały sobie sprawy personalne duchowieństwa aż do najdrobniejszych szczegółów. W ten sposób zdemoralizowano Cerkiew prawosławną. Doświadczenia wyniesione z tej operacji służą dość skutecznie do demoralizacji Kościoła katolickiego.

Na Łotwie powodem do radości władz i smutku wszystkich katolików jest prowadzenie się sufragana ryskiego, biskupa Sontagsa. Gorszące życie sufragana nie pozostaje bez wpływu na zachowanie się niższego duchowieństwa. Biskup Sontags rozpija się coraz bardziej, na odpusty przyjeżdża zawsze w asyście „wyznaniowca” (pełnomocnika rządowego do spraw wyznań), pozwala się traktować przez niego w sposób ordynarny na oczach wiernych, bywa ciągnany do telewizji dla składania „lojalnych” oświadczeń.

Nie o wiele lepiej przedstawia się sytuacja na Litwie. KGB obsadziło wszystkie stanowiska zarządców diecezjalnych uległymi sobie ludźmi, realizując za ich pośrednictwem metodycznie politykę niszczenia Kościoła od wewnątrz. Seminarium kowieńskie zostało już oczyszczone z prostolinijnych profesorów i wychowawców. Gdyby administrator kowieński biskup Labukas poszedł w ślady biskupa Vajvodsa, gdyby stanął zdecydowanie w obronie seminarium, pozyskałby przynajmniej sympatię i poparcie duchowieństwa. W diecezji Kaisiodoris wikariusz kapitulny mianował na stanowiska dziekanów, na życzenie KGB, najgorszych kandydatów i przeważnie alkoholików. Księża buntują się przeciw takiemu porządkowi i zwracają się o pomoc do wygnanego biskupa; nie ma on jednak pewności czy jako *sedi datus* po nominacji wikariusza kapitulnego posiada jakieś uprawnienia, a poza tym zadreżać się pogłoskami że w Rzymie przyjęto ponoć za dobrą monetę wiadomość o jego rzekomej chorobie psychicznej. O korupcji wszystkich bez wyjątku zarządców diecezjalnych na Litwie świadczą przeniesienia karne, stosowane z inspiracji władz wobec pracujących ofiarnie księży. Tę metodę wycofano ostatnio w pewnym stopniu z użycia, gdy wzmógł się opór prześladowanych. Precedens stworzył jeden jezuita, obecnie członek Komitetu Obrony Praw Człowieka na Litwie, nie podporządkowując się nakazowi przeniesienia wydanemu przez wikariusza kapitulnego z Wilna (pod naciskiem, dodajmy, KGB które chciało w ten sposób poskromić gorliwego duszpasterza). Zwierzchnik kościelny groził surowymi karami kanonicznymi, ale ostatecznie dał za wygraną; proboszcz ostał się na swoim dawnym miejscu. Władze są, rzecz jasna, szczególnie wyczulone na dobrą pracę duszpasterską, zwłaszcza na kontakt księży z młodzieżą. To było kiedyś przyczyną wysiedlenia innego jezuity z Krasnego, a niedawno próby (zaniechanej w końcu z obawy przed szumem za granicą) pozbycia się z Brasławia księdza Wilczyńskiego. Podobny manewr udał się za to w Kazachstanie, gdzie zasłużonego księdza „młodzieżowca” przeniesiono z Kustanaj do Karagandy, a na jego miejsce przysłano mniej aktywnego księdza staruszka.

Seminaria duchowne: w Rydze i w Kownie. Seminarium w Rydze liczy łącznie na wszystkich kursach, na rok szkolny 1977/78, dziewiętnastu alumnów. Początkowo było dwudziestu, ale jeden wycofał się za namową rodziny. Wśród tych dziewię-

nastu jest trzech z Ukrainy i dwóch z Białorusi. Co roku zgłasza się kandydatów o wiele więcej, niż wolno ich przyjąć. Z samej Ukrainy i na I rok byłoby pięćdziesięciu, gdyby władze wyraziły zgodę. W pierwszej selekcji kandydatów, przeprowadzanej przez władze, obowiązuje zasada: utracać najlepszych, przyjmować najślabszych, przemycić jeśli się da „dyspozycyjnych”. Z reguły odpadają kandydaci z czwórkowym świadectwem szkolnym, nie mówiąc o jeszcze zdolniejszych. Powiodło się rozszerzenie limitu piętnastu kandydatów do dwudziestu. Na rok szkolny 1977/78 seminarium zwiększyło swój stan posiadania o kilka nowych pokoi. Stało się to dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Seminarium odwiedzili goście zza granicy, których przeraziły panujące w nim warunki mieszkaniowe. Władze postanowiły oddać więcej pomieszczenia na użytek seminarium, przypisując całą zasługę biskupowi Sontagsowi, dla podreperowania jego nadszarpniętej reputacji. Poziom nauki w seminarium jest bardzo niski. Sami wykładowcy przyznają, że wiedza absolwentów sprowadza się do znajomości poszerzonego katechizmu. I pocieszają się tym tylko, że grupa seminarzystów nie jest przetkana szpiclami. Skąd ta pewność, skoro sam rektor jest na usługach KGB? Administrator biskup Vojvods, mimo podeszłego wieku, dzierży mocno władzę nad seminarium. Przyjmowanie kandydatów, promowanie na wyższe kursy, wydalenie i dopuszczanie do święceń — wszystko to odbywa się kolegiąlnie z udziałem wykładowców i pod przewodnictwem Administratora. Rektor usiłował niejednokrotnie bądź przemycić kandydatów popieranych przez KGB, bądź wydalić alumnów źle widzianych przez władze, ale w głosowaniu ma przeciw sobie zwarty front profesorów z Administratorem na czele. Co będzie po odejściu biskupa Vojvodsza?

Seminarium w Kownie liczyło na początku roku szkolnego 1977/78 sześćdziesięciu sześciu alumnów, wyłącznie Litwinów. Na I rok zgłosiło się czterdziestu, przyjęto dwudziestu. Ze strony kościelnej robiono starania o przeforsowanie jeszcze jednego kandydata, władze zgodziły się wreszcie, ale dzięki sprytniej machinacji okazał się nim faworyt KGB. Fakt ten stał się skandalem w seminarium kowieńskim. Nie ma ono w tej chwili żadnego obrońcy. Biskup Labukas w niczym nie przypomina Administratora ryzykier. Szkoda, że w Rzymie nie wymuszono na nim rezygnacji z uwagi na emerytalny wiek. Seminarium kowieńskie różni się bardzo od ryzykiego, przede wszystkim ze względu na panujący w nim terror. Nie wolno tu, pod sankcją wydalenia, korzystać z religijnej literatury powojennej. Praktycznie rzecz biorąc, można tylko ze słabych skrypcików czerpać wiedzę teologiczną. Wydaleniem grozi również kontaktowanie się z księżmi, napiętnowanymi przez rektora po nazwisku za nieprzejednaną postawę krytyczną wobec panującej w kraju sytuacji. Nie przesadzi się chyba twierdząc, że seminarium kowieńskie kierowane jest przez rektora i wychowawców związanych z KGB. Kleryk, po pokonaniu wielu przeszkód na drodze do bramy seminaryjnej, żyje w murach uczelni zastraszonej i często zagrożonej. Na po-

czątku bieżącego roku seminaryjnego pewien alumn I kursu ulotnił się bez śladu. Milicja zapewniła łaskawie, że żyje. Zjawił się istotnie po dwóch tygodniach nieobecności. Przed dwoma laty młody chłopak z Ukrainy, zamieszkały w Wilnie, chciał wstąpić do seminarium. Niepotrzebnie jednak zdradził się ze swoim zamiarem, o czym ktoś doniósł policji. KGB zaczęło mu deptać po piętach. W końcu Witalisa znaleziono martwego w jego pokoju. Tajemnica śmierci nie została wyjaśniona do dzisiaj. W oficjalną wersję zeznania nie wierzy nikt.

Pilne potrzeby. Sytuacja w ZSSR jest obecnie taka, że ze względu na opinię międzynarodową i trudności wewnętrzne władze nie mogą sobie pozwolić na jawne prześladowanie religii. Realne więc stają się pewne koncesje. Ale należy o nie wytrwale walczyć. Zezwolenie na otwarcie nowych kaplic nie jest udzielane dzięki jakimś zręcznym zabiegom dyplomatycznym, czy nagłej łaskawości władców; jest z uporem wydzierane. W Kazachstanie katolicy przesiedleńcy pochodzenia niemieckiego postavili ultimatum: albo zezwoli im się na otwarcie kościoła, albo wrócą do Niemiec. W Karagandzie zezwolenie takie wydano, została już nawet zwieziona cegła. Potem cofnięto je pod pretekstem, że miejsce na budowę znajduje się zbyt blisko szkoły, co mogłoby utrudnić wychowanie dzieci. Nabożeństwa odbywają się chwilowo pod prowizorycznym dachem. Klasyczny przykład upartej walki, w której każdy postawiony krok wymaga jak gdyby okopania się na zdobytym skrawku terenu.

Punkt ciężkości walki o wolność i przyszłość Kościoła przesunął się jednak na inną płaszczyznę. Mianowicie — do wnętrza Kościoła. Władze posługują się najbardziej podstępą bronią: usiłują rujnować działalność Kościoła i niszczyć wiarę wspólnoty za pośrednictwem swoich najemników w szatach pasterskich. Sytuacja jest groźna lecz nie beznadziejna, można jeszcze tę broń wytrącić z rąk wrogów. Można to zrobić pod jednym warunkiem: nie wolno dopuścić do nominacji na stanowiska kościelne kandydatów zależnych w jakikolwiek sposób od KGB, wolność od wpływów KGB trzeba uważać za podstawowe kryterium dla kandydatów na stanowiska kościelne. Więcej — kryterium jedyne, zważywszy że w ZSSR państwo ograniczyło zwierzchność władzy kościelnej do ostatecznego minimum, czyli zwierzchnik kościelny nie jest w stanie wiele pomóc niższemu instancjom, a dużo już gdy nie da się użyć do działania na szkodę Kościoła. Katolików w ZSSR ogarnia największy lęk, kiedy dochodzą do nich wiadomości o iakichś rozmowach dyplomatycznych Watykanu z Moskwą. Rozumują praktycznie: rokowania z władzą sowiecką nie prowadzą do niczego, co zagrażała tego nigdy dobrowolnie nie zwróci, wolność Kościoła można tylko nieustępliwością odwojować, Kościół w ZSSR nie ma do stracenia nic a do odzyskania to co sam wywalczy. Uosobieniem takiej mądrej i skutecznej postawy jest dla katolików w ZSSR Kardynał Wyszyński, powszechnie podziwiany.

Próba uniezależnienia Kościoła od władzy państwowej może spowodować w ZSSR poważne napięcie, które trzeba nerwowo wytrzymać, zabezpieczając się w miarę możliwości zawczasu przeciw posunięciom przeciwnika. Już teraz powodów do niepokoju dostarcza bliska perspektywa odejścia w Rydze biskupa Wojvods, bardzo zaawansowanego w latach. Jego miejsce chce zająć, przy pełnym poparciu władz, biskup Sontags: kandydat absolutnie nie do przyjęcia z punktu widzenia kościelnego. Sam biskup Wojvods, z myślą o utraceniu swego sufragana, ustanowił *sui generis* radę kapłańską, która miałaby prawo wybrać wikariusza kapitulnego. Biskup Sontags i jego protektor „wyznaniowiec” ryzyki zrozumieli sens manewru, reagując oburzeniem i pogrozkami. „Wyznaniowiec” nie wraca ostatnio do tego tematu, może ze względu na kompromitujące zachowanie się swego faworyta. Istnieje wszakże obawa, że nawet w wypadku dopuszczenia rady kapłańskiej do wypełnienia wyznaczonego jej zadania presja organów państwowych skłoni ją do wyboru biskupa Sontagsa. Otóż w takim wypadku Stolica Apostolska nie powinna ustąpić nawet pod groźbą schizmy. Przed ewentualnym gwałtem w Rydze, a może też i gdzie indziej w razie powstania analogicznej sytuacji, wypada z Góry zabezpieczyć duchowieństwo, udzielając mu bezpośrednio z Rzymu jurysdykcji. Składano już petycję w tym duchu, jak dotąd bez skutku. Pilnej tej potrzebie mógłby wyjść naprzeciw dekret Ojca Świętego, lub odpowiedniej Kongregacji, podany do wiadomości publicznej: że wszystkim kapłanom pozostającym *in unitate cum Sede Apostolica* na terytorium ZSSR udziela się pełnej jurysdykcji ze względu na trudności terenowe, brak administracji kościelnej i przeciążenie pracą duszpasterską. Dekret taki powinny rozpropagować w terenie istniejące kurie diecezjalne. Stanie się wtedy jasne dla wszystkich, że jurysdykcję papieską tylko papież może odebrać. I gdyby doszło do konfliktu między samowzwańcami sowieckimi a Stolicą Apostolską, proboszczowie w swoich parafiach nie ucierpieliby od wojny prowadzonej ponad ich głowami. Przy sposobności wzmocniłaby się pozycja księży tajnie wyświęconych i nielegalnych misjonarzy, którym pryncypali administratorzy często grożą suspensą za zajmowanie się sprawami niedozwolonymi.

Słysz się głosy skargi pod adresem Stolicy Apostolskiej, że pozostawiła katolików w ZSSR własnemu losowi. Tymczasem gdzie jak gdzie, ale właśnie tutaj potrzebna jest sprężysta organizacja kościelna na najwyższym szczeblu dla rozwiązywania ogólnokrajowych trudności w życiu Kościoła, oraz dla lepszego wykorzystania istniejących możliwości. Poczynione już pewne eksperymenty przemawiają za podjęciem ryzyka, nieuchronnego przy wzmożeniu w aktualnych warunkach akcji kościelnej o szerokim zasięgu. Eksperymenty owe dotyczą lepszej organizacji, jaką udało się kilka lat temu zmontować dla kierowania działalnością zakonów żeńskich. Odkąd zgromadzenia żeńskie w ZSSR mają swego opiekuna, zanotowano szereg zmian pozytywnych: znikły nieporządki wewnętrzne w niektórych wspólnotach, pod-

niósł się poziom wewnętrznego życia, zwiększyła się efektywność w katechizacji i w pracy misyjnej prowadzonej przez siostry, nastąpił wzrost powołań.

Litewski pełnomocnik do spraw wyznań naliczył na terenie swej republiki 800 siostr zakonnych, referent zakonny wymienia cyfrę 1.200. Ta kobieca, dobrze zorganizowana armia dokonuje dzieł w dzień wielkiego dzieła w służbie Kościoła. Aby coś podobnego zaszło na innych nie mniej ważnych odcinkach życia Kościoła, musi zadziałać ktoś z upoważnienia Stolicy Apostolskiej. Sprawą w której nie wystarczy czyjaś ofiarna praca, prowadzona bez upoważnienia Stolicy Apostolskiej, jest rekrutacja powołań kapłańskich niezależnie od seminariów uznawanych przez organy państwowe. A potrzeba wydaje się szczególnie pilna, gdyż oficjalne seminaria przy optymalnym nawet układzie wewnętrznym nie mogą dostarczyć odpowiedniej ilości kapłanów ze względu na narzucony limit. (Pod koniec roku seminaryjnego 1978 wyświęconych będzie 10 prezbiterów, a w ostatnich latach umiera na Litwie ponad 20 księży rocznie; całkowicie wymierająca jest Białoruś). Należy również liczyć się z tym, że z seminarium uznanego przez państwo wychodzić będą w najbliższej przyszłości nie duszpasterze lecz powolne narzędzia w rękach wroga.

Podobnie nie może być zdana na łaskę losu czy amatorstwa praca misyjna. Jeżeli w krajach zamorskich, gdzie wszystkie drzwi są otwarte dla misjonarzy, prócz ofiarności konieczne są określone formy organizacyjne, to cóż dopiero w ZSSR, w warunkach konspiracji i zdecydowanego przeciwdziałania strony przeciwnej. Krótko mówiąc, odczuwa się potrzebę wizytatora apostolskiego na miejscu. Gdyby okazało się niemożliwe przysłanie go z Rzymu, musi go zastąpić ktoś z miejscowych. Jeżeli zaś alumni mają być przygotowani do święceń w warunkach konspiracji, to niezależnie od wizytatora apostolskiego nieodzowna jest obecność biskupa. Wchodzi tu w grę, poza wszystkimi zrozumiałymi względami, jeszcze jeden specyficzny. Święceni bez porozumienia z władzą świecką w ZSSR dostaną prędzej czy później zezwolenie na wykonywanie funkcji duszpasterskich, jeżeli potrafią udowodnić ważność wyświęcenia. Obecny proboszcz w Dusanbe miał duże trudności z objęciem probostwa, ponieważ nie mógł przedstawić dowodu święceń. Władze poprzestały w końcu na poświadczeniu przez innych księży, bez ujawniania konsekratora. Musi więc być biskup, którego można po czasie ujawnić jako sprawcę wielu święceń.

Wszystko to razem prowadzi do zasadniczego wniosku ogólnego. Jeżeli Kościół w ZSSR ma nadal istnieć i rozwijać się, to nie da się tego celu osiągnąć w ramach narzuconych przez władzę sowiecką. Ramy sowieckie zostały wypracowane i dopasowane do likwidacji religii; kto pragnie ją ocalić i ożywić, musi z konieczności wykroczyć poza dozwolone granice. Nie da się tu uniknąć alternatywy: albo „lojalność”, która w praktyce prowadzi do współudziału w eksterminacji religii; albo świadome wyłamanie się z „praworządności” sowieckiej, a co za tym idzie

nieunikniony konflikt z panującym porządkiem. Żalosnym przykładem postawy „lojalnej” jest ksiądz Stanisław Mażejka, proboszcz w Moskwie. Gdy przed kilkunastu laty przyjechał z Wilna do Moskwy, w kościele na każdej Mszy świętej było tłumno. Dziś kościół jest wyludniony. Za to władze sowieckie nie mają powodu uskarżać się na księdza Mażejkę, który wypełnia co do joty wszystkie zarządzenia państwowe. I w nagrodę jeździ do Rzymu, bierze udział w audiencji specjalnej u Ojca Świętego... Łatwo sobie wyobrazić jakie to wrażenie wywiera na uczciwych katolikach, bezustannie nękanym przez KGB za wierność Kościołowi. Do nich nie docierają ani błogosławieństwa apostołskie, ani słowa pociechy.

Ale Kościół Powszechny (nie podziemny!) w ZSSR, mocno mimo wszystko zjednoczony, działający w trudnych warunkach, potrzebuje raczej pomocy niż pocieszenia. I winien ją otrzymać. Potrzebny jest sztab ludzi do organizowania, kierowania i koordynowania pracy na wszystkich polach jednego Kościoła. Brak najwyższej i jednolitej organizacji Kościoła w ZSSR stał się przyczyną zmarnowania wielu już wysiłków i nie wykorzystania wielu możliwości; nie da się rządzić na odległość, bez rozeznania na miejscu. Można to zilustrować następującym zdarzeniem. W długim okresie starań o otwarcie kościoła w Mińsku był taki moment, gdy władze zaproponowały katolikom wykorzystanie cerkwi prawosławnej, odwołując się przy tym do idei ekumenizmu. Prości ludzie nie wiedzieli co robić, szukali autorytatywnej rady i znaleźli ją podobno u arcybiskupa Gulbinowicza, który był przeciwny przyjęciu propozycji i zachęcał do dalszych starań o własny niezależny kościół. Dzisiaj uważa się powszechnie tę radę za błąd. I pozostał cichy żal do arcybiskupa Gulbinowicza. A gdyby w tym czasie znajdował się w granicach ZSSR ktoś z upoważnieniem Stolicy Apostolskiej, sprawa mogłaby się była potoczyć inaczej. Coraz bardziej paląca staje się potrzeba stworzenia konsulty apostołskiej czy duszpasterskiej; miałyby ona w opiece te dziedziny pracy Kościoła, które u władz świeckich nie figurują; oraz te tereny, które nie są objęte oficjalną administracją kościelną. Tylko taka konsulta w warunkach życia w ZSSR będzie mogła pomóc ludziom w zdobywaniu większej wolności religijnej. Jest ona ponadto konieczna, aby koordynować różne siły i rezerwy w pracy misyjnej, aby rozwijać powołania kapłańskie i zakonne, aby tworzyć jednolity front w konfliktach z ateistami. I jest możliwa do zrealizowania.

Kościół w ZSSR potrzebuje pomocy moralnej. Trzeba mobilizować do ciągłego protestowania przeciw krzywdom i ograniczeniom wolności religii w ZSSR. Nie wolno ulec wrażeniu, że liberalizacja poczyniła postępy. Są one znikome i obliczone na zmylenie opinii międzynarodowej. Potrzebne są audycje radiowe na temat katechizmowych prawd wiary. To samo dotyczy książek w języku rosyjskim. Trzeba uruchomić wydawnictwo katechizmów dla dzieci i dla dorosłych. Książki rosyjskie z emigracji dochodzą do Rosji i na Ukrainę. Białoruś nie przyjmuje żadnej

literatury, a Litwa i Łotwa w sposób ograniczony. Potrzebne są dla łacińskiego obrządku książki liturgiczne z tego powodu, że mniejszości narodowe już się wynarodowiły i jest napływ neofitów.

Najwydatniej może katolikom w ZSSR dopomóc Polska. I pomoc jest już udzielana. Głównie w postaci literatury religijnej, dostarczanej przez osoby prywatne. Ten proces został zahamowany przez urzędy celne w republikach bałtyckich i w Mińsku. Pozostaje jednak dużo możliwości dotychczas nie wykorzystanych. Nie istnieje w ogóle duszpasterstwo dla Rosjan przebywających stale w Polsce. Dotyczy to przede wszystkim Dolnego Śląska. Więcej troski należy też okazać odwiedzającym Polskę obywatelom ZSSR, zwłaszcza młodzieży.

W sowieckiej prasie

Nie wiem które z wydarzeń kwietnia bież. roku przyszli historycy będą uważali za najważniejsze. Osobiście myślę, że najważniejszym było wydanie (co prawda nie w Moskwie, a w Łozannie) drugiej książki Aleksandra Zinowiewa „Świetlana przyszłość”. Tym razem pisarz mówi już nie o Ibańsku, kraju zwycięskiego komunizmu, nie używa już symbolicznych nazw a pisze o Związku Sowieckim, Kraju zwycięskiego komunizmu i jego stolicy Moskwie. Akcja toczy się współcześnie — w połowie lat 70-tych. „Świetlana przyszłość” zasługuje na szczegółową analizę, która — mam nadzieję — ukaże się na łamach *Kultury*. Teraz chcę tylko przytoczyć jeden, jak najbardziej aktualny, cytat. Jedna z postaci książki „podliczyła ilość zsyłek za czasów Stalina w najbardziej lizusowskim numerze filozoficznego periodyku za życia Stalina, oraz ilość zsyłek z okresu obecnego wodza w jednym ze średniolizusowskich numerów tegoż pisma. Stalin w tym zestawieniu wygląda na skromnisia”.

A. Zinowiew napisał tę książkę mniej więcej dwa lata temu. W tym okresie kult Breżniewa osiągnął rzeczywiście nieprawdopodobne rozmiary. Na pierwszomajowej demonstracji w br. pracownicy fizyczni i umysłowi nieśli hasła i transparenty na jeden tylko temat — chwała wielkiemu Breżniewowi; niesiono jego portrety, cytaty z jego przemówień i z jego wspomnień „Mała ziemia”, które stały się Wielką Książką o Wojnie.

Marks uważał, że historia się powtarza: najpierw jest tragedia, potem farsą. Ale ojciec marksizmu nie znał systemu sowieckiego, w którym wszystko przechodzi w trzecie stadium — w normę. I tragedia, i farsa stają się normą. I nikomu na świecie

nie było strasznie, a co gorzej i śmiesznie gdy ciężko chory Breżniew, ruina którą trzeba było wyjmować z fotela, podróżował po Niemczech w otoczeniu 12 lekarzy i dwóch specjalnych samochodów sanitarnych.

Prasa sowiecka przedstawiła wizytę Breżniewa w Bonn jako jedno z największych wydarzeń historii światowej. Co prawda nie wspomniano ani słowem o dwóch rzeczywiście interesujących faktach. Po pierwsze o tym, że — jak przystoi prawdziwemu komunistom — Breżniew raz jeden miał przyjemność w rozmowie z niemieckim działaczem politycznym — wtedy, gdy go odwiedził Franz Joseph Strauss. Breżniew nie tylko rozmawiał z nim tak długo, że dla przewodniczącego jednej z czterech zachodnoniemieckich kompartii, który zjawił się u Chana za jarłykiem, zostało zaledwie kilka minut, ale że ledwo suwając nogami osobiście odprowadził szefa zachodnoniemieckich odwodów przez cały park aż do wyjścia. No, ale to należy do porządku rzeczy. B. prezydent Nixon pisze w swoich pamiętnikach, że zmarły prezydent Mao przyznał mu się: „Lubię prawicowców... i szczególnie jestem szczęśliwy, gdy prawica dochodzi do władzy”.

Drugim interesującym wydarzeniem, to diagnoza co do choroby Breżniewa. Do jego wizyty w Bonn było wiadomo, że Marszałek, Przewodniczący i Generalny Sekretarz jest chory na co najmniej pół tuzina różnych chorób. Gdy przybył do stolicy Niemiec Zachodnich nawet przedstawiciel rządu przyznał, że gość „nie przypomina młodego Zygryda”. To była prawda: młodego Zygryda Breżniew bynajmniej nie przypomina, a jego choroba okazała się „chorobą Alvareza” tj. postępującym schorzeniem arterii, powodującym częste niewielkie zawały. Wszystko jest więc w porządku: wodzowi Związku Sowieckiego niezbędna jest „postępowa” choroba.

Breżniew w Bonn to znakomity symbol kraju „dojrzałego socjalizmu” — ciężko chory, otoczony lekarzami i tysiącami policjantów, niebezpieczny dla otoczenia. Od czasów Lenina chorzy sowieccy wodzowie zwracali się o pomoc do Niemiec: oczekiwali stamtąd rewolucji, pomocy lekarskiej, broni, techniki. Otrzymywali wszystko (z wyjątkiem rewolucji), a specjalnie wtedy, gdy byli silniejsi. A Breżniew zjawił się w Bonn zaraz po przewrocie w Afganistanie, gdzie do władzy doszli komuniści i oficerowie wyszkoleni w Sowieckich Akademii Wojskowych. W amerykańskim filmie fantastycznym — „Spotkania trzeciego stopnia” — mówi się o tym, jak trudne było znalezienie wspólnego języka między mieszkańcami Ziemi, a przybyszami z Kosmosu. W końcu okazało się, że muzyka może być podstawą takiego języka. Znacznie bardziej skomplikowana jest sprawa między Zachodem a Związkiem Sowieckim i to bez względu na to, że język sowiecki jest jasny, szczerzy i groźący. Po przewrocie w Kabulu *New York Times* napisał: „Administracja Cartera jest do tej pory, najzupełniej słusznie, całkowicie spokojna w związku z przewrotem w Afganistanie, w którym liderzy małej partii

komunistycznej uchwycili władzę w Kabulu... 10 lat temu jakiegokolwiek zwycięstwo komunistyczne byłoby traktowane jako oczywista klęska Ameryki. Dziś większość Amerykanów uważa, że świat jest bardziej skomplikowany”. Możliwe, ale *Prawda* w tych dniach (12. 5. br.) pisała: „Istnieje zasadnicza różnica między międzynarodową pomocą świata socjalistycznego a neokolonialistycznymi interwencjami Zachodu”.

Przewrót w Afganistanie jest wydarzeniem szczególnej wagi, gdyż *międzynarodowej pomocy* będzie można udzielić afgańskim komunistom z niezmierną szybkością — przez wspólną granicę, a mogą jej udzielić sowieccy Tadźyzy, Uzbeki, Turkmeni — braćcom żyjącym po drugiej stronie tej granicy.

Jeśli jednak zechcą pomagać. Politykę zagraniczną Związku Sowieckiego drugiej połowy lat 70-tych charakteryzują aktywne interwencje sowieckie w strefach ostrych konfliktów narodowych: Abisynia, Angola, Bliski Wschód — a obecnie Afganistan. Afgański *place d'armes*, wykorzystanie ruchu nacjonalistycznego wśród Beludżów i Patanów pozwoli Związkowi Sowieckiemu stać się decydującym faktorem polityki pakistańskiej i stworzyć jeszcze jedną wspólną granicę z Iranem. Być może że po raz pierwszy po 1920 roku, kiedy w Baku został zwołany kongres narodów Wschodu, a Zinowiew ogłosił *Hazawat* — świętą wojnę przeciwko angielskiemu imperializmowi — sowiecka polityka w takim stopniu wykorzystwała narodowo-wyzwoleńcze ruchy dla celów swojej polityki zagranicznej. Charakterystyczne jest, że w niedawno wydanym tomie Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, w haśle „Francja”, mówi się o wielonarodowym charakterze Republiki Francuskiej. Wśród „narodowości” wymienia się Bretończyków, Katalończyków, Basków, Żydów itd. To ustalenie wygląda na ostrzeżenie Francji.

Nie jest wykluczone, że poczucie ogromnych możliwości, jakie daje wykorzystywanie nacjonalistycznych uczuć i ruchów, charakterystyczne dla obecnej sowieckiej polityki zagranicznej jest związane z utajonym strachem przed wybuchem nacjonalizmów w Związku Sowieckim — ostatnim na ziemi wielonarodowym imperium. Strach ten powoduje, że wydawane wyroki są niezwykle ostre w stosunku do wszystkich tych, którzy w jakiegokolwiek formie głoszą idee praw narodowych. Ilustracją tego mogą być losy Ukraińca Helia Sniehirowa, pisarza, który wysłał swoją książkę „Mama moja, mama” z Kijowa, aby została opublikowana w *Kontinencie* i odważnie krytykującego sowiecką konstytucję. Ciężko chory pisarz został aresztowany, po rozpoczęciu głodówki był sztucznie odżywiany, co skończyło się paraliżem. Nie zadowolając się tym władze początkowo ogłosiły w *Radianskiej Ukrainie*, a potem w *Litieraturnoj Gaziecie* list, pod którym figurował podpis Sniehirowa. Dziś w Związku Sowieckim kładzie się specjalny nacisk na to, by aresztowani — w pierwszym rzędzie nacjonaści — kajali się za swoje grzechy. A jeśli się to nie udaje, to wszystko jedno: drukują *pokajanijs* z ich podpisami bez pytania ich o zgodę.

W maju br. ukazała się w Paryżu książka, która jest jednym z ważniejszych dokumentów ostatnich lat. Są to notatki robione w łagrze przez pisarza Michaiła Heifeca, skazanego w 1974 na 4 lata za napisanie brulionu artykułu do samizdatowego wyboru wierszy Josifa Brodskiego. Nawet w Związku Sowieckim wyrok ten wydaje się niewiarygodnie ostry. W momencie opublikowania jego notatek Heifec siedział jeszcze w łagrze.

Jako motto swoich obozowych notatek pisarz wybrał anegdotę: „Żyda wzięto do KGB. — Rabinowicz, okazuje się, że macie krewnych za granicą... — Co wy, co wy... ja ich nie znam i nigdy do nich nie pisałem. — Za to teraz siadajcie i napiszcie. — Nie chcę. — Rabinowicz, to potrzebne. Drodzy bracia — zaczął pisać Rabinowicz — wreszcie znalazłem miejsce i czas by do was napisać...”.

Michaił Heifec także znalazł czas i miejsce, aby napisać nam o życiu w sowieckim łagrze w naszej epoce — w drugiej połowie lat 70-tych. Trzeba od razu stwierdzić, że sowieckie łagry się zmieniły. M. Heifec opowiada o łagrach dla politycznych w Mordowii. Przypominają one łagry stalinowskie z na poły głodowym reżymem, wyczerpującą pracą, bezlitosnym stosunkiem strażników. Różnią się natomiast składem uwięzionych. Obecnie wszyscy siedzą „za coś”. Ma się rozumieć, sądząc po zachodnich normach prawnych, być może nie należałoby zamykać ludzi krytykujących politykę rządu, niezadowolonych z takich czy innych aspektów ustroju, ale według norm sowieckich, kiedy człowiek wie za co siedzi — za krytykę reżymu, za artykuł, za rozpowszechnianie książki — czuje się zupełnie inaczej, niż więźniowie stalinowscy, którzy przez 10 czy 15 lat zachodzi w głowę za co ich zamknięto.

Jak wynika z obserwacji Heifeca i co jest ważne: zamknięci składają się w zasadzie z nacjonalistów. Nacjonalistów ukraińskich, litewskich, ormiańskich (M. Heifec, zaprzyjaźniony się z jednym z działaczy Narodowej Zjednoczonej Partii Armenii, walczącej o pełną niepodległość Armenii, poprosił go o zgodę na przyjęcie go do tej partii w łagrze), żydowskich i rosyjskich. Mamy przed sobą model Związku Sowieckiego, w którym jednak sytuacja została odwrócona: najbardziej poniżanym i krzywdzonym narodem w łagrze okazali się Rosjanie. Wszyscy inni widzą w nich źródło swoich nieszczęść. Nacjonałści rosyjscy w łagrze muszą odpokutować za winy sowieckiego imperium. I to, jak zauważa Heifec, stwarza u Rosjan namiętne dążenie do znalezienia swego „okupanta”. I łatwo go znajdują.

Nacjonałści rosyjscy, z którymi Heifec rozmawiał w łagrze, rozmawiali niezmiennie logicznie: dlaczego zniszczono „w roku Wielkiego Przełomu” gospodarke rolną? Dlaczego zniszczono wóscian? Co jest powodem, że każdego roku wiosną i jesienią organizuje się bitwy „o urodzaj”, a w kraju brak chleba? Dlaczego buduje się fabryki i zagania się do nich więźniów? Wreszcie — dlaczego Związek Sowiecki wszędzie wsadza swój nos, dlaczego wyrzuca miliardy na Kubę, Angolę, Irak? Rosjanin nie

rozumie polityki swojego państwa: żyje w niedostatku, miesiącami nie widzi mięsa, z przerwami mleka, zdarza się że nie ma i cebuli, a w tym samym czasie jego zasoby są rozpraszane na wszystkie strony; i w jego kraju (przeciętnie okrainy żyją lepiej niż okręgi czysto rosyjskie) i za granicą.

„Czyż rząd może tak obchodzić się ze swoim narodem? — zadaje Heifecowi pytanie Piotr Sartakow, który od 30 lat odbywa w łagrze swój czwarty wyrok — skąd takie okrucieństwo w stosunku do własnego narodu? I po co rosyjskim ludziom leżeć do cudzych krajów, gdy wystarczy własnej ziemi...”. Dla Piotra Sartakowa, dla innych nacjonalistów rosyjskich w tym łagrze, odpowiedź jest jasna: krajem rządzą Żydzi.

Zjawisko, o którym opowiada Heifec, można by określić jako uboczny produkt oficjalnej sowieckiej propagandy, dla której już od dawna antysemityzm stał się ważnym elementem, a w latach ostatnich, najważniejszym. Na defiladzie pierwszomajowej oprócz portretów Breżniewa niesiono tylko wezwania do walki ze syjonizmem i bombą neutronową. Jednakże kampania antysemicka w ZSSR daje nieoczekiwany rezultat: ponieważ od lat wbija się w głowę, że głównym wrogiem są Żydzi, że zasadnicze niebezpieczeństwo grozi właśnie ze strony Żydów i od nich pochodzą wszystkie nieszczęścia — Żydzi stali się synonimem Zła. Dlatego też każdy kto zaczyna być niezadowolony z reżymu, natychmiast identyfikuje go z Żydami. Rosyjscy więźniowie pokazując Heifecowi w gazecie portrety — Breżniewa, Andropowa, generalnego prokuratora Rudienko — pytali — czyżby, jeśli jesteś uczciwym człowiekiem, znajdujesz w nich cokolwiek rosyjskiego? Nazwisko — można wymyślić jakie chcesz, ale mordy nie schowasz!

Z drugiej strony wrogowie reżymu sowieckiego cieszą się sympatiami rosyjskich nacjonalistów. Kto jest najbardziej strasznym i nieprzejednanym wrogiem? Ma się rozumieć — Izrael. Rodzi się więc sympatia do Izraela.

Możliwe, że chcąc walczyć z tym dążeniem ludzi sowieckich przeciwko naturze, tłumaczy się w jakiejś mierze nieustanne narastanie kampanii antysemickiej i antysyjonistycznej. W ostatnim czasie pojawiły się w tej kampanii i inne nuty — w prasie sowieckiej coraz częściej pojawiają się artykuły, w których mowa o twardej decyzji narodu sowieckiego niesienia pomocy narodowi palestyńskiemu. Komentator *Christian Science Monitor*, Paul Wohl, jeden z lepszych znawców Związku Sowieckiego, zwrócił uwagę na zbieżność dwóch dat: Arafat przybył do Moskwy 9. 3. br., a 11. 3. br. miał miejsce terrorystyczny zamach w Izraelu. *Prawda* z 10. 3. br. zamieściła fotografię Breżniewa i Arafata oraz oświadczenie Arafata: „Towarzysz Breżniew jest prawdziwym przyjacielem narodu palestyńskiego i całkowicie stoi po jego stronie”.

O tym, że tego rodzaju oświadczenia, artykuły, fotografie nie mają wyłącznie propagandowego charakteru świadczy książka N. W. Pokorniaka „Armia Izraela — narzędzie imperialistycznej

agresji", która ukazała się w Moskwie. Wszystko w tej książce przyciąga uwagę. Poczynając od danych wydawniczych — od chwili oddania do składu do podpisania do druku upłynęło 15 miesięcy. Ponad rok zatem rękopis był zatwierdzany, aprobowany, przechodził z jednej instancji do drugiej. Nakład — 40.000. Książka więc nie jest obliczona na masowego odbiorcę — a na specjalistów. Wydana została przez Wydawnictwo Wojskowe i Ministerstwo Obrony Narodowej. Podpisana zaś przez jednego autora, ale nie ulega wątpliwości, że napisało ją kilka osób — kolektyw specjalistów-antysemitów i specjalistów-wojskowych. Nigdy jeszcze od czasów wojny z Niemcami o żadnej armii nie pisano w Związku Sowieckim z taką zawziętą nienawiścią: bandyci, zwierzęta, piraci, maruderzy, mordercy — w książce nie ma innych określeń dla żołnierzy izraelskich. Jednocześnie zamieszczono dane dotyczące struktury armii, jej składu i możliwości mobilizacyjnych, a na końcu podano nawet słowniczek: wojskowe terminy używane przez armię izraelską i ich przekład na język rosyjski. Krótko mówiąc — książka N.W. Pokorniaka jest podręcznikiem dla sowieckich specjalistów wojskowych, którym może być dane spotkanie się z armią izraelską.

Nixon pisze w swoich pamiętnikach o groźbie Breżniewa wysłania w 1973 roku, w okresie wojny, wojsk sowieckich na Bliski Wschód, jeśli armia izraelska nie wyrazi zgody na zawieszenie broni. Dziś o pomoc sowiecką mogą poprosić Palestyńczycy Arafata a „wierność zasadom internacjonalizmu” może nie pozwolić przywódcom sowieckim na odmowę. Wtedy możliwe, że książka Pokorniaka przyda się. Walka z syjonistami wyjdzie poza granice Związku Sowieckiego i nabierze charakteru globalnego.

Czy to wszystko jednak pomoże w rozwiązaniu najważniejszego problemu wewnętrznego ZSSR? Kwiecień 1978 roku dał wspaniały przykład niezniszczalności uczuć narodowych, narodowej świadomości.

Gdy wreszcie breżniewowska konstytucja ZSSR została wypracowana i przyjęta, zaczęło się wypracowywanie konstytucji dla poszczególnych Republiki. W zasadzie nie różnią się one w niczym od wszechzwiązkowej. Tym razem zdecydowano wnieść niewielką poprawkę. W marcu br. ogłoszono projekty konstytucji republik kaukaskich, z których — jak się okazało — usunięto wzmiankę o języku narodowym. Za to mówi się w konstytucji o konieczności rozwoju wszystkich języków narodów ZSSR i zakazie dyskryminacji któregośkolwiek z nich. Aluzja jest wyraźna: niezbędny jest rozwój języka rosyjskiego i zakaz jego dyskryminacji.

I nastąpiło wydarzenie nieznane dotąd w Związku Sowieckim — w obronie swego języka wystąpili gruzińscy studenci. Tyfliscy filologowie wyszli na ulicę i dołączyli do nich mieszkańcy tego miasta. Powstała ogromna demonstracja. Gruzini zareagowali na projekt konstytucji nie tylko dlatego, że ruch narodowy w ojczyźnie Stalina jest jednym z najbardziej aktywnych, ale również dlatego, że wicekról Gruzji, pierwszy sekretarz KC partii,

Szewarnadze jest ze wszystkich sekretarzy republik ZSSR jednym z najbardziej gorliwych przywódców rusyfikacji. Do niego właśnie należy formuła odrzucająca kosmogonię Kopernika: „Dla nas, Gruzinów, słońce wstaje nie na Wschodzie, ale na Północy — w Rosji”.

Demonstracja w Tyflisie przestała być rzadkością: nieoczekiwana była rewizja projektu konstytucji po demonstracji. Tow. Szewarnadze osobiście oświadczył, że: „Biorąc pod uwagę demokratyczny charakter naszego społeczeństwa” najlepiej będzie „zostawić dawne sformułowanie”. Zatem w nowym projekcie konstytucji, ogłoszonym w kwietniu br., art. 75 rozpoczyna się słowami: „Językiem państwowym Sowieckiej Socjalistycznej Republiki Gruzji jest język gruziński”. Artykuł ten kończy się słowami: „Gruzja gwarantuje swobodę posługiwania się w urzędach i instytucjach językiem rosyjskim i innymi. Niedopuszczalne są żadne przywileje i ograniczenia”.

Władze poszły na pewne ustępstwa. No, ale zrobiły to pod wyraźnym naciskiem mas. Nowe projekty konstytucji zostały ogłoszone w Armenii i w Azerbejdżanie, gdzie demonstracji nie było. I Ormianom i Azerbejdżanom oficjalnie pozwolono uważać ich języki za państwowe.

Adam KRUCZEK

Kolokwium rusycystyczne w Genewie

„Jedna, czy dwie literatury rosyjskie?”. Tak brzmiało hasło wywoławcze międzynarodowego kolokwium rusycystycznego w Genewie. Zorganizował je w dniach 13-15 kwietnia Wydział Filologiczny Uniwersytetu Genewskiego, a w szczególności kierownik katedry slawistyki, prof. Georges Nivat, znany specjalista przedmiotu, zajmujący się szczególnie Andriejem Biełym. Impreza została bardzo dobrze przygotowana. Przede wszystkim zebrano nader prze-myślany i reprezentatywny zespół ludzi: różnych pokoleń, metod naukowych i poglądów szczegółowych, chociaż wspólnej orientacji ogólnej. W ciągu trzech dni, wypełnionych gruntownie referatami i dyskusjami, ludzie ci bez trudu znaleźli wspólny język, właśnie na zasadzie kontrastów i uzupełnień, chociaż nie obchodziło się bez sporów, czasami bardzo ostrych. Przedstawiciele starszego pokolenia emigracji Zinaida Szachowska, redaktor naczelną tygodnika *Russkaja Mysl* i Mikołaj Andrejew, z Uniwersytetu Cambridge naszkicowali konkretne, na wspomnieniach oparte, zaplecze faktograficzne spraw i ludzi emigracji. Robin Kemball z Uniwersytetu w Lozannie przedstawił dramatyczny los Maryny Cwietajewej, a Ilma Rakusza-Ingold z Zurychu zreferowała listowną przyjaźń znakomitej poetki z Rilke. Michel Aucouturier z Sorbony zajął się specyficznym epizodem poemigra-

cyjnym, jaki stworzyła grupa tzw. „smienowiechowców” w pierwszej połowie lat dwudziestych. Dynamiczne wprowadzenie ku tym sprawom szczegółowym dał w referacie otwierającym spotkanie Jefim Etkind z Nanterre, akcentując silnie myśl o tym, że literatura rosyjska, terytorialnie poroździelana, jest przecież jedna w tym co w niej najistotniejsze.

W ten sposób już w połowie kolokwium uczestnicy jego uświadomili sobie i swoim słuchaczom, których było sporo, chytrą i przemyślaną retoryczność pytania wstępnego. Ponadto — ujawniła swój ciężar gatunkowy literatura emigracji, i zgodzono się wspólnie, że jest ona równouprawnionym obszarem badań. Pozornie brzmi to jak truizm, ale nim nie było skoro — mówił o tym ze szczególnym naciskiem Mikołaj Andrejew, *spiritus movens* całego kolokwium — do niedawna wszystkie zebrania naukowe takiego typu poświęcano wyłącznie literaturze krajowej, traktując emigrację jako epizod jakby wstydlivy, peryferyjny, niegodny poważnej uwagi. Reorientacji, zapewne, sprzyjał fakt, że na kolokwium zebrało się sporo dawnych i nowych emigrantów; ale też z pewnością, i przede wszystkim, to że znaczenie literackie emigracji ujawniło się wreszcie jako fakt obiektywny i bezsporny. W ten sposób część uczestników, prócz przedmiotu swoich badań, rozpoznawała jeszcze na tym kolokwium jakby samych siebie, a inni, dla których emigracja nie stała się losem, w tym rozpoznaniu domagali. Wytworzyło to od razu atmosferę wewnętrznego porozumienia i zrozumienia.

Z tym większą ciekawością wysłuchano też referatowego dwugłosu uczonych izraelskich, Łazara Flejszmiana i Dymitra Segala, o teoretycznych problemach badania literatury emigracyjnej. Wychodząc z złożonych metodologicznych, bliskich strukturalizmowi, uczeni zaproponowali kompleksowe traktowanie sprawy, typizację i systematyzację sytuacji pisarzy emigracyjnych, ale dali przy tym dowody, że rozumieją literaturę w ogóle jako zjawisko żywe i nieschematyczne. Bardzo to podniosło na duchu większość obecnych, reprezentujących raczej tzw. *old criticism*, czyli tradycyjne metody badań, i zgodzono się, że taki „strukturalizm z ludzką twarzą” otwiera nowe i bardzo potrzebne **perspektywy**.

W drugiej części kolokwium dokonywano penetracji bardziej szczegółowych, i już na obszarze krajowym. Wolfgang Kasack z Kolonii omawiał sposoby przemawiania nie wprost — tj., szeroko ujmując — alegoryczności współczesnej literatury rosyjskiej. Andrzej Drawicz z Warszawy interpretował twórczość Bułhakowa, a zwłaszcza „Mistrza i Małgorzatę” jako cykl poszukiwań swobody, która — odjęta tradycyjnemu diablowskiemu — mogła się spełnić tylko w akcie twórczym. Gospodarz spotkania, Georges Nivat na przykładzie „Car-ryby” Wiktora Astafiewa zasygnalizował ważną problematykę etyczno-moralną, obecną w twórczości pisarzy szeroko pojmowanego nurtu „wiejskiego”. Simon Markisz z Genewy poświęcił swoje wystąpienie nurtowi psychologiczno-obyczajowemu, i zestawiając pisarstwo Jurija Trifonowa z pokrewnymi zjawiskami emigracyjnymi („Korytarz” Feliksa Kandela) podkreślał wagę „legalnej” literatury krajowej, która potrafi, nawet w ciężkich warunkach cenzuralnych, powiedzieć bardzo wiele. Nad ostatnim dniem spotkania dominowały sprawy grotesko- i fantazjopisarstwa, satyra i dowcip polityczno-obyczajowy. Okazało się że taka kompozycja miała właściwy sens, bo z jednej strony atmosfera kolokwium jeszcze się dodatkowo ożywiła, z drugiej — bardziej ekspresyjne i fantazyjne, lotne formy literackie ukazały się jako bardzo dzisiaj ważne. Andrzej Siniawski błyskotliwie dowiódł, jak ważną rolę pełni dowcip, zastępując w rozpoznawaniu rzeczywistości zniewoloną literaturę oficjalną. Leonid Heller i Michał Heller z Paryża mówili o ustawicznie odnawianej opozycji tego co żywe, autentyczne, swobodne i tego co narzucone i stereotypowe, przy czym pierwsze szuka wyrazu właśnie w fantazjotwórstwie i „błaznistwie” (stąd opozycja „błazna i komisarza”, roz-

patrywana jako ważki motyw przewodni w drugim referacie). Maria Rozanowa-Siniawska polemicznie atakowała zwierzchnie konwencje językowe, a Herman Andrejew z Heidelbergu omawiał znaczenie „Przepastnych wyżyn” Aleksandra Zinowiewa. *Nota-bene*: znaczenie to było podnoszone wielokrotnie i przez innych, zebrani zgadzali się bowiem, że ta niezwykła książka rozłupuje zakłamanie systemu niejako w samej jego istocie, strukturalnie.

Brak tu możliwości, aby przekazać nawet skróto sens sporów dyskusyjnych, w których brali udział i goście kolokwium. Był też okrągły stół z udziałem publiczności, która przybyła do wielkiego uniwersyteckiego auditorium bardzo licznie, uczestnicy spotkania przedstawili zebranym w skrócie jego problematykę. Wszyscy, jak to często bywa, mieli wrażenie, że zbyt wielu rzeczy powiedzieć nie zdążono. Z pewnością jednym z poważniejszych braków była nieobecność sowieckich literatury pozarosyjskich, o których, nawet mając za główny przedmiot literaturę rosyjską zapominać nie należy. Wydaje się, że Rosjanie są ciągle tak pochłonięci groźnym i bezprecedensowym losem własnym, że nie ochłonęli jeszcze na tyle, by rozejrzeć się dokoła, i poczuć współodpowiedzialnymi za sprawę z bliskiego kręgu. Ale będą to w końcu musieli zrobić; im wcześniej tym lepiej (nie dotyczy to zresztą np. zespołu *Kontynentu*, bo ten już to czyni).

Zgodzono się wspólnie, i bez atmosfery wzajemnej adoracji, że spotkanie było sensowne, i że stanowiło jedno z lepszych spotkań tego typu, bez dziur i martwych fragmentów. Szczerze i serdecznie dziękowano organizatorom, którzy postarali się o wszystko, co było potrzebne — i rozjechano z wyraźną odpowiedzią na tytułowe pytanie. Inne, bardziej szczegółowe pytania i problemy pozostały sprawami otwartymi, wzbogaconymi o wspólną, żywą refleksję; czyli tak jak być powinno.

Z litewskiej prasy

Były kierownik wydziału polskiego w litewskim MSZ'ecie dr P. Mačiulis rozważa stosunki litewsko-polskie na łamach *Teviškes Ziburiai* Nr 1464, pisząc: „Nikt nie jest tak naiwny by zalecać prowadzenie rokowań o przyszłych stosunkach między Litwą a Polską. Zrobią to przedstawiciele tych krajów, gdy opadną pięta niewoli. Nierealna jednak jest ocena, że w tych sprawach postawa polskiej emigracji nie będzie miała żadnego znaczenia. Przypomnijmy jaką rolę w odbudowaniu państwowości mieli Paderewski i Masaryk. Przychylne nastawienie emigracji będzie miało wpływ na przyszłe decyzje Polski. Dlatego należy zawczasu kultywować stosunki, by to nastawienie było przychylne, czego się nie osiąga stałym wypominaniem cieni przeszłości. Mam tu na myśli nie tylko Wilno, ale i egzystencję Litwy.

Niemcy od Kongresu wiedeńskiego 1815, nie wykazywali względem nas przychylności, a jednak utrzymywaliśmy z nimi stosunki gospodarcze i kulturalne, co nas nie poniżało. Czy nie tak samo należy ustosunkować się do Polski, z którą, chcąc nie chcąc, będziemy sąsiadować?

Z Polską i teraz mocarstwa się liczą (trzech amerykańskich prezydentów ją odwiedziło). Nie znamy przyszłości, ale w Europie istnieje tendencja

do jednoczenia się. Powstał Wspólny Rynek, który obejmuje coraz to nowe kraje itd., itd. Biorąc to wszystko pod uwagę, wydaje się jasne, że należy w opinii światowej wyrażać sobie opinię ludzi dobrej woli i pokój miłujących”.

Po miesiącu odezwał się ex-Wilnianin K. Baronas. „Chciałbym dać dr. Maćulisowi odpowiedź na jego pytanie zawarte w artykule 'Więzy kulturalne z Polakami', jakimi drogami mielibyśmy iść do współdziałania z Polakami. Moja odpowiedź bardzo krótka — żadnymi!

Stosunki litewsko-polskie mogą być wzorowane na żydowsko-niemieckich, gdyż i krew Litwinów była przelewana w więzieniach, obozach koncentracyjnych, represjach, pogromach, w Wilnie i Wileńszczyźnie. Naród nasz doznawał krzywd od roku 1387. One nie kończą się i dzisiaj w trójkacie suwalskim, w litewskiej części Białorusi, rządzonej przez zbiorowiskowych Polaków”.

(Ktoś, kiedyś powiedział, że pomieszanie słusznych argumentów z niepoważnymi, czyni wszystkie niepoważnymi).

Dziennik *Draugas* (Chicago) z dn. 15. 2. 1978 w artykule „Wolność musimy wywalczyć sami”, pochwalając zabiegi o poparcie amerykańskich polityków, dodaje: „Drugim ważnym odcinkiem naszej walki jest przyjaźń z narodami ujarzmionymi. Wiele jest takich narodów i wszystkie mają te same dążenia i wspólne wroga. Tego rodzaju przyjaźń narodów ujarzmionych jest bezinteresowna, bratersko-siostrzana i dla tego należy ją cenić. Współdziałamy nie tylko z Estończykami i Łotyszami, podrzymujemy przyjaźń również z Ukraincami, Białorusinami, Polakami, Niemcami, Gruzinami. Jedność ujarzmionych jest wielką bronią, o wiele potężniejszą niż moralne poparcie któregoś z mocarstw”.

W dalszych wywodach autor zarzuca emigracji, że m.in. za mało protestuje się z powodu likwidacji litewskich szkół w republice białoruskiej i, że „Polscy biskupi krzywdzą Litwinów, nie pozwalając im w należyty sposób modlić się w kościołach w języku ojczystym. Wreszcie nie protestowaliśmy, gdy ostatnio w powiatach sejneńskim i suwalskim usunięto język litewski ze szkół”.

Litewski kwartalnik *Metmenys* w Nrze 34 (1977 r.) zamieszcza artykuł T. Venclovy pt. „Rosjanie i Litwini”. „Pewien uchodźca, przybyły ostatnio z Litwy, zapytany czy Litwini mają poczucie wyższości w stosunku do Rosjan, odrzekł: W pewnym sensie tak, gdyż Rosjanie nie są Europejczykami, a mieszańką rosyjsko-mongolsko-tatarską, dla których kultura europejska jest niezrozumiała, obca, w rozumieniu sowieckim wroga i niebezpieczna. Wypowiedź ta wywołuje u autora zastrzeżenia. Nie można się zgodzić, że Czaadajew czy Nabokow nie są Europejczykami, dla których kultura europejska jest obca i niezrozumiała. Niestety Litwini nie mieli Europejczyków w tej skali. Sołżenicyn i Sacharow swą działalnością realizują ideały, które przez wieki miały swe korzenie w Europie. Przeciwwiadanie europejskości duchowi azjatyckiemu też nasuwa wątpliwości, a tym bardziej zarzut „asymilacyjnej mieszańki”, gdyż wyższość czystszej rasy nie jest dowiedziona. Mongołowie dali nie tylko Dżyngis chana, ale i rafinowaną kulturę buddyjską. Koncepcja czystszej rasy wydała hitlerizm, a czółówką ruchu wolnościowego w Sowietach są niedobitki krymskich Tatarów. Dalej autor omawia przyczyny wrogości litewsko-rosyjskiej. Rosjanin stał się kołem ofiarnym, na którego zwała się winę za nieszczęścia ostatnich dziesięcioleci. Rosjanin jest uważany za żandarma, alkoholiaka, apatycznego barbarzyńcę, rozpustnika, i wreszcie za mordercę. Nie bez powodu, gdyż przybywający na Litwę koloniści, zwłaszcza administratorzy, często zasługują na wiele z tych zarzutów. Zasługuje na nie nieraz Litwin, lecz na to zwraca się naturalnie mniejszą uwagę. Bo Rosjanin, to wyrodek i nie na to nie można poradzić, a o Litwinach panuje opinia, albo się od nich zaraził”.

albo sprzedawczyk, ale jeszcze nie spisany na straty. Te uczuciowe i psychologiczne stereotypy są dosyć mocne również wśród litewskiej elity komunistycznej. Są one tym bardziej zakorzenione, gdyż elita jest zmuszona wyrażać codziennie swą miłość do narodu rosyjskiego, a w rzeczywistości współzawodniczy z Rosjanami w podziale stanowisk i rubli. Poza tym różne drobne podłości, które często popełniają litewscy przywódcy, są pięknie tłumaczone „Moskiewskim dyktandem”, lub powiedzeniem „nie chcę rozgniewać Moskwy”, podczas gdy Moskwa może o tych postępkach nawet nie wiedzieć. Taka codzienna praktyka dwulicowości ciąży i doprowadza do wściekłości. I mogę im tylko współczuć”. I dalej:

„Nie różnicowana ksenofobia, emocjonalna nienawiść przenika i inne warstwy społeczne, niekiedy nawet podziemną prasę. Ale jest to również produkt frustracji i „zewnętrznej sowietyzacji”. Ludzie nie przyjmują skompromitowanej ideologii, lecz nie są w stanie stworzyć innej — konstruktywnej i humanistycznej. Brak wiadomości o świecie i własnych tradycjach, brak warunków do normalnej dyskusji, i wreszcie brak chęci. Rząd zdaje się uważać, że te nieucywilizowane uczucia narodowe są dla niego czasem pozytywne, według starej zasady *Divide et impera*. W Polsce i na Ukrainie wszelkimi sposobami podlegany jest antysemityzm. (Z dumą można stwierdzić, że w dzisiejszej Litwie to podleganie nie dało wyników). W tejże Polsce Gomułka i Moczar dla utrzymania się przy władzy próbowali nawet wykorzystać nastroje antyrosyjskie. (Sądzi się, że nawet z cichym poparciem Moskwy). W bardzo antyrosyjskiej Albanii polityka wewnętrzna bardziej naśladuje model stalinowski niż w samej Rosji (warto by o tym pomyśleli ludzie, którzy sądzą, że niepodległość jest lekarstwem, które automatycznie leczy wszystkie braki).

Według relacji prasy podziemnej litewskim działaczom narodowym podczas śledztwa stawiane są pytania przez ich badających współziomków: I po co ci ten Sacharow — przecie to Rosjanin!”.

W dalszych wywodach autor pisze, że pojęcie narodowości polega w wielkiej mierze na zachowaniu swej specyficznej mentalności i pamięci historycznej, i dochodzi do wniosku, że w Sowietach najmniej ucierpiał kultury Litwy, Gruzji, Armenii i t.d., a najwięcej rosyjska, gdyż została w największym stopniu zastąpiona przez kulturę sowiecką. Celem nadrzędnym jest narzucenie kultury sowieckiej, a mocno już przeobrażony język rosyjski jest tylko narzędziem. Przeciwdziałanie tej sowietyzacji jest wspólnym zadaniem, tak Litwinów, jak Rosjan.

W tymże numerze *Metmenys* przynosi wspomnienia litewskiego dyplomaty p. Klimasa. Stulecie urodzin Oskara Miłosza, kresowego żubra, francuskiego poety i pierwszego pośła Republiki Litewskiej w Paryżu, stanowi temat licznych artykułów w litewskiej prasie emigracyjnej.

P. Klimas w swych wspominkach, pisanych w latach trzydziestych, opisuje zwierzenia i prorocтва tego mistyka i kabalisty z okresu współpracy w roku 1923.

„Dziś rano wpadł do mego gabinetu Miłosz. W oczach łyzy, zadyszany... Obawiałem się, że skona tu na miejscu. A on przyniósł tylko nowe rewelacje z Apokalipsy... Teraz już wszystko rozumiał — on jest pierwszym człowiekiem na ziemi, przewidzianym już przez Św. Jana, gdyż dotychczas nikt — cała ludzkość — tego nie rozumiała”.

„Miłosz w transie powiedział, że Bóg zezwolił mu na głoszenie rewelacji z Apokalipsy. Padł na kolana i dziękował za tę grację. Może to go uwolni od strasznych *tourments*, które obecnie przeżywa dniami i nocą, doprowadzających go do szaleństwa. Ale jego wyjaśnienia są zupełnie jasne i racjonalne. W Apokalipsie wyraźnie jest przewidziane: tym diabelskim szatańskim państwem jest Ameryka, która świat omotała swymi diabelskimi maczami. Jej cyfrą jest 666, co po hebrajsku i baskijsku znaczy Ameryka.

Ten diabelski agent dąży do zgnębienie starej Anglii, która chociaż będzie się sprzeciwiać, wejdzie w rolę *sous-diable*. Toteż najpierw Anglię Bóg ukaże. Londyn zginie po trzęsieniu ziemi i zatonie. Imperium angielskie rozpadnie się po takiej katastrofie i zginie. Dla zgubienia Anglii Ameryka sprzymierzy się z Rosją, która wyrzekając się Boga i Chrystusa, za swe bóstwo uzna Matuszkę-Amerykę. Rosja będzie zelektryfikowana, zamerykanizowana i stanie się bogata i potężna. Postawi nawet elektryczną statuetkę, która będzie mówić. Lecz potem Ameryka i Rosja będą strasznie ukarane. W jaki sposób nie wiadomo. „*Mais ce sera terrible*”. Potem nastąpi okres pokoju trwający tysiąc lat. I cały świat będzie miał szefa. Nie będzie to Papież, gdyż Chrystus jest „*en colere contre le Pape*”. I całym sfederowanym światem będzie rządził... kto? Litwa, albo Litwin. To wszystko jest w tekstach Apokalipsy”.

E. ŻAGIELL

Kronika niemiecka

Liberalny Związek Studentów (*Liberale Hochschulverband*) w Kolonii wraz z redakcją miesięcznika *Liberale Forum* zaproteściwał przeciwko pozabawieniu pracy młodego poety i naukowca poznańskiego, Stanisława Barańczaka. W liście, skierowanym do rektora Akademii Rolniczej w Krakowie, zaproteściwali oni również przeciwko szkanom, które spotkały relegowanego doktoranta, Ziemowita Pochitonowa i grupę studentów w Krakowie. ■ W Kolonii odbyło się posiedzenie sekcji polskiej komisji wschodniej gospodarki NRF z udziałem przedstawicieli organizacji gospodarczo-handlowych z PRL, poświęcone omówieniu kwestii rozszerzenia współpracy i kooperacji gospodarczej małych i średnich firm z NRF i Polski. W ub. roku miał miejsce pewien wzrost eksportu polskiego do NRF, był jednak znacznie niższy niż planowano. Eksport z NRF do Polski znacznie go przewyższa: różnica na niekorzyść PRL wyniosła w 1976 roku 1,7 mld. marek. ■ W okresie powojennym (do 1. 1. br.) sądy zachodnioniemieckie skazały za udział w zbrodniach hitlerowskich 6.425 osób. ■ W Domu Książki w Warszawie czynna była czterodniowa wystawa książek zachodnioniemieckiej firmy wydawniczej BLV Verlagsgesellschaft z Monachium. Obejmowała ona ok. 500 tytułów z zakresu sportu, myślistwa, biologii, gospodarstwa domowego, leśnictwa, rolnictwa, ogrodnictwa i krajoznawstwa. ■ W Warszawie przyznano doroczne nagrody klubu publicystów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za rok 1977. Na sześć przyznanych nagród czterema wyróżniono dziennikarzy zajmujących się problematyką niemiecką: Juliana Bartosza — *Gazeta Robotnicza* (Wrocław), Henryka Kollata — *Telewizja i Polskie Radio*, Michała Jaranowskiego — *Sztandar Młodych* (Warszawa) i Eugeniusza Guza — *PAP*. Publicyści ci są związani z dogmatycznym skrzydłem partii, a personalnie z sekretarzem KC PZPR, Jerzym Łukasiewiczem. Od wielu lat zwalczają oni jakiegokolwiek próby normalizacji stosunków polsko-niemieckich. ■ *Ostatnie Wiadomości*, organ polskich oddziałów Kompanii Wartowniczych przy US Army, ukazujący się do niedawna w Mannheim dwa razy w tygodniu, jest obecnie rozprowadzany jako tygodnik w nakładzie 1.500 egzemplarzy. Jeszcze w połowie marca bież. roku nakład wynosił

2.000 egzemplarzy. ■ Akademia Ewangelicka w Berlinie Zachodnim urządziła międzynarodowe sympozjum poświęcone stosunkowi Kościołów do problematyki ogólnoeuropejskiej. Jednym z głównych mówców był prof. Stanisław Stomma, przewodniczący grupy *Znak*. Zdaniem prof. Stommy podstawowym warunkiem do zaprowadzenia „ładu pokojowego i jedności w Europie” jest porozumienie między narodami polskim i niemieckim. W związku z tym przypomniał jak wielkie znaczenie miał list Episkopatu Polski do biskupów niemieckich z 1965 roku. ■ W latach 1964-1977 władze bońskie wykupiły 14 tysięcy osób więzionych w NRD za łączną sumę 1.023 mld. marek. ■ Marek Kasperczyk, 41-letni inżynier-leśnik, zbiegł do Republiki Federalnej, ukryty w ciężarówce. Dziewięciodniowa odyseja zakończyła się w Akwizgranie. Po krótkim pobycie w szpitalu inż. Kasperczyk zwrócił się do władz zachodnioniemieckich o udzielenie azylu. Prasa niemiecka donosiła, że Kasperczyk został w Polsce zwolniony z pracy i był przesładowany przez organy MO w związku z działalnością na rzecz pomocy robotnikom dotkniętym represjami po wydarzeniach czerwcowych. ■ Ostatni, zesłoroczny, numer dwumiesięcznika *Dokumentation Ostmitteleuropa* (6/1977), wydawanego w Marburgu przez Johann-Gottfried-Herder-Institut, został w całości poświęcony problematyce polsko-niemieckiej. W obszernym wprowadzeniu pióra dr. Richarda Breyera podkreślano m.in. wkład polskich naukowców i publicystów emigracyjnych w dzieło porozumienia i zbliżenia obu narodów. W załączonej dokumentacji zamieszczono tłumaczenie artykułu pt. „Niemcy” (*Kultura*, nr 12 z 1977 r.). ■ Dr Andrzej Drawicz, przebywający od jesieni ub. roku w Kolonii jako wykładowca literatury polskiej i rosyjskiej w *Instytucie Sławistyki Uniwersytetu Kolońskiego*, otrzymał ostatnio stypendium fundacji *Friedrich-Ebert-Stiftung (SPD)*. ■ Wybitny uczony polskiego pochodzenia prof. Ludwik Gross, szef *Wydziału Badań nad Rakiem w Bronx Veterans Administration Hospital* oraz długoletni członek *Polskiego Instytutu Naukowego* w Nowym Jorku, otrzymał najwyższe odznaczenie zachodnioniemieckie za osiągnięcia w dziedzinie badań medycznych — *Złoty Medal im. Darmstaetera*. Aktu dekoracji dokonała pani Antje Huber, minister zdrowia Republiki Federalnej. ■ Rząd Republiki Federalnej dał wyraźnie do zrozumienia, że jeżeli w ciągu 2 lat od podjęcia produkcji broni neutronowej nie osiągnie się w rokowaniach rozbrojeniuowych w Wiedniu rezultatów odpowiadających *NATO*, wówczas zgodzi się na umieszczenie broni „N” na terytorium Republiki Federalnej. Kanclerz Schmidt traktuje broń „N” jako czynnik przetargowy w stosunkach *NATO* z państwami *Paktu Warszawskiego*. W głosowaniu *Bundestag* 240 głosami przeciwko 225 przyjął rezolucję idącą po linii deklaracji rządu kanclerza Schmidta. ■ Z inicjatywy *Herzog-Anton-Ulrich Museum* w Brunsziku, otwarto w krakowskim Muzeum Narodowym wystawę nowoczesnej grafiki zachodnioniemieckiej. Pokazano 75 prac z lat 1950-1975. ■ Beata Klarsfeld, niemiecko-francuska działaczka antyfaszystowska nie otrzymała wizy wjazdowej do PRL. Klarsfeld zamierzała wziąć udział w uroczystościach w Oświęcimiu, z okazji 35 lecia wybuchu walk w getcie warszawskim. ■ Zarząd miasta Düsseldorfu podjął decyzję o przekazaniu na budowę *Centrum Zdrowia Dziecka* 25 tysięcy marek. ■ Bliski współpracownik szefa wschodnioniemieckiej *SED* Ericha Honeckera, 51-letni prawnik prof. Wolfgang Seiffert, postanowił pozostać na stałe w Republice Federalnej. Seiffert, wykładający obecnie na Uniwersytecie w Kilonii, był dyrektorem *Instytutu Prawa Międzynarodowego* w Babelsbergu k/Poczdamu. ■ Hans Koschnick, wiceprzewodniczący *SPD* i nadburmistrz Bremy, w wywiadzie opublikowanym na łamach *Tygodnika Powszechnego*: „*SPD będzie przykładać szczególną wagę do spotkań młodego pokolenia z Republiką Federalnej Niemiec i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jest rzeczą jasną, że może się to stać nie tylko*” (podkreśl. — A. J. Ch.) na drodze kontaktów sformalizowanych. [...] A zatem nie powinno się poprzestawać na, że tak powiem, kontaktach

oficjalnych. Przeciwnie. Należy dokonać poważnej próby wciągnięcia w tę politykę coraz do większej liczby ludzi. To znaczy, że muszą zostać otwarte dalsze płaszczyzny spotkania społecznego". Wywiad przeprowadził Andrzej Micewski. ■ *Ewangelicka Fundacja Zeichen der Hoffnung* (Znak Nadziei), założona w lipcu 1977 roku, której celem jest niesienie pomocy ofiarom prześladowań w okresie hitlerowskim, zebrała dotąd w drodze kolekty 70 tysięcy marek. Kwota ta została przekazana do Polski w formie zasiłków pieniężnych dla osób najbardziej poszkodowanych. Część kwoty wykorzystano na zakup przyrządów medycznych i pokrycie kosztów pobytów kuracyjnych. ■ Nadburmistrz Bremy — Hans Koschnick spotkał się z prezydentem Gdańska Jerzym Młynarczykiem dla omówienia problemów wzajemnej współpracy obydwu miast, rozwijającej się w oparciu o podpisane w roku 1976 porozumienie. ■ Na mocy ogólnego porozumienia PRL-NRF, obywateli i byli obywatele polscy, zamieszkali w Republice Federalnej i korzystający ze świadczeń emerytalnych, mają prawo do korzystniejszego obliczania tych świadczeń z pełnym uwzględnieniem uprawnień nabytych przed wojną lub później w Polsce. Do wysługi emerytalnej zalicza się w tym wypadku także okresy służby w wojsku polskim oraz z tytułu walki w ruchu podziemnym jak też okresy studiów i nauki po ukończeniu 16 roku życia. Zgłoszenie pretensji o wyższy wymiar emerytury upłynęło 31 marca 1978 r. Wielu emerytów polskich w Republice Federalnej skorzystało z porozumienia i znacznie poprawiło wysokość swoich rent ze wstecznym wyrównaniem od 1 maja 1976 roku. ■ Zachodniemiecki pastor ewangelicki — Ascan Lutteroth, znany w Republice Federalnej i Polsce działacz na rzecz pojednania między obu krajami, przebywał z wizytą w Warszawie; zwiedził tereny budowy Centrum Zdrowia Dziecka i zapowiedział dalszą pomoc finansową ewangelików z Niemiec Zachodnich.

Andrzej J. CHILECKI

ZAPRENUMERUJ "AN POLITYCZNY KWARTALNIK EKS" do ocenzonej prasy w Polsce

W nr. 18 m.in.: L. KOŁAKOWSKI *Moje słuszne poglądy na wszystko*; O. LANGE: *Jak pojmuję socjalizm*; K. DOROSZ: *Faust współczesny czyli de pacto hominis politici cum diabolo*; F. FEDER: *O spółdzielczości inaczej*; J. LEWANDOWSKI: *O potrzebie dyskusji*; N. GORBANIEWSKA: *Samizdat szkołą wolności*; CHINY — POLSKA — ZWIĄZEK RADZIECKI; A. MICHNIK: *Zapis dwóch rozmów*; *Rozmowy polsko-chińskie, Moskwa 1960*; J. LÉVESQUE: *Chiny wobec wydarzeń październikowych 1956 r.*

Upřednio w nr. 16-17 m.in.: DOKUMENTY CENZURY PRL; M. TURBACZ: *Możliwości działania opozycji w Polsce*; EUROKOMUNIZM: L. KOŁAKOWSKI — S. CARILLO — J. ELLEINSTEIN — G. URBAN — L. RADICE; M. WINOWSKA: *Ks. H. Hlebowicz*; ks. H. HLEBOWICZ: *Na Trzeci Maj 1941 r.*; I. GRUDZIŃSKA-GROSS: *W. Machajka autoportret faszysty*.

ROCZNIE — 4 numery — US \$ 12, FF/Skr 40, w W. Brytanii £ 5.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przesyłać na adres:

ANEKS, 61 DORSET ROAD, LONDON W.5.
ENGLAND.

Sprawy i troski

Instytut Praw i Swobód Człowieka

Dnia 11 kwietnia br. w dwu połączonych podkomisjach Izby Reprezentantów rozpoczęły się obrady nad projektem ustawy, powołującej do życia finansowany przez Kongres Stanów Zjednoczonych Instytut Praw i Swobód Człowieka (*Institute for Human Rights and Freedom*).

Stworzenie takiego Instytutu będzie wydarzeniem ogromnej wagi dla wszystkich, którym leży na sercu poszanowanie i rozwój uprawnień jednostek i społeczeństw. Będzie ono również bardzo potrzebnym świadectwem, że hasło obrony praw człowieka, rzucane tak śmiało przez prezydenta Cartera na początku jego kadencji, pozostanie trwałym składnikiem polityki zagranicznej USA.

Naczelnym zadaniem Instytutu, tworzonego „dla dania wyrazu zaangażowania Stanów Zjednoczonych w sprawę praw człowieka i podstawowych swobód”, będzie udzielanie jawnej pomocy organizacjom (nie-rządowym), ugrupowaniom i jednostkom, które w innych krajach zajmują się obroną poszanowania tych praw i swobód. Instytut będzie więc organizował konferencje i badania naukowe, finansował i rozprowadzał publikacje, fundował stypendia, pomagał pisarzom i artystom, pozbawionym z przyczyn politycznych możliwości udostępniania swoich dzieł, a także udzielał wsparcia organizacjom i osobom, opiekującym się ludźmi prześladowanymi za swoje poglądy.

Pracami Instytutu kierować będzie siedmioosobowa Rada Dyrektorów, mianowana przez prezydenta przy zasięgnięciu opinii senatu spośród wybitnych osobistości amerykańskiego życia publicznego. Poza tym jednak Instytut nie ma być administracyjnie zależny od władz rządowych, Kongresu, ani żadnej instytucji USA.

Instytut nie będzie oficjalnym wyrazicielem polityki amerykańskiej, ani też nie będzie wywierał bezpośredniego wpływu na pobierane decyzje. Jednakże sam fakt istnienia takiej placówki nada kwestii praw i swobód człowieka charakter trwale insty-

tuczonalny. Niewątpliwie też badania, konferencje, i stałe kontakty z ludźmi, którzy gwałcenie praw i swobód znają z własnego doświadczenia, przyczyni się do poprawy stopnia znajomości tych zagadnień zarówno w Kongresie i władzach wykonawczych Stanów Zjednoczonych, jak i — co nie mniej ważne — wśród specjalistów w naukach społecznych, dziennikarzy i publicystów, wywierających wpływ na opinię publiczną. Instytut stworzy dla praw i swobód człowieka nie tylko z dala widoczne i stałe forum, ale również bazę badawczo-techniczną, która kampaniom o te prawa i swobody uczyni ciągłości i możliwości szerokiego informowania zarówno o prześladowaniach, jak i o sukcesach bojowników.

Powstanie Instytutu stanie się też potwierdzeniem nie raz deklarowanego przez Cartera i jego najbliższych współpracowników (jak Zbigniew Brzeziński i Cyrus Vance) stanowiska, że problem praw ludzkich jest problemem w pełni międzynarodowym, nie dającym się zamknąć w granicach żadnego państwa ani przesłonić sloganami o „kwestiach wewnętrznych”, do których rzekomo nikt nie powinien się wtrącać.

Całkowita, łącznie z ogłaszaniem nazwisk wszystkich beneficjentów, jawność działania Instytutu ma z pewnością w rozumieniu projektodawców, stanowić gwarancję, że nie padnie on ofiarą prowokacji ani nie będzie posądzany o akcje wywrotowe lub szpiegowskie. Niewątpliwie spowoduje to pewne ograniczenie zakresu działania, ponieważ przyjęcie pomocy Instytutu lub udział w organizowanej przezeń imprezie może się łatwo stać przyczyną kolejnych represji. Instytut musi jednak z konieczności i zasady opierać się na założeniu, że ludzie, upominający się o swoje prawa, są jednostkami odważnymi, i że znajdują się wśród nich gotowi na nowe ryzyko. Represje wobec osób, kontaktujących się z Instytutem, będą zresztą miały efekt nie tylko odstraszający — bo przyciągną dodatkową uwagę do działalności placówki i do samej sprawy gwałcenia swobód. Podobnie też kłopotliwy paragraf, wymagający, aby pomoc finansowa udzielana przez Instytut w obcym kraju była zgodna z obowiązującymi tam przepisami, będzie może stanowił praktyczne utrudnienia i ograniczenie (łatwo sobie wyobrazić zakaz przyjmowania pomocy pieniężnej od zagranicznej instytucji), ale jest zapewne niezbędny, jeżeli Instytut ma zachować prawną nieskazitelną i możliwość łatwej obrony przed oszczerstwami.

Zakładając, że Instytut w postulowanej formie powstanie — jakie powinny być jego zasadnicze kierunki działania? Dla nadania nowej placówce wyrazistego charakteru, dla stworzenia odpowiedniej reputacji i nabrania impetu — potrzebna jest selekcja zadań. Nakazuje ją również budżet: przewidziane na pierwszy rok 5 milionów dolarów to zarazem i dużo (dotychczas nie było nic) i mało (w zestawieniu z ogromem potrzeb).

Sugerowałbym cztery wytyczne. Pierwsza koliduje do pewnego stopnia z pozostałymi — które uważam za istotniejsze — ale również, moim zdaniem, zasługuje na uwzględnienie.

1. Informowanie o krajach i aspektach, którymi nikt inny się nie zajmuje. Besarabia, Kurdystan i Laos są przykładami obszarów, gdzie prawa ludzkie są systematycznie gwałcone — i o których nic się prawie nie pisze. Nie mniej ważne jest poświęcenie uwagi przymusowemu wynaradawianiu, represjom i dyskryminacji wobec ludzi, którzy pragną zachować rodzimy język i obyczaj. O tej formie łamania praw człowieka wie się stanowczo za mało. Prym wiedzie tutaj ZSSR; słyszymy też niekiedy o republikach bałtyckich — ale kto wspomni o Mołdawii?

2. Koncentrowanie się na krajach, gdzie uwaga międzynarodowej opinii publicznej może wpłynąć na poprawę sytuacji. Jednym z zadań Instytutu powinno stać się ocenianie, gdzie istnieją możliwości wywierania nacisku z jednej strony poprzez uświadamianie międzynarodowej opinii publicznej i wymuszanie przez nią odpowiednich sankcji wobec łamiących prawa, zaś z drugiej strony przez wzmacnianie lokalnego oporu przeciwko gwałtom i niesprawiedliwości. Nie należy zapominać i o tych krajach, na które nacisk był i jest dotychczas daremny (Kambodża albo Republika Południowej Afryki); warto się zastanawiać nad skuteczniejszymi metodami nacisku; ale główny wysiłek, przynajmniej w pierwszych latach, winien być skupiony tam, gdzie pozytywne rezultaty zdają się być osiągalne.

3. Koncentrowanie się na krajach, gdzie istnieje odpowiednia baza społeczna. Skoro celem Instytutu jest *pomaganie* jednostkom i ugrupowaniom, broniącym swobód i praw ludzkich, musi on zajmować się zwłaszcza tymi krajami, gdzie takie jednostki i ugrupowania obecnie działają. Popieranie inicjatyw już istniejących zdaje się bardziej sensowne, niż poszukiwanie nowych — ponieważ sukcesy ruchu w obronie praw człowieka w jednym kraju będą najlepszą zachętą do ich obrony w innych krajach. Formy działania Instytutu, który nie ma być placówką dobroczynną, ale moralno-intelektualną, nadają się szczególnie dla krajów o rozwiniętej warstwie inteligencji i wysokim stopniu kulturalno-ideowej samowiedzy. Sądzę, że byłoby błędem rozpraszanie sił i funduszy na kraje zacofane, którym potrzebna jest raczej masowa pomoc ekonomiczno-administracyjna dla uzyskania stabilizacji i ogólnych warunków społeczno-politycznych, sprzyjających rozwojowi demokratycznych form rządzenia.

4. Interesować się bliżej krajami, z którymi Stany Zjednoczone posiadają szczególnie silne związki. Chociaż Instytut ma mieć ogólnosięwiatowy zakres działania, jego amerykańskość nakłada nań specjalne obowiązki wobec narodów, bliżej z USA historycznie i ludnościowo związanych. Dotyczy to przede wszystkim krajów, z których napłynęła przez Ocean wielka liczba imigrantów; na pierwszym planie trzeba tu postawić kraje Europy Środkowo-Wschodniej.

Z powyższych uwag, opartych na przesłankach zarówno teoretycznych jak praktycznych, wynikałoby, że Polska winna należeć do „krajów szczególnej troski” Instytutu — obok Węgier, NRD i ZSSR. Przemawiają za tym argumenty nie emocjonalne, ale

czysto rzeczowe i obiektywne. Także i ten argument, że Polska stanowiłaby dla działalności Instytutu teren podwójnie ważny i ciekawy: jako kraj, gdzie prawa człowieka i obywatela bywają nagminnie gwałcone — i jako kraj, którego mieszkańcy z heroicznym uporem wypracowują nowe i śmiałe modele walki o te prawa.

W. R.

«Holocaust» w telewizji amerykańskiej

W dniach 15, 16 i 17 kwietnia br. amerykańska TV nadawała na kanałach NBC w trzech ponad dwugodzinnych odcinkach widowisko pt.: „Holocaust”, oglądane przez blisko 120 milionów odbiorców. „Holocaust” nie był pomyślany jako film dokumentalny. Ukazywał on historię wieloosobowej rodziny Weissów na tle martyrologii żydowskiej z czasów Drugiej Wojny Światowej. Sama rodzina i okoliczności jej dziejów były literacką fikcją. Natomiast tło, w które wplecione zostały jej losy, miało w interpretacji twórców oddać rzeczywistość okupacji hitlerowskiej, a w szczególności położenie europejskich Żydów. Zaprezentowanie filmu publiczności zbiegło się z 35-tą rocznicą wybuchu powstania w getcie warszawskim oraz 30-tą rocznicą utworzenia Izraela. „Holocaust”, z uwagi na swój zasięg, liczne dyskusje, które po nim nastąpiły jak również wybór momentu do pokazania go publiczności, był czymś więcej niż jednym z wielu złych filmów, jakie pokazuje telewizja amerykańska. Czynił wrażenie wielkiej imprezy politycznej, której celem było wzmocnienie sympatii opinii amerykańskiej dla Izraela — nadwątlonej polityką premiera Begin, który zajął różne od swoich poprzedników stanowisko w sprawie okupowanej części Jordanii i osiedli izraelskich na półwyspie Synaj. We wrażeniu takim umacniają nas niektóre artykuły amerykańskich dziennikarzy jak również wezwanie *United Jewish Appeal*. Jeden właśnie z takich apeli, wydrukowany na całej stronie *New York Times'a*, uzasadniał potrzebę zapewnienia Izraelowi bezpiecznych granic w wersji postulowanej przez rząd Begin, motywując to rozmiarami tragedii Żydów w czasie Drugiej Wojny Światowej. Przypomnieniem tragedii miał być właśnie „Holocaust”.

„Holocaust” nie spotkał się bynajmniej wyłącznie z pochwałami recenzentów. Był zbyt złym filmem, żeby nie znalazł krytyków. Szereg dziennikarzy, nie bez słuszności, zwróciło uwagę na okoliczność, że twórcy widowiska, ukazując jeszcze raz potworne sceny z obozów i montowaną na zimno organizację masowej śmierci, znane już dobrze publiczności, nie postavili sobie bar-

dziej ambitnego zadania — ukazania genealogii zbrodni, która zrodziła się na szczytach partii hitlerowskiej, przy co najmniej milczącej zgodzie większości narodu niemieckiego. Inni — podkreślili niepokojące zjawisko wciąż niezwalzonego w gatunku ludzkim instynktu dopuszczania się masowych zbrodni. W swej krytycznej recenzji (*New York Post* z 20 kwietnia 1978) William Buckley nadmienił, że mordercy hitlerowscy znaleźli wiele lat później swych następców w Kambodży (dyskretnie nie przypomniano ich sowiecko-stalinowskich poprzedników). Innymi słowy, zarzucano autorom filmu, że tragedia życia ludzkiego z okresu Drugiej Wojny Światowej nie może i nie powinna być z wielu powodów zmonopolizowaną martyrologią Żydów. Zarzut nie pozbawiony pewnej słuszności, jeśli się zważy, że ofiarami obozów hitlerowskich padło (według *Encyklopedii Brytyjskiej*) od 18 do 26 milionów ludzi. Nie chodzi oczywiście o „skrzywdzenie” innych narodów w nierównym bilansie zbrodni, albowiem fakt, że ktoś staje się ofiarą mordu, nie stanowi jeszcze sam przez się tytułu do chwały. Chodzi tu po prostu o prawdę historyczną.

Z naszej strony najcięższym zarzutem wobec „Holocaustu” nie będzie jednak to, że film okazuje tylko część prawdy, ale to, że jest pełen fałszów. W szczególności — jeśli chodzi o sytuację Żydów polskich, likwidację getta warszawskiego, przygotowania do wybuchu powstania resztki pozostających przy życiu Żydów i jego przebieg — film jest paszkwilem skierowanym przeciw Polakom. W wersji filmowej, przygotowującej się do zbrojnego oporu Żydzi w warszawskim getcie, działają prawie w absolutnej izolacji, spotykając się ze strony polskiej z niechęcią lub otwartą wrogością. Polacy, którzy dostarczają im broni, przedstawieni są w roli hien, które wyciągają od bojowców żydowskich pokaźne sumy, by ofiarować im, wbrew obietnicom, pojedynczy pistolet i to bez amunicji. Po wybuchu powstania Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB) nie jest w stanie przekazać za granicę wiadomości o swym bohaterskim oporze. Dzieli ich od reszty świata nie tylko mur wrogości ale i milczenia. Najbardziej jednak szokującą w swej nieprawdzie jest scena pokazująca żołnierzy w mundurach polskich z orzełkami na rogatywkach, którzy, na polecenie SS, dokonują egzekucji na mieszkańcach getta jeszcze przed wybuchem powstania. Prawda — głos komentatora nie nazywa ich żołnierzami polskimi, ale wygląd mundurów nie pozostawia wątpliwości. W innej sekwencji filmu, już w scenie walki z powstańcami, pokazane są te same postacie w mundurach żołnierzy polskich, których dla zagadkowych przyczyn nazywa się „Litwinami”. Skrypt scenariusza filmu, którego autorem jest Gerard Green, nie pozostawia jednak żadnych złudzeń kogo chciano zaprezentować amerykańskim widzom jako katów getta. Green pisze: ... „Gdy policja żydowska odmówiła dokonywania egzekucji, znaleźli się Polacy, którym Niemcy wydali rozkazy” (cytuje za nowojorskim *Nowym Dziennikiem* z dn. 28. 4. 1978). Nie zamierzam zajmować się dalszym recenzowaniem filmu. Natomiast wydaje mi się, że należy przypomnieć czytelnikom

Kultury najważniejsze fakty, wbrew fałszom „Holocaustu”, świadczą o pomocy dla ŻOB-u ze strony polskiej.

Z ramienia Głównej Komendy AK referatem pomocy dla Żydowskiej Organizacji Bojowej w okresie, przed i w czasie powstania kierował Henryk Woliński, pseud. „Wacław”, zamieszkujący obecnie w Katowicach. Na zakup broni ŻOB otrzymał za jego pośrednictwem ze zrzutów z Londynu ponad 128 tysięcy dolarów — suma na owe czasy bardzo poważna. To były środki finansowe. Mimo bardzo skromnego arsenału, jakim dysponowała AK, ŻOB wyposażono w ponad 50 pistoletów, pewną ilość karabinów, granatów i środków wybuchowych do produkcji własnej broni. Po stronie „aryjskiej” łącznikiem ŻOB z AK był na początku Wilner, a po jego aresztowaniu — Cukierman (obecnie dyrektor kibucu im. Bohaterów Getta warszawskiego w Izraelu). Obchodzenia się z bronią uczyli powstańców z getta instruktorzy Armii Krajowej, m.in. Z. Lewandowski, zastępca dowódcy warszawskiego „KEDYWU”. W okresie wywózki Żydów z getta warszawskiego jak również w czasie toczącego się powstania, Henryk Woliński sporządzał prawie codzienne raporty, które AK przekazywało drogą radiową do Londynu. W kwietniu 1943 roku gen. Monter, dowódca Okręgu warszawskiego AK, zapowiada próby forsowania ruin getta. Już w ciągu pierwszego dnia powstania o godz. 7-mej wieczorem oddział dywersyjny AK, pod dowództwem kpt. Pszennego, próbuje dokonać wyłomu w murach getta na przeciwko ulicy Sapieżyńskiej. Próba kończy się niepowodzeniem. W walce z Niemcami ginie dwóch żołnierzy AK, a trzech odnosi rany. Następne z kolei akcje dywersyjne mają miejsce 23 kwietnia i przeprowadzone są przez grupy AK pod dowództwem kpt. J. Lewińskiego pod murami getta na Okopowej, gdzie w walce ginie kilku oficerów policji niemieckiej. Oddział dywersyjny Zbigniewa Stalkowskiego atakuje posterunek policji niemieckiej przy ulicy Leszno i Orlej, zabijając dwóch żandarmów. Grupa Gwardii Ludowej, pod dowództwem Henryka Sternhela, obrzuca granatami transport policji niemieckiej na zapleczach oddziałów niemieckich, atakujących getto przy ulicy Freta. 28-go kwietnia oddział konspiracyjnej szkoły podchorążych AK atakuje SS-mannów przy ulicy Zakroczymskiej, zabijając kilku żołnierzy. 28-29 kwietnia grupa Gwardii Ludowej ewakuuje przez właz przy ulicy Ogrodowej około 40 bojowców żydowskich. Nie wyliczamy tu wszystkiego co byłoby świadectwem pomocy polskiej dla powstańców getta. Fakty te są zresztą na ogół znane. Przypominamy je jedynie dla wyraźniejszego zaakcentowania fałszerstw „Holocaustu”. Widowisko, nawet w dziejach zakłamanej i goniącej za sensacją amerykańskiej TV, jest po prostu skandalem. Skandalem — tym większym, że w aspekcie szkalującej roli Polaków nie zostało napiętnowane przez żadnego amerykańskiego dziennikarza czy historyka. Jeśli się zaś zważy, że podnoszą się głosy zalecające pokazy „Holocaustu” w amerykańskich szkołach, sprawa zaczyna przybierać kształty wręcz koszmarnie. Dla telewizza amerykańskiego pokazanie żołnierzy w mundurach przedwojennej

armii polskiej może być nic nie znaczącym epizodem, który przypuszczalnie uszedł uwagi wielu osób. Przy wyolbrzymionej jednak roli widowiska, a — jest to wyraźną intencją jego producentów — epizod ten nabiera proporcjonalnie większej wagi.

Społeczeństwo żydowskie w Stanach Zjednoczonych może mieć powody do goryczy wobec Polski i Polaków. Nie zamykamy oczu na liczne fakty denuncjacji czy szantażu w czasie okupacji, których ofiarami padali prześladowani i zaszczuci w Polsce Żydzi. Sąd Polski Podziemnej, któremu przewodniczył Stefan Korboński i który z reguły szantażystów i denuncjatorów karał śmiercią, nie mógł, niestety, osiągnąć wszystkich przestępców. Nic jednak nie usprawiedliwia obojętności wielu ludzi, którzy znają prawdę i wiedzą o tym, że jeden uczciwy człowiek mógł uratować niewielu, zaś jeden łotr — zniszczyć setki. Żydzi, którzy przeżyli Holocaust w Polsce wiedzą dobrze komu to zawdzięczają.

Dlatego oczekujemy od naszych żydowskich i polsko-żydowskich przyjaciół — czytelników *Kultury*, mających należyty szacunek dla prawdy, by pouczyli twórców „Holocaustu” o najnowszych dziejach Europy i przypomnieli im o setkach tych, którym posadono drzewa w „Alei Sprawiedliwych” w Jerozolimie i tysiącach tych nieznanych, którzy ratowali swych współbraci w dniach wspólnej klęski.

Zaskakuje nas również brak reakcji ze strony Polonii amerykańskiej, która przy niepoważnej sprawie *Polish jockes* wykazała tyle energii.

Niedobre obyczaje

13 marca br. londyński *Dziennik Polski* rozpoczął w odcinku druk dużego fragmentu powieści Janusza Kowalewskiego: „Jak to na wojence ładnie czyli emigracja”. Tytuł fragmentu „Pajacyk”. Akeja dotyczyła życia emigracyjnego. Ukazało się 6 odcinków, po czym przerwano druk i zwrócono tekst autorowi. Redaktor *Dziennika*, p. Karol Zbyszewski, zawiadomił autora, że został „haniebnie oszukany” gdyż nie został poinformowany, że pewne postacie „Pajacyka” mają podobieństwo do pewnych osób rzeczywistych, które mogą się obrazić a których nie powinno się obrażać. Redakcja zapłaciła jedynie za wydrukowane 6 odcinków.

Sprawa jest zupełnie niezrozumiała. Przyjmując powieść do druku Redakcja musiała przeczytać i go zaaprobować. To pierwsze. Przerywając druk Autor powinien oprócz przeprosin otrzymać honorarium za całość fragmentu przyjętego do druku. To drugie. Należy to do abecadła dobrych zwyczajów dziennikarskich.

Przy ciągłym kurczeniu się ruchu wydawniczego na emigracji niektóre pisma mają, praktycznie biorąc, charakter monopolistyczny. Nie upoważnia to jednak do lekceważącego traktowania pisarzy i dziennikarzy.

Przykrym zjawiskiem jest również to że zawodowe organizacje dziennikarskie i literackie nie zabrały w tej sprawie głosu. Czyżby w obawie przed represjami „monopolistów”?

Ci co odeszli

Tadzik

„Chacun a eu sa terre promise,
son jour d'extase, et sa fin en
exil”.

Amiel.

Śmierć Tadeusza Romera wiąże mi się z całym łańcuchem śmierci ludzi mi bliskich, moich współczesnych.

W tym zdaniu Amiela, które Conrad użył jako motto do „Szaleństwa Almayera” Amiel mówi o każdym z nas. I „ziemia obiecana” i „dzień zwycięstwa” i „koniec na wygnaniu”.

Wygnanie? Każdy z nas na emigracji jest wygnańcem, ale u Amiela to ma sens szerszy. Każdy człowiek w starości spozstrzega, prawie nagle, że jego współcześni odeszli i wbrew jeszcze żywym więzom z życiem i z ludźmi odkrywa, że jest sam.

To jest wygnanie w drugiej potędze.

Z Tadeuszem Romerem, prawie równolatkiem, łączyło mnie wiele więzów rodzinnych, w szerokim sensie tego słowa, ideowych, patriotycznych, znaliśmy się jednak zbyt mało: trzy spotkania w całym długim życiu.



Jako młody człowiek, sekretarz Komitetu Narodowego w Paryżu, potem lata w służbie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ambasador R.P. w Japonii, potem w Związku Sowieckim, minister Spraw Zagranicznych rządu londyńskiego w okresie najbardziej tragicznym dla Polski, profesor wieloletni uniwersytetu w Montrealu i do ostatniego tchu czynny działacz społeczny.

Nie umiem o nim myśleć, ani — pisać, jak o dygnitarzu.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy we wczesnej młodości, w 1914 roku w Szwajcarii. Pamiętam wspólną z nim wycieczkę

w góry, gdzie toczyliśmy zażarte dyskusje katolickie (czyśmy w ogóle zauważyli góry wokół nas?) — ja miałem wówczas pociąg i entuzjazm dla ówczesnych modernistów katolików i do chyba już tępionego przez Watykan Ojca Labertonnière, do którego po latach zaprowadził mnie prof. Marian Zdziechowski. Tadzik bił mnie tekstami, dogmatami, encyklikami, głęboko w nim zakorzenionym integralnym katolicyzmem. O dwa lata starszy ode mnie, był czytany w tej materii stokrotnie bardziej ode mnie — nie umiałem mu stawiać czoła. Nie czuliśmy do siebie odruchowej przyjaźni. Jego kategoryczność twierdzeń mnie drażniła, a jego na pewno moje „heretyckie” skłonności.

Potem straciliśmy się z oczu. Spotkaliśmy się znów po dwudziestu ośmiu latach w Teheranie. Jechał wówczas z Japonii do Kujbyszewa na nową placówkę ambasadora, ja zaś dopiero co z Armią Andersa opuściłem Rosję Sowiecką.

Jakże mnie wtedy uderzyła przemiana w nim: jego dojrzałość, przede wszystkim jego *uwaga* i nie ambasadorska *skromność*. Starał się wówczas poprzez każdego z nas, którzy wyszli z Rosji Sowieckiej zdobyć jak najszerszy wachlarz informacji.

Znów minęły lata. Odkryłem Tadzika na nowo w 1949 roku w Montrealu. Tam zaczęła się moja pierwsza wędrówka po Ameryce w związku z powstającą *Kulturą*.

Dom jego stał się natychmiast moim domem. Nie zapomnę nigdy serca, którym cała rodzina Tadeusza, z nim na czele mnie otoczyła, chcąc mi we wszystkim dopomóc. Tadeusz wziął natychmiast w ręce organizację mojej wędrówki w Kanadzie, *tournee* odczytów w paru uniwersytetach, zetknął mnie z ludźmi, których powinienem był widzieć — działaczami, dziennikarzami, pomógł mi z niezwykłą pedantycznością, wręczając mi coraz to notatki, nie tylko o godzinach i minutach moich przyjazdów i wyjazdów, ale i charakterystyki ludzi, których spotkać zamierzałem, którzy dla *Kultury* mogli być użyteczni. Tadzik był mi więcej niż przyjacielem w tak obcym dla mnie świecie.

Przecie wiem, że nie byłem wyjątkiem, tak się odnosił do każdego Polaka, któremu mógł pomóc.

Wśród ludzi, których mi dane było spotkać w wędrówkach mego długiego życia, ludzi znaczących w polityce, w działalności społecznej, ludzi piastujących takie czy inne wysokie urzędy Tadeusz Romer był *unikatem*, bo był absolutnie — jak nikt z nich — wyprany z jakiegokolwiek woli władzy, ambicji osobistej, wprost z jakiegokolwiek zajęcia sobą.

Był zawsze *dla* kogoś, dla siebie nigdy niczego nie żądał. Ten przyjaciel ludzi i sługa Polski nosił w sobie kroplę świętości.

Józef CZAPSKI

Wołanie na puszczy

Historii uśmiech ironiczny

„Wieczność wzrusza ramionami” — takie są, o ile pamiętam, ostatnie słowa słynnej opowieści „Ciemność w południe” Artura Koestlera. Dziś, obserwując z lotu ptaka (takiego, co to „kala swe gniazdo”, ale, według Norwida, właśnie wcale go nie kala) obie części Europy, wschodnią i zachodnią, widzę wyraźnie, jak Historia ironicznie się uśmiecha. Historia przez duże „h”, a więc jakoś upersonifikowana czyli uporządkowana, to znaczy uporządkowana w zamyśle swych opisywaczy i wielbicieli, przede wszystkim przemądrzałych Niemców jak Hegel, Fichte, Marks, Engels i inni. Uważali oni, że historia ludzkości jest, a w każdym razie może i powinna być rozumna, kierująca się prawami, które da się zbadać, ustalić a także nimi się posłużyć. Duże złudzenie, groźne złudzenie pseudologicznych fantastów, za które Europa zapłaciła już morzem krwi, gdy wiarą w bóstwo rozumnej więc wzniosłej Historii opanowane zostały dwa wielkie a podatne do idealistycznie a zatem planowo zorganizowanego obłędu narody: Niemcy i Rosjanie. Bowiem Lenin i Stalin też byli na swój sposób miłośnikami Historii, tyle, że dopuszczali jej ironiczność i odpowiednio do tego stosowali swe działania, czyniąc je nader perfidnymi. Perfidia to ironiczna („kontrironiczna”) akcja świadomych rzeczy pesymistów: perfidny był Lenin, gdy posłużył się najdemokratyczniejszą frazeologią świata dla stworzenia najbardziej niedemokratycznej władzy świata, perfidny Stalin, gdy wprowadził niewolniczą pracę milionów, aby móc ich rękami tanio i bez przeszkód „budować socjalizm”. Wobec tych wielkich mistrzów pesymistycznego realizmu Hitler okazał się nieopanowanym i histerycznym dyletantem, toteż zawałił się z trzaskiem a z nim cała dawna Europa.

Tak czy owak szaleństwo II Wojny Światowej było w istocie starciem dwóch historiozoficznych obłędów: niemieckiego i rosyjskiego. W samym, okrutnym dynamizmie starcia rola Anglo-amerykanów okazała się drugorzędna, choć im to, wobec pos-

piesznego i niemal skwapliwego załamania się Francji, przypadła rola beneficjenta i zachodniego sygnatariusza podziału Europy. Trzon rozbitych Niemiec, przydzielony po wojnie Zachodowi przejął anglosaską postawę dojutrującego, managerskiego pragmatyzmu, Francja miała już podobną własną wersję życia od czasów Pétaina, zbiedniała i wyzbyta swego Imperium oraz jego legendy Wielka Brytania nie znalazła innego wyjścia. Zaś egzotyczna, bo wierząca bądź co bądź w jakieś pozapraktyczne imponderabilia Ameryka — jakże jest daleka... A egzotyczna, głosząca nadal tak czy inaczej zmodyfikowany „historyzm” Rosja — jakże bliska... Po prostu na rzece Łabie, w centrum Europy!

Historyzm zmodyfikowany, czyli obłęd idealistyczny, przekształcony, mimo swego ideowego przebrania w imperialną a materialną logikę — oto wariacja jednej, zamkniętej wobec Zachodu na głucho, strony świata. Obłęd strony przeciwnej, czyli zachodniej resztki Europy, włączonej w tutejszy konsumpcyjny pseudouniwersalizm komunikacyjno-łącznościowo-informacyjny to przekonanie, że materialny, demokratyczny praktycyzm wystarczy w zupełności jako postawa ideowo polityczna i że w epoce atomowej wszelki imperialistyczny gwałt jest niemożliwy. Cóż za naiwność, coś za dziecinada: przegięcie w drugą stronę u tych, co widzieli jak dyletancki malarz-fanatyk ideologii osiągnął masowe poparcie zbiedniałych pragmatystów i zmobilizował największe siły militarne w historii świata, a w rezultacie wywołał reakcję produkcyjną i bojową jeszcze gigantyczniejszą, jakiej żaden normalny pragmatysta zrealizować nie byłby w stanie! A więc mianik, ideolog czy filozof (lub pseudofilozof) więcej może niż realista — to także żart Historii, ale żart realny. Tymczasem Zachód o tym żarcie zapomniał i niczego się zeń nie nauczył. W dzisiejszym świecie zachodnim, świecie naszej cywilizacji (ale właściwie która jest dziś *nasza*, skoro ja jestem z Warszawy?) zapanował obłęd właśnie na punkcie braku lub wyrzekania się obłędu. Zaiste: świat wolny zwariował a świat niewolny — po staremu — zaniemówił. Jeden głupi drugi niemy, jeden głuchy drugi obłąkany — dobre, zaiste, towarzystwo!

Mówiąc o świecie niewolnym nie mam na myśli Rosji, lecz nasze kraje, kraje Europy Środkowo-Wschodniej, które po Drugiej Wojnie Ideologicznej wpadły w objęcia Rosji i komunizmu. Rosja to Rosja, kraj carów, niewoli i podbojów, kraj szafów i egzaltacji, kraj sekciarzy, proroków religijnych i proroków rewolucyjnych. Nie byle przecież kto, bo sam Teodor Dostojewski uważał, że Ruś jest święta i powie światu „nowe słowo”. Sądził tylko, biedak, również nabrany przez Historię, że Rosja carska i chrześcijańska wybawi świat zachodni przesiąknięty materialistycznym socjalizmem; nie przyszło mu do głowy, że stanie się odwrotnie, że owe „nowe słowo” to będzie dziwny potomek przypadkowych skrzyżowań zachodnioeuropejskiej myśli, wyniesiony przez Rosję do rangi egzaltowanej religii — marksizm. Historia tymczasem zadrwiła sobie po swojemu: w wielowiekowej, niewolnej carskiej Rosji nie mógł wszakże zacząć rządzić ni stąd

ni zowąd liberalny, wyszczekany adwokat Kiereński, musiał się znaleźć nowy car. I znalazł się: „zurychski” marksista Lenin. Oto przekorny humor Historii.

Więc kraje zniewolone czyli niewolne to właśnie my — o Rosję się w tym wypadku nie troszczę, za duża sprawa i nie moja, poza tym oni mają swoją misję i historiozofię, czyli swój obłęd, przez tych lub owych lubiany, który pozwala ich masom tak czy owak żyć ideowo. Mają też swego rodzaju awantaże: w naszej epoce, na przykład wszędzie w zasadzie (Europa!) zawaliły się po wojnie autorytety państw i rządów lub też mocno są kwestionowane i podgryzane; natomiast w Rosji patriotyczny kult państwa się trzyma przez państwowy ustrój, przez wychowanie w izolacji, przez monopolizm i brak alternatywy, przez tradycję lub terror — ale się trzyma. Tylko nieliczni kontestatorzy próbują ten kult podgrzyć, ale ci zazwyczaj idą do domu wariatów i w przeważającej opinii mieszkańców Wszechrosji słusznie: tylko wariat wszakże sprzeciwiałby się ruskiemu państwu, nie mając nic innego do zaproponowania. *Honni soit qui mal y pense!*

Bóg więc z Rosją, ale co ma na przykład z Historii dzisiejsza Polska? Niewiele. Pewno, nie jest jeszcze u nas tak jak w Rosji, jest bardzo dziwnie czyli swoiście, rozbudzone konsumpcyjne apetyty, a absurdalnie wysoki, czarnorynkowy kurs dolara na przykład pozwala uwierzyć w jakąś, choćby zdegenerowaną formę naszej niezależności, że niby kraj jest na złość wszystkim prywatny, autonomiczny i sam dla siebie. Ale to mała pociecha, bo „za to” kraj jest zakłamywany — powszechnie, publicznie i do szpiku kości. A kto nie chce być zakłamywany, ten uwierzyć musi w rzeczy bardzo osobliwe, którym życie co rusz zaprzecza: uwierzyć musi w nowy, najbardziej demokratyczny i wydajny system społeczny, w socjalizm jako przyszłość narodu, w budowę na naszych ziemiach nowego, najsprawiedliwszego świata. Tymczasem ironiczny uśmiech Historii trwający nad naszym krajem polega na tym, że nie chodzi tu o nowy ustrój społeczny, lecz o władzę: przebudowa systemu społecznego w duchu przekazania wszelkiej produkcji i inicjatywy gospodarczo-społecznej w ręce urzędniczego państwa ma na celu ugruntowanie „na mur” monopolistycznej władzy politycznej i to nie tylko naszej własnej, lecz władzy najbardziej zacofanego, konserwatywnego i skostniałego historycznie państwa nad całą połacią Wschodniej i Środkowej Europy.

W tym dziele ujmowania wszystkiego w ręce centrali decydującą rolę odgrywa święty PRZEPIS. Przepis ma zastąpić wszelką organiczność, trwa więc nieustająca walka przepisu z prawdziwym życiem, ustroju z nie mieszczącą się w nim nowoczesną gospodarką i jej zmiennymi wymaganiami. Ustrój jako nadrzędny gorset ideologiczny, jako cel sam dla siebie, oderwany i spetryfikowany, nie zaś jako podległy wolnemu człowiekowi środek do celu, do poprawy i upiększenia życia — oto paradoks i żart Historii, niepojęty dla pragmatycznego świata zachodniego, lecz również trudny do przyjęcia (ambicja!) przez porządnym

ludzi dobrej woli w Polsce — ci jednak, aby móc funkcjonować, wolą mieć złudzenia, zbawcze złudzenia — choć czasem komiczne. Klasycznym przykładem niezamierzonego komizmu może być następujący fragment listu Czytelnika do Redakcji warszawskiej *Polityki*:

„Uważam, że braki w organizacji i zarządzaniu nie licują z naszym ustrojem ani z celami, do których zmierzamy. Jego wyższość nad kapitalizmem nie może być w pełni wykazana, póki nie będzie w naszym systemie społeczno-gospodarczym, w każdym zakładzie ładu, który umożliwi sprawne nim zarządzanie”.

W więc nie dlatego wprowadzamy socjalizm, że jest lepszy od kapitalizmu, lecz dlatego ŻEBY WYKAZAĆ, że mógłby być lepszy, co założyliśmy z góry. Jeśli zaś nie możemy tego wykazać, to najwidoczniej nie jest to winą socjalizmu, którego wyższość, jako założona nadrzędnie, nie może podlegać żadnym wątpliwościom, lecz nas samych, że nie stoimy na jego poziomie. He!

Oczywiście autor listu może być filutem, który kpinkuje sobie skrycie, nabierając cenzurę. Ale ta forma reakcji nie wprost też jest charakterystyczna. Człowiek w naszym ustroju, pracujący bez zastrzeżeń w ramach absurdalnych założeń, to może być albo beznadziejny naiwniak albo cwany spryciarz — *tertium non datur*. Prowadzi to do nieuchronnej degeneracji społecznych elit, tak, zakpiła sobie Historia z naszego społeczeństwa i narodu.

Dosłowności tej kpiny, postępującej się z reguły przemianą sensu słów i terminów na przeciwny, absolutnie nie rozumieją ludzie z praktycznego, powojennego Zachodu. W kwietniowym numerze *Kultury* nader ubawił mnie List Otwarty (piszę dużą literą, jak w oryginale) Witolda Wirpszy do Heinricha Bölla, w którym Wirpsza usiłuje wytłumaczyć Böllowi jak jest w Polsce naprawdę. Znam nieźle tych panów i uważam obu za bardzo porządnym ludzi. Nie mogę tylko wyjść z podziwu, że Wirpsza, po niemal 10 latach od opuszczenia Kraju nie pojął jeszcze, iż dosłowności żartów Historii nie zrozumie nigdy ktoś żyjący poza ich konkretnym zasięgiem. Böll nigdy nie zrozumie jak jest w Polsce, póki w niej na stałe nie zamieszka, na co się, jak wiadomo, nie zanosz. Z daleka nie zrozumie, bo nie uwierzy że żarty i kpinki Historii, aplikowane przez wiele lat na co dzień, muszą w końcu dać konkretny rezultat w postaci zamiany najpoważniejszego człowieka w tak zwanego „balona”. Mógł to być zresztą zaobserwować i to nawet w zgęszczonej postaci, na niemieckich doktorach i profesorach za Hitlera, ale to widać było zbyt dawno i nieprawda.

Myślę więc, że Historia, tak sławiona przez niemieckich i rosyjskich filozofów, zarezerwowała dziś sobie wobec nas — Polaków, Węgrów, Czechów, Rumunów i innych — ironiczny uśmiech. Jak na to reagować? Uważam, że według zasady: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Nigdy nie lubiłem patosu i Bóg mi świadkiem, że chcę w tym wytrwać. Pamiętacie jak w „Weselu” Stańczyk i Poeta przerzucają się słowami *tragediante i comme-*

diante, przy czym Stańczykowi przypada ów epitet pierwszy? Otóż ze mną odwrotnie — jam zdecydowany *commediante* i na kpiny nie odpowiem powagą. Pamiętam, gdy w swoim czasie mówiłem ludziom z Rządu, że w Polsce jest tragicznie, ponuro, nieuczciwie; odpowiadali mi: „Tak, właśnie, widzicie, co my musimy znosić, jak nas Rosja gwałci, jaka na nas ciąży odpowiedzialność, a wy nam jeszcze przeszkadzacie swoją krytyką”. Gdy natomiast zacząłem mówić: „Komiczni jesteście i wy i wasz ustrój i wasza Rosja, komiczne ofiary niemądrych żartów Historii” — nie znajdowali odpowiedzi lub wpadali w gniew. Skoro więc trzydziestoparoletnia terapia płaczu i zgrozy nie dała rezultatu — śmiejmy się! Czego i Wam życzę.

KISIEL

Książki

Cywilizacja i snobizm

Obwoluta książki Paul Johnson'a „Wrogowie społeczeństwa”^{*} informuje, że jest to „olśniewający atak na faszystowską lewicę i szkodliwe podminowywanie przez nią zachodniego społeczeństwa we wszystkich dziedzinach, poczynsz od edukacji i ekonomii, a skończywszy na sztuce i nauce” i tak też jest istotnie, choć nadmierna kondensacja materiału i argumentów nie przyczynia pracy przejrzystości. Autor jest Anglikiem, historykiem z wykształcenia, a z temperamentu i praktyki zawodowej (5 lat redaktorstwa tygodnika *The New Statesman*) zwolennikiem liberalnej cywilizacji zachodniej w tym kształcie w jakim powstała i rosła od Renesansu do naszych czasów. Naczelną tezę książki jest twierdzenie, że cywilizacja ta przyniosła ludziom nią objętym nie spotykane ani przedtem ani gdzie indziej dobra w postaci zamożności, wolności i wiedzy, a mimo to lub może właśnie dlatego wyhodowała na swym łonie krocie wrogów, których teorii i praktyki w sposób realny zagrażają jej dalszemu istnieniu.

„Esencją cywilizacji jest systematyczne poszukiwanie prawdy, racjonalna percepcja rzeczywistości we wszelkich jej przejawach i dostosowywanie ludzkiego zachowania do jej praw. Dopóki będziemy szli drogą rozumu, dopóty nigdy nie wydalimy się nadmiernie z kręgu światła cywilizacji. Jej wrogowie rekrutują się natomiast nieodmiennie spośród tych, którzy dla jakichkolwiek powodów negują, wypaczają, pomniejszają, wyolbrzymiają lub zatrują prawdę i fałszują procesy rozumowania. Cywilizacja zawsze ma wrogów, choć stale zmieniają oni swe przebrania i uzbrojenie. Wielka sztuka obrony polega na wykrywaniu i demaskowaniu ich zanim wyrządzą przez nich szkoda stanie się nieodwracalna” (str. 85).

Książka dzieli się na dwie części. Pierwsza jest rodzajem skróconej historii gospodarczej świata i poświęcona jest uzasadnieniu tezy, że cywilizacja zachodnia stanowi rezultat wolności

^{*} Paul Johnson, *Enemies of Society*. Atheneum, New York, 1977, s. 278.

CZESŁAW MIŁOŚZ

UTWORY POETYCKIE-POEMS

stron 400

Wyd. Michigan Slavic Publications, Ann Arbor.
Cena dol. 9,50.

Wiersze zebrane z przedmową w języku angielskim
prof. A. Schenkera.

Zamówienia kierować do:

Department of Slavic Languages and Literatures,
University of Michigan, Ann Arbor, Michigan. USA.

inicjatywy i rozumu, czyli że mogła rozwinąć się dopiero wówczas, gdy upadło niewolnictwo, ściśle podziały stanowe i korporacyjne, tudzież nadmierna interwencja państwa. Formacja ta dała początek klasie średniej, dostatecznie zamożnej by mieć pewną swobodę wyboru drogi życiowej, a zbyt mało obrosłej w tłuszcz by zrezygnować z pracy, współzawodnictwa i optymalizacji osiągnięć i klasa ta stała się nosicielem wartości cywilizacyjnych, takich jak: wiara w absoluty moralne przy równoczesnym przeświadczeniu o potrzebie tolerowania odmiennych przekonań, zaufanie do nauki, wiara w rządy prawa, wiara w wartość prawdy, tzn. pełnej informacji i jednoznacznego języka, przywiązanie do demokracji, tzn. możliwości zmiany rządu bez użycia gwałtu, wiara w znaczenie praw jednostki i niebezpieczeństwo ich uszczuplania. Johnson podkreśla, że ten pięknie brzmiący kodeks wynika nie tyle z zamiłowania do retoryki, ile z praktyki i że do niedawna stanowił on po prostu instynktowny zbiór odruchów ludzi cywilizowanych; „do niedawna”, tzn. do czasu, gdy stał się przedmiotem ataków z różnych stron i w różnej formie. Odpieraniu tych ataków poświęcona jest druga, najistotniejsza część książki. Autor omawia całą gamę poglądów, teorii i postaw, których wkład pozytywny w poznanie czy poprawę świata jest niewielki i służy głównie jako ilustracja przekazu negatywnego: oskarżenia lub zgoda wyroku śmierci na cywilizację zachodnią. Przykładem tu może być ruch ekologiczny w jego formach upolitycznionych i uhisterycznionych: słusznej trosce o higienę i estetykę towarzyszy zazwyczaj gwałtowna kampania przeciw industrializmowi i „społeczeństwu konsumpcyjnemu” w ogóle, przy czym problem z istoty techniczny i ekonomiczny zostaje przeniesiony w dziedzinę ideologiczną o wyraźnym kolorku. Niektóre akcje ekologiczne przyniosły wyraźne szkody (np. kampania przeciw stosowaniu DDT, którego szkodliwość została mocno przesadzona, doprowadziła do zaprzestania jego produkcji i w związku z tym do zwiększenia zachorowań na malarię). Każdy, kto widział falangi kudłaczy demonstrujących przeciw budowie elektrowni atomowych we Francji czy w Niemczech musiał odnieść wrażenie, że ich motywem była nie tyle miłość ludzkości, co nienawiść do „systemu”, próbującego uniezależnić się od arabskiego szantażu.

Postawa antycywilizacyjna jest szczególnie rozpowszechniona wśród reprezentantów dziedzin, które w najlepszym razie nazwać można „naukami słabymi”, a przeważnie jedynie demagogią i humbugiem. Do tych pierwszych Johnson zalicza socjologię, psychologię, etnologię i ich różne kombinacje — padają tu nazwiska M. Foucault, R. D. Laing'a, C. Levi-Strauss'a i in. — i stwierdza, że głównym ich wspólnym motywem jest chęć podważenia rozróżnień i linii granicznych uchodzących dotychczas za oczywiste. Chodzi tu o modne traktowanie zbrodni z morderstwem łącznie jako „dewiacji”, za którą odpowiedzialne właściwie jest społeczeństwo, o kwestionowanie pojęcia choroby umysłowej w ogóle, o zrównanie prymitywnych mitów i przesądów z racjonal-

nym myśleniem, itd. Pojęcie „słabej nauki” wprowadził w swoim czasie T. S. S. Kuhn w swej pracy „The Structure of Scientific Revolutions” (Chicago, 1962), uznając za cechy wyróżniające tego rodzaju dyscyplin ich ogólnikowość, niepewność co do podstawowych praw, brak akumulacji istotnie „twardych” faktów i łatwość tworzenia *ab ovo* „wpływowych szkół”, wciąż powołujących się na tych samych, podejrzanie długo aktualnych założycieli w rodzaju Freuda, Adlera czy Maxa Weбера. Johnson zwraca uwagę, że wpływ tych niezbyt naukowych nauk na szeroką publiczność, jest większy, niż ustalenia nauki *tout court* i że świadczy to o podatności na irracjonalizm we współczesnym świecie; szczególnie niepokojące jest to, że wspomniane dziedziny stanowią tylko względnie racjonalną część wachlarza poglądów, przechodzących nieznacznie ale pewnie w czystą szarlatanerię, w rodzaju doktryn Marcuse, Sartre'a czy Ivana Illich'a (ten ostatni — z zawodu eks-ksiądz — jest kierownikiem mieszczącego się w Meksyku pseudonaukowego Centrum Dokumentacji Interkulturalnej i specjalizuje się w atakowaniu wszystkich instytucji cywilizacji zachodniej, począwszy od szkolnictwa a skończywszy na medycynie). Do zamieszania intelektualnego zalicza też Johnson próby zeświecczenia religii chrześcijańskiej, która w swej fazie pre-racjonalnej i nawet dogmatycznej dobrze spełniała swą zasadniczą funkcję godzenia człowieka ze światem. Jej stan obecny — coś pośredniego między niejasną alegorią i niejasnym socjalizmem — przypisuje autor „Wrogów społeczeństwa” działalności ambitnych a niezbyt jasno myślących myślicieli z pogranicza teologii i filozofii, w rodzaju Teilhard'a de Chardin, którego Johnson charakteryzuje następująco: „stanowi on nie tylko klasyczny *casus* pseudointelektualisty w ogóle, ale pseudointelektualisty francuskiego. Oznacza to, że nie ma on pojęcia co to jest wywód logiczny i na czym polega istota dowodu, ale posiada dar imponująco potocznej prezentacji, która zaczyna się rozpadać przy ponownej lekturze lub po przetłumaczeniu tekstu na angielski”.

Nie sposób w krótkiej recenzji wymienić wszystkie punkty, które książka porusza, chciałem jednak zwrócić na nią uwagę, bo jest to lektura interesująca i — powiedziałbym — pocieszająca w czasach, kiedy mówiąc o świecie nie czyni się dawniej automatycznego rozróżnienia między światem *cywilizowanym*, a resztą. Osiągnięcia materialne i intelektualne cywilizacji traktowane są coraz powszechniej jako coś wstydliwego nieomal, jakby były to rzeczy podarowane lub zgoda ukradzione (to ostatnie jest już niemal pewnikiem — „rabunek trzeciego świata”, „imperializm zachodni”, „dekadencja”: tego słownika totalitarnej propagandy nikt już prawie nie kwestionuje). Jest rzeczą podnoszącą na duchu, że książka Johnsona została napisana, wydana i znalazła dobre przyjęcie na Zachodzie. Jedynym jej brakiem jest pominięcie problemu motywów, leżących u podstaw działalności tych przeróżnych „wrogów społeczeństwa”, o których traktuje. Jest oczywiste, że słowo „wróg” — z istoty swej demagogiczne — zostało w tej uczciwej i przemyślanej pracy użyte częś-

ciowo jako skrót, częściowo jako metafora. Trudno przypuścić, by ludzie typu Teilhard'a de Chardin, Foucault etc. świadomie podminowywali nasz świat. Faktem jest jednak równocześnie, że wytworzyła się pewna sztampa intelektualna, która zawiera motyw wrogości wobec cywilizacji. Co łączy te wszystkie teorie, poglądy i nastawienia? Moim zdaniem — snobizm. Snobizm jest postawą, która akceptuje pewne wartości nie dla nich samych, lecz dla *poniżenia otoczenia* — a tym samym wywyższania się samemu. Według definicji Irzykowskiego klasycznym snobem jest nie tyle hrabia dumny ze swego hrabiostwa, co facet chępiący się, że wypił bruderszafta z hrabią, podczas gdy jego znajomi nie dostąpili zaszczytu. Przypuszczam, że podświadomy motyw powątpiewania w wartość zdrowego rozsądku, uosobioną w zdobywcach cywilizacji, jest podobny: poniżenia ludzi normalnych, pracowitych i uczciwych (jest na to słowo: „drobnomieszczenie”), poniżenia dyscyplin, których poznanie wymaga lat pracy, poniżenia instytucji, do których dostęp nie jest otwarty dla każdego. Stwierdzając, że afrykański dzikus jest „na swój sposób” równie wyrafinowany intelektualnie jak Wittgenstein zwalnia się w sposób honorowy i oryginalny od studiowania tego ostatniego (lub obydwu); kwestionując przyjęte normy uczciwości i normalności przyczyniam się do ich obniżenia, a więc — okrężną drogą — do podwyższenia własnej pozycji. Można sądzić, że snobizm antycywilizacyjny jest objawem frustracji i przypuszczalnie nie jest przypadkiem, że szerzy się szczególnie w środowiskach w pewnym sensie marginalnych: wśród przedstawicieli „nauk słabych”, tzw. intelektualistów o niejasnej specjalizacji i studentów. Są to typowe — mówiąc słowami Gombrowicza — kategorie doskakujące i psychologiczna potrzeba kompensacji jest tu zrozumiała, ponieważ jednak są to grupy dysponujące dużym potencjałem hałasu i chaosu pojęciowego winno się bacznie, by puszczane przez nie w obieg liczmany w rodzaju „społeczeństwa konsumpcyjnego”, „mentalności mieszczkańskiej” czy „bezdusznego scjentyzmu” nie były brane za dobrą monetę.

M. BRONSKI

«Towarzysz Szmaciak»

*Towarzysz Szmaciak** Władysława Gnomackiego, wydany początkowo przez Niezależną Oficynę Wydawniczą w Warszawie w postaci powielonej broszury, a następnie — jako pozycja książkowa — przez Instytut Literacki w Paryżu, jest utworem, który należy uznać za ważne wydarzenie literackie. Wbrew pozorom nie jest to lokalna i sezonowa humoreska, jedna z tych, jakie

* Instytut Literacki, Paryż, 1978, str. 72. Cena F. 20,00.

pojawiały się już wielokrotnie w Polsce na fali kolejnych zakrętów powojennej historii, i jakie nadal pojawiają się, głównie w środowiskach studenckiej młodzieży opozycyjnej, mamy tu do czynienia z wybitnym utworem satyrycznym o ambicjach szerszego uogólnienia i interpretacji całej powojennej rzeczywistości Polski. Śmiałość i odkrywcość zawartej w nim wizji oraz językowy kunszt, z jakim jest wyrażona, pozwalają uznać autora za godnego kontynuatora ważnej w literaturze polskiej tradycji satyry, rozpoczętej przez Mikołaja Reja, a następnie rozwijanej i pogłębianej przez takich poetów, jak Ignacy Krasicki, Aleksander Fredro i wreszcie Julian Tuwim.

Przyjrzyjmy się po krótko treści i konstrukcji poematu. Na wstępie dwa słowa o genezie. Autentycznym wydarzeniem, jakie zapłodniło wyobraźnię autora i pchnęło go do napisania poematu, była sławetna ucieczka wojewódzkiego sekretarza partii z płonącego komitetu podczas znanych rozruchów robotniczych w Radomiu, w czerwcu 1976 roku. Sekretarz ów, nie mając wyjścia, wyskoczył przez jakieś boczne okno parteru. Nie uniknął jednak „konfrontacji” z podnieconym tłumem oblegającym komitet. W szamotaninie, jaka się wywiązała, stracił prawie całe ubranie i — by dopaść milicyjnego wozu, gdzie miał znaleźć schronienie — musiał, wśród gwizdów i śmiechu, przedefilować przed oczami robotników radomskich w samej tylko bieliźnie. Ta właśnie scena stanowi punkt wyjścia *Towarzysza Szmaciaka*. Punkt wyjścia, lecz nie właściwy początek akcji. Ta bowiem rozpoczyna się kilka godzin później, kiedy to tytułowy bohater siedzi już bezpiecznie w swej willi i „popijając scotch z wiśniowym sokiem” duma o zajściach minionego dnia i w ogóle o sytuacji społecznej jaka się wytworzyła. Wypada zaznaczyć w tym miejscu, że postać Szmaciaka nie jest kopią czy portretem jakiejś rzeczywistej osobistości partyjnej. Z autentycznym sekretarzem radomskim łączy go tylko to jedno przeżycie, jakim była wiadoma rejterada dnia 25 czerwca. Wszystko inne, a więc biografia bohatera, jego sposób myślenia i wyrażania się, jest literacką fikcją. Fikcją, ale nie oderwaną od rzeczywistości, lecz uogólniającą tę rzeczywistość. Szmaciak, powiatowy sekretarz partii, to postać-symbol, to pewien wzorzec, który obrazuje poziom duchowy i moralny ludzi, którzy sprawują w Polsce władzę. Poprzez postać tę, poprzez pryzmat jej życiorysu i mentalności, autor obnaża prawdę o systemie, który przedstawia się jako najlepszy na świecie, i o powojennej historii Polski, która toczy się pod jego znakiem.

Fabularna oś poematu jest prosta i krótka. Szmaciak, po gwałtownych i groźnych dla niego zajściach, siedzi samotnie w swej willi i rozmyślając nad tym, co się stało, upija się do nieprzytomności. Spada z fotela i zasypia. Tu zaczyna się główna i najciekawsza część utworu: opis jego snu, gęsto przeplatany wielopiętrowymi dygresjami i komentarzami, które dają obraz jego kariery rzucony na szerokie tło przemian społeczno-politycznych ostatniego 30-lecia. Po przebudzeniu, Szmaciak, przerażony

tym razem złowrogimi wizjami sennymi, jakie go nawiedziły, znów pije, znów traci przytomność, a ponieważ tym razem dostaje delirycznego ataku, zostaje odwieziony do szpitala. Tak kończy się jego „straszny dzień” 25 czerwca 1976 roku. Nazajutrz jednak powraca na arenę zdarzeń. Jest już skupiony i spokojny. Wraz z innymi podwładnymi mu funkcjonariuszami przystępuje do bezwzględnej rozprawy z „motłochem”, który stał się przyczyną jego poniżenia i nerwowego ataku. To wszystko. Tyle dzieje się w czasie teraźniejszego poematu.

Jak już wspominałem, zasadniczą i najobszerniejszą pod każdym względem jest centralna część dygresyjno-retrospektywna. Zaczyna się ona od opisu snu, jaki natychmiast wkrada się w zamroczoną jaźń bohatera. W tym śnie, jak to się często zdarza u ludzi mających wiele na sumieniu, odwracają się role ciemni i ofiary. Oto Szmaciak, cudem uniknąwszy zbiorowego samosądu na ulicy (łatwo wytłumaczalne echo niedawnych wydarzeń), przybywa do komitetu, lecz tu — w jego gabinecie, za jego biurkiem — siedzi i czeka na niego chłop nazwiskiem Deptała, nad którym sekretarz wielokrotnie się znęcał, aż wreszcie — co poemat wyraźnie sugeruje — wykończył go definitywnie. Opowieść o kolejnych potyczkach z Deptałą przeradza się wkrótce w wielką historię o całym życiu i karierze Szmaciaka, która stanowi swoiste repetytorium z dziejów współczesnej Polski.

Zrekonstruujmy tę historię. Swój początek bierze ona jeszcze przed wojnę, kiedy to Szmaciak — wraz ze swymi trzema kompanami — uganiał się jako wyrostek po swym rodzinnym miasteczku, zwanym Skisłe. Ci trzej kamraci o wdzięcznych imionach: Maczuga, Buc i Rurka, każdy na swój sposób, przewyższali Szmaciaka o głowę. Maczuga dysponował niezwykłą siłą, Buc wieloznacznym wdziękiem (za co lubiły go kobiety), a Rurka wielkim sprytem i inteligencją. Walorom tym Szmaciak nie miał nic do przeciwstawienia, był słamazarny, tępy i płaczliwy, toteż pomiatano nim i naigrywano się z niego. Jediną odpowiedzią na te chłopackie prześladowania, na jaką mógł się zdobyć, było intrygowanie, polegające na tym, by skłócić przewyższającą go trójkę. Tak więc donosił jednym na drugich, a następnie cieszył się skrycie, gdy z zamieszania, które wywoływał, wynikał konflikt, kończący się jakąś solidniejszą bójką. Chłopcy, oczywiście, prędzej czy później orientowali się w niecznych poczynaniach Szmaciaka, wówczas on dostawał tęgie lanie, a wreszcie — uznany za szkodnika i zakał paczki — został wykluczony ze wspólnych zabaw i afer. Szmaciak samodzielnie nie znaczył nic. Bez pomysłów i sprytu Rurki, bez siły Maczugi i wdzięku Buca był kompletnym zerem. Toteż, kiedy tylko stracił z nimi kontakt, znalazł się na zupełnym lodzie. Wałęsał się samotnie i beczynnio po Skisłem, a pewnie kompletnie by się wykołubił i zmarniał, gdyby nie pomocna dłoń żydowskiego przedsiębiorcy Apfelbauma, który zatrudnił go w swym interesie. Tak wyglądało życie Szmaciaka do wojny i tak pewnie zawsze by już wyglądało, gdyby

nie wybuchła. Szmaciak bowiem do niczego sensownego się nie nadawał: będąc kwintesancją przeciętności, lenistwa i złej woli skazany był na odgrywanie najporządniejszych ról we wszelkich dziedzinach życia. Szansa otworzyła się przed nim z chwilą powstania (czy raczej narzucenia siłą) nowego systemu społecznego. Dlaczego tak się stało? Poemat dokładnie rzecz tę tłumaczy. Chodzi o to, że szlachetna w swych założeniach ideologia była — jak wiadomo — nieiszczalną utopią, toteż jedyną szansą jej wcielenia było sztuczne wyreżyserowanie rzeczywistości. Do tego zaś zabiegu potrzebna była potężna siła, która zmuszałaby ludzi do odgrywania swoistej sztuki, dającej iluzję, że raj na ziemi został zaprowadzony. Siłą taką nie dysponowali jednak bezpośrednio twórcy utopii, siła taka tkwiła jedynie w najniższych i najmętniejszych warstwach społecznych. Stąd właśnie ich nągły i niebawmy awans. Albowiem „mędracy” od uszczęśliwiania ludzkości *plonąc* — jak mówią to słowa poematu — *mitością do abstraktów*, nie mogąc zatem znieść tej to banalnej okoliczności, że raj na ziemi, wyczarowany w ich teoriach i jawiący się w nich jako historyczna konieczność, nie chce się jakoś, z dnia na dzień, ziścić, postanowili powołać do życia potężną gwardię, która siłą przyspieszyłaby nieuniknione, jak im się zdawało, proces. Któż jednak mógł i chciał spełnić tę osobliwą misję „poganianca historii”? Mogli spełnić ją jedynie ciemni i bezwzględni wykonawcy, ludzie bez cienia wątpliwości, gotowi na wszystko oprawcy, jednostki przegrane, skazane na smętą i porywającą, osobniczo zdemoralizowani o mrocznych, występnych instynktach. Mędracy, opętani wizją niedalekiej, jak sądzili, świetlanej przyszłości, całkowicie przy tym oderwani od rzeczywistości, nie cofnęli się przed tą współpracą. Przywołali przed swe oblicze mętne siły i dali im broń do ręki. Tu właśnie popełnili swój największy błąd. Albowiem kołtun i lump tak nagle wywyższeni i wyjęci spod kontroli popełnili wkrótce tyle niegodziwości i wyrządzili tyle szkód, że udręczony lud zbuntował się i podniósł groźnie głowę. Prerażeni mędracy, pojawszy wreszcie swą pomyłkę, usiłowali zrzucić całą winę na oprawców, których niedawno zaangażowali. Było już jednak za późno. Kołtun i lump zbyt dobrze zdołali się już przez ten czas okopać na swych pozycjach, by można ich było teraz jednym ruchem usunąć. Wciąż mając poza tym broń w rękę, byli panami sytuacji i całkowicie kontrolowali powstały układ. Gniew ludu oddalony więc został od nich samych i skierowany niezwłocznie na mędrców, których uczyniono odpowiedzialnymi za całą niedolę. Tak skończyła się ich era. Na placu pozostał zaś Wielki Cham, który na całego już ujął ster władzy w rękę.

Tak właśnie przebiegała i wyglądała kariera Szmaciaka. Jako społeczny pasożyt i moralna gnida natychmiast został on wyróżniony i przyhołubiony do gwardii „mężnych pretorianów”, mających za zadanie egzekwować u ludzi poczucie, iż czują się w nowym systemie społecznym jak w raju. W praktyce rzecz sprostawała się do wstąpienia w szeregi funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa oraz wszelkich innych, pokrewnych czy podleg-

tych temu urzędowi, organizacji. Szmaciak, wysłany w teren, pod różnymi pozornie szlachetnymi i postępowymi hasłami rozpoczyna swą wielką lekcję ciemnienia ludzi. Lekcja ta dostarcza mu niesłychanych doświadczeń: pokazuje mu mianowicie, jakie kryją się możliwości awansu i dorobienia się w tym, niekontrolowanym przez nikogo, systemie społecznym. Lekcja ta wtajemnicza go także w arkana strategii, jaką należy się posługiwać, by osiągać swe cele. Strategia ta polega na tym, by nigdy w żadną stronę się nie wychylać, by nie sięgać za wysoko, by mało mówić i nigdy nie zostawiać żadnych śladów, by wreszcie — w sytuacji konfliktowej, w chwili zagrożenia — bez wahania przerzucać winę na innych, głównie na tych, z którymi dotychczas było się w zmo-wie. Szybkie pojęcie tej strategii pozwoliło Szmaciakowi uniknąć przykrości, jakie nie ominęły jego kompana Rurkę, który — jako człowiek bystrzejszy i silniejszy — mierzył zbyt wysoko, przez co spadł później odpowiednio gwałtowniej i proporcjonalnie niżej.

Tak więc historia i kariera Szmaciaka to dzieje awansu najgorszej przeciętności. Poemat Gnomackiego stawia bardzo interesującą diagnozę: pokazuje, że największym sprzymierzeńcem, czy nawet gwarantem systemu totalitarnego nie jest ani jakaś krwawa, ekspansywna ideologia (jak to miało miejsce w Niemczech hitlerowskich), ani krwawy terror, który prędzej czy później musi podważyć własne fundamenty (jak to było w Rosji sowieckiej w latach 30-tych), lecz bezmyślna nijakość, z pozoru neutralna i mało przedsiębiorcza gnuśność społeczna. Skuteczność i trwałość systemu totalitarnego w wydaniu sowieckim (jaki panuje w Polsce) tkwi w tym, że stawia on na siły najmierniejsze, najbardziej przeciętne. Nie tylko stawia na nie, lecz popierając je, zachęca, by ku nim ciążyły. Jest to swoiste diabelskie kuszenie: jak wiadomo, człowiek istotą jest słabą, wszelki ruch rozwojowy, wszelkie twórcze działanie jest dlań przedsięwzięciem trudnym, wymagającym wysiłku, niekiedy bolesnym; człowiek zdobywa się na nie tylko wówczas, gdy musi, lub gdy przyciąga go wizja określonych korzyści. Jeśli więc stworzy się taki system wartości, w którym nagradzana czy opłacalna jest przeciętność, bezwolność, płycizna, to człowiek — nawet gdy tliły się w nim dotąd wyższe aspiracje — natychmiast z nich zrezygnuje i z ochotą pograży się w mulistej stagnacji. System totalitarny w wydaniu sowieckim, a zaszczerpiony w Polsce, proponuje: chcesz mieć pozycję, pieniądze i władzę — nic prostszego: zrezygnuj z siebie jako z człowieka, stań się nikim, wdziej szary kostium „przeciętniaka” i wykonuj wszelkie polecenia nie zastanawiając się nad ich treścią. Im będziesz przeciętniejszy, im mniej pytań będziesz zadawał, im mniej będziesz miał myśli własnych, tym większa czeka cię nagroda, tym dłuższy będzie twój żywot. Jest to propozycja — jak przyjęło się ostatnio nawiązać — „nie do odrzucenia”. Tylko nieliczne jednostki potrafią się jej oprzeć. Stąd właśnie sukces i potęga systemu, tu właśnie jego największa i nieporównywalna z niczym szkodliwość.

Poemat Gnomackiego nie bawi się w moralizowanie, nie jest staroświecką satyrą zawierającą tzw. „program pozytywny”. Posługując się kpina i bezlitosnym szyderstwem obnaża określony mechanizm. Tworząc przenikliwą wizję systemu jako pewnego diabelskiego wynalazku pozostawia wyciąganie wniosków czytelnikowi. Te zaś narzucają się same.

Jerzy RYBAK

Forma pamięci

„Nie widziałam nigdy, by mówił o Żydach inaczej niż ze łzami w oczach” — pisze o Stanisławie Vincenzie Jeanne Hersch w przedmowie do jego pośmiertnie wydanej książki *Tematy żydowskie**. Vincenz również pisze o Żydach ze łzami w oczach. Był on jednym z bardzo nielicznych Polaków, którzy naprawdę Żydów znali i rozumieli. Z polskich pisarzy nieżydowskiego pochodzenia porównać z nim można pod tym względem chyba jedynie Leopolda Buczkowskiego. Przychylnie zainteresowanie Żydami bierze się u Vincenza z jego wrodzonej przychylności dla ludzi, szerokich horyzontów myślowych, oraz pobudek kulturalno-artystycznych i filozoficzno-duchowych. Vincenz był katolikiem z głęboko wierzącej rodziny, który podkreślał, że właśnie przywiązanie do własnej religii zbliżało go i pociągało do żarliwości religijnej chasydów. Określa ich jako „pobożnych, łagodnych i pełnych dobrej woli ludzi”, których cechowało „zaufanie do Boga, radość z tego zaufania i nauka, że dla czystych serc Bóg osiągalny jest na wielu drogach”.

Vincenz pochodził ze wschodnich Karpat, ojczyzny chasydyzmu, kraju Bal-Szem-Towa, gdzie — jak pisze — „przez stulecia wznosił się szmer tych modlitw ku niebu”. Jeanne Hersch wskazuje, że Vincenz „zebrał w sobie skarby ustnej tradycji Polaków, Hucułów, Rumunów, Ukraińców i Żydów (chasydów)” i że „przycięca do życia dusze i mądrość wielu zaginionych światów”. Vincenz zdawał sobie sprawę, że był jednym z ostatnich naocznych świadków zaginionego świata żydostwa polskiego i w „Lwowskich kosmopolitach” tak sformułował swoją misję: „Zażydzać na nowo tę straszliwą dla nas pustkę, idę mimo woli śladami Dantego Alighieri, który tak zaludnił dziedzicznie najwyższe regiony raju patriarchami, prorokami, a nawet niewiastami żydowskimi. Czynię to nie dlatego, jakobym był powołany, ale właśnie z obawy, że powołanych już nie stało”.

* Stanisław Vincenz, *Tematy żydowskie*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977.

Pisząc o Żydach lwowskich, Vincenz podkreśla, że „żyją jedynie w naszych wspomnieniach”. Jego stronie poświęcone Żydom są protestem przeciwko zagładzie i zobojeźnieniu tych, którzy byli jej świadkami. We „Wspomnieniu o Żydach kołomyjskich” ten znakomity klasycysta przywołuje na pomoc starożytnę Erynie: „Niechaj te Erynie z krwi przelanej w lasku w Szeparowcach nie winnych tylko dosięgną, lecz obojętnych także. Domagają się one nie pomsty, lecz pamięci!”. Autor konkluduje, że „każda forma pamięci i czci jest pożądana, byle tylko nie dać przystępu zobojeźnieniu”. Oczywiście zdawał on sobie sprawę z ludzkiej bezradności wobec ogromu hitlerowskiej zbrodni: „Niestety! Oszałamiające cyfry zgrozy i zagłady przyczyniły się jak dotąd bardziej do zobojeźnienia niż do pamiętania”. Vincenz wskazuje, że zagłada Żydów na ziemiach polskich była „programem wyniszczenia, którego nie powstydziałaby się żadna wojna atomowa” i ostrzega, że „weszliśmy w okres, gdy masowe zniszczenie jak masowe zniewolenie, organizowane przez państwo, jest praktykowane legalnie i dlatego bezkarnie”.

Konsekwencją tego jest postępujące *zakłamywanie* przez państwo, zakłamywanie rzeczywistości i pamięci, teraźniejszości i przeszłości, niszczenie człowieka w człowieku i masowe zabijanie wspomnień, oraz ludobójstwo popełniane na zmarłych, którym po odebraniu życia, odbiera się również i śmierć.

W Związku Sowieckim nie mówi się o zagładzie wschodnioeuropejskich Żydów, a w Polsce mówi się o tym coraz mniej. Nawet w akcji zbierania pieniędzy na wielki szpital i ośrodek rehabilitacyjny w Warszawie, poświęcony pamięci dwóch milionów polskich dzieci, które poniosły śmierć w czasie drugiej wojny światowej, nie wspomina się, że jakieś półtora miliona owych dzieci, to były dzieci żydowskie (choć sami Niemcy nadesłali 5 mln. marek, a oni przecież powinni o takim szczególe wiedzieć).

Vincenz podkreśla, że w jego stronach Polaków i Żydów więcej łączyło niż dzieliło. Wspomina o polskim krajobrazie i polskiej nucie ludowej w tekstach Bal-Szem-Towa, Mendla z Witebska, Nachmana z Bracławia i innych, i twierdzi, że piśmiennictwo to, choć w języku żydowskim, należy w dużym stopniu do literatury polskiej. Wskazuje też na respekt huculskich pasterzy dla wiary żydowskiej i pobożności chasydów, oraz na wyraźne korzyści wynikające z międzyetnicznych powiązań kulturalnych. W pięknym fragmencie ostatniego tomu „Na wysokiej połoninie”, zatytułowanym „Bałaguły” Vincenz portretuje seniora kołomyjskich bałaguł, który „mówiąc po żydowsku, czerpał akcenty szczeroci z ruskiego, uczoności z niemieckiego, elegancji z polskiego, a najwyższą mądrość z hebrajskiego”.

Vincenz zwraca uwagę, że w kresowych konfliktach Żydzi „od czasów Chmielnickiego i Wiśniowieckiego, a nawet jeszcze dawniej” ... „z natury rzeczy byli po stronie polskiej”, oraz że „niewątpliwie lud żydowski przez długie wieki odczuwał solidarność z państwem polskim”. W eseju pod tytułem „Rzeczywistość urojona” autor przypomina, że Żydzi bronili Humania razem z Pola-

kami i że masowo opowiadali się za Polską w latach 1920-21 w Galicji, „mimo niedawne pożałowania godne ekscesy antyżydowskie we Lwowie przy końcu roku 1918” (wkroczenie hallerczyków — przypisek mój). Jednakże ojczyzna w pojęciu Vincenza to przede wszystkim to, co odczuwamy i o czym myślimy, mówiąc o naszych stronach rodzinnych. W „Spotkaniu z chasydami” wyraźnie pisze, „znam te zjawiska z mej ojczyzny w Karpatach wschodnich”. Ojczyzna jest „zawsze nieduża” wskazuje Czesław Miłosz w poświęconym Vincenzowi eseju pt. „La Combe” (*Kultura* Nr 10/132, Paryż, 1958). Wymienia tam „ojczyzny”, jak: Walia, Bretania, Prowansja, Katalonia, kraj Basków, Siedmiogród, Huculszczyzna i dodaje: „Vincenz wie, że ludzie tęsknią dzisiaj do ojczyzny, a zamiast niej przyznaje się im tylko państwa”. Że to prawda, wiem z własnego doświadczenia. Moja ojczyzna to wschodnie Mazowsze oraz trochę Warszawy i Łodzi, a nie PRL.

Tematy żydowskie zawierają wiele bardzo aktualnych dziś stwierdzeń filozoficznych. Bałaguła Bjumen Petranker mówi: „Sto procent racji nie istnieje!”. I wyjaśnia: „Taki co mówi, że ma sto procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak”. W metafizycznych rozważaniach o jedności przeciwnieństw („Samael w Niebie”) czytamy: „Ludzie zażądali poszanowania praw człowieka od wszystkich, nie tylko od innych ludzi, także od ziemi i od nieba, tylko żaden nie żądał tego od siebie samego”. Znajduje się tu również najlepsza jak dotąd definicja Złego: „W nim najwięcej tego, co nieoczekiwane”. Są też mądre uwagi o „nadętej pokorze, która chwyta Pana za stopy”, o prawdziwie wrażliwych na ludzkie losy „kłopotnikach”, a także perły najczystszej poezji w takich frazach, jak „różowy szept Pana przechadzał się brzegami głębi”.

W przedmowie do wyboru esejów Vincenza pt. „Po stronie pamięci” Miłosz pisze: „Tam gdzie nie ma pamięci, nie tylko czas jest pustkowiem, także przestrzeń, drzewa i skały mówią do nas, ale my ich nie rozumiemy. Tylko poprzez pamięć możemy nauczyć się rozumieć ich mowę”. Vincenz zapamiętuje kurczowo, zwłaszcza to co było najważniejsze i najlepsze, a czego nie wolno pozostawić na pastwę zapomnienia. „Ileż duchowej siły kryło się pod tymi niepozornymi chałataami!” — woła, wspominając chasydów znad Czeremoszu. Nie zapomina również oddać zmarłym czci, której za życia, a często i po śmierci, im odmawiano: „Wspominam mego sąsiada, sprawiedliwego starca Berla Lantnera, który prowadzony przez gestapowców uspokajał przerażonych i szemrzących a licznie zgromadzonych chłopów: Dzieci, to wszystko od Boga, nie narzekajcie”. Ja dziś nie mogę się zgodzić z pobożnym Berlem, że „to wszystko” pochodziło od Boga, ale wraz z Vincenzem muszę pochylić czoła przed siłą duchową, która kryła się pod owym niepozornym chałatem. Chylę również czoła przed delikatnością uczuć Vincenza i wrażliwością jego pamięci. „Dziesiątki i setki lic z tamtego brzegu tłoczą się. Pozdrawiam je” — pisze Vincenz we „Wspomnieniu

o Żydach kołomyjskich". Jego *Tematy żydowskie* są właśnie pozdrowieniem dla zmarłych.

Z książki tej zapamiętajmy również podaną w „Samaelu” definicję Boga: „Jedyny jest pamięcią wśród wszystkich zapomnień świata”. Oznacza to, że pamięć zbliża nas do boskości. Vincenz nam każe pamiętać. W jego, tekstach jest coś, czego chyba nie spotyka się już więcej w literaturze, choć dawniej przede wszystkim tego w niej szukano. Nazywało się to chyba — świętością.

Henryk GRYNBERG

Sédir

Trudno przejść obojętnie obok Francuza, dla którego Polska stała się „drugą ojczyzną”. I to w dwojakim sensie. Tom wierszy „Les rues de Varsovie” świadczy o bliskim życiu z pejzażem stolicy i doskonałej orientacji w jej przeszłości. Tylko Polak może w pełni docenić subtelne odwołania pamięci do drzew w parku Łazienkowskim, Starego Miasta i adresu, który jest ewokacją i symbolem: „Szpitalna 8”. Na tomik, poza bezpośrednimi Varsovianami, składa się kilka wierszy, może najlepszych, jak „Avant-tristesse” i „Fenêtres” — ukazujące kolejno okna oświetlone, ciemne i martwe, czy wreszcie tajemniczo przesłonięte (*miroirs voilés*) na podobieństwo zwierciadeł.

Sédir jest autorem trzech powieści: „Les ombres d'un été romain” (1964), „Le Mal slave” (1971) i „Les Diplomates” (1971), nagrodzonej Prix Erckmann-Chatrian w roku 1972. Wydał także w roku 1975 tom wierszy pt. „Pas”.

Interesującym suplementem literackiej działalności Sédira jest jego żywe zainteresowanie XIX-wiecznym mesjanizmem polskim. Z artykułu Jacques Sardin’a w „Les Amitiés Spirituelles” (Nr 91, 1972) wynika, że interesuje się on w szczególności Andrzejem Towiańskim, określanym mianem „świętego naszej epoki”. Członkowie „Les Amitiés Spirituelles”, pragnąc zapoznać go ze współczesnym Towiańskiemu myślicielem polskim, Józefem-Maria Hoene-Wrońskim ofiarowali mu niedawno temu najważniejsze jego pisma. Sédir zareagował na to napisaniem artykułu, w którym zestawia Wrońskiego z Towiańskim. Ten ostatni jest mu bliższy, jako apostoł odnowy Kościoła i powrotu do ducha ożywiającego pierwszych chrześcijan.

Echem tych kontaktów jest książeczka Sédira pt. „Le Martyre de la Pologne”, przynosząca obok informacji o Towiańskim i Hoene-Wrońskim przedruk broszury z roku 1916, zawierającej tekst listu Polki pisanego z Rosji w czasie Pierwszej Wojny Światowej, zrywającego Francuzów do przemyslenia lekcji historii, jaką są dzieje Polski.

(x)

1. Georges Sédir, *Les Rues de Varsovie*. Paris (1977), Art et Poésie, str. 19.

2. Sédir, *Le Martyre de la Pologne*. Paris, mars 1977, (éd. Dr Z. W. Wolkowski), str. 71. (Zawiera: „Le Martyre de la Pologne”; Jacques Sardin: „Hoene Wronski, précurseur du messianisme polonais”; Sédir: „Le Messianisme de Hoene Wronski et celui d'André Towiański”; „André Towiański, le Saint du Messianisme Polonais”).

Nadesłane nowości wydawnicze

- RYGOR-SŁOWIKOWSKI (M. Z., gen. bryg.). *W tajnej służbie* (In Secret Service). Polski wkład do zwycięstwa w drugiej wojnie światowej. Str. 500, 12 nlb i 7 fotografii z Indexem nazwisk. (Wyd. Mizyg Press, Londyn, 1977).
- Informations. Biuletyn Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych. Str. 98 i 4 nlb. (Rzym-Warszawa, 1976, No 1).
- MIREWICZ (Jerzy, Ks., T.J.). *Trzy minuty filozofii*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Ojcowie Jezuici, Londyn, 1978; cena £ 3.00 plus porto).
- BARANCZAK (Stanisław). *Sztuczne oddychanie*. Ilustracje Jana Lebensteina. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. „Aneks”, Londyn, 1978).
- HEINE (Henryk). *Sonety*. Przełożył z niemieckiego Zew Szeps. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).
- SUKIENNICKA (Halina). *Paintings*. Teka malarstwa zawierająca 16 czarno-białych i 8 kolorowych litografii. (Tekst angielski wyd. przez Polonia Book Fund Ltd., Londyn; cena £ 6.00 — z przesyłką £ 7.00).
- KRYSKA - KARSKI (Tadeusz). *Sztandary i poczty sztandarowe organizacji kombatanckich i innych*. Str. 16. (Wyd. nakładem Autora, Londyn, 1978; cena \$ 1,00 plus porto, dochód przeznaczony na fundację sztandarów PSZ; zamówienia i czeki należy kierować do Polish Regimental Colours Fundation, 20, Proce Gate, London, SW7 1QA).
- Rzeczpospolita Podchorążacka. Nr 15, marzec 1978. Str. 43. (Wyd. Szkoła Podchorążych Piechoty, Londyn).
- Jedność. Opracował Andrzej Koraszewski. Str. 30 i 2 nlb. (fotokopie). (Wyd. Jedność, Stockholm, 1977; cena Krs 5,00).
- SULEK (Jerzy). *Geneza Republiki Federalnej Niemiec*. Str. 451 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Poznań, 1977; cena zł 120).
- CYGAŃSKI (Miroslaw). *SS w ruchu narodowosocjalistycznym i w III Rzeszy 1925-1945*. Str. 446 i 2 nlb. (Wyd. Studium Niemcoznawcze, Instytut Zachodni, Poznań, 1978; cena zł 100).
- Kętrzyn. Z dziejów miasta i okolic. Str. 345 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1978; cena zł 75).
- SHAPIRO (Constantine). *Selected Writings*. Redakcja Michael Shapiro. Str. 164 i 1 nlb. (Wyd. Department of Slavic Languages, Univ. of California, Los Angeles, 1977; cena \$ 4,00).
- KOWALIK (Jan). *Modjeska — Biography*. Str. 51 i 3 nlb. (powielacz). (Wyd. American-Polish Documentation Studio; odbitka z *Migrant Echo*, San Francisco, Volume VI (1977): No 2, str. 87-106; No 3, str. 173-192).
- MARS (Anna M.). *„Americana” in the Archives of the Józef Piłsudski Institute in New York* (Nadbitka z *The Polish Review*, vol. XXII, No 4, 1977, str. 65-75).
- Association for the Advancement of Polish Studies — Bulletin. Str. 20 (powielacz). (Wyd. Alliance College, Cambridge Springs, Pa., volume III, No 1, January 1978).
- CHIAROMONTE (Nicola). *Silenzio e parole*. Scritti filosofici e letterari. Str. 244 i 12 nlb. (Wyd. Rizzoli Editore, Milano, 1978).
- Kniha Charty. Hlasy z domova 1976-1977. Przedmowa i opracowanie Vilém Precan. Str. 368. (Wyd. Index, Rzym, 1977).
- Kalendar „Słowo” na julejnyjnyj 1978 rik. Str. 144. (Wyd. Wilne Słowo, Toronto, 1978; cena \$ 5,00).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-4-78

W Warszawie zmarł, w wieku 83 lat, Gabriel Karski, poeta i prozaik, tłumacz literatury francuskiej. ■ Stefan Wilkanowicz został naczelnym redaktorem miesięcznika *Znak* w Krakowie na miejsce Bogdana Cywińskiego.

5-4-78

W Grodnie otwarto muzeum Elizy Orzeszkowej. Mieści się ono w domu, w którym pisarka mieszkała w latach 1894-1910.

15-4-78

Na cmentarzu powązkowskim w Warszawie złożono prochy Kazimierza Wierzyńskiego.

20-4-78

W bież. roku 40,5 tysiąca (a w ub. roku 46 tys.) obywateli PRL będzie mogło kupić dewizy (obecnie Dol.150,00) na wyjazd na Zachód. W ciągu ostatnich 6 lat 330 tys. osób mogło zakupić dolary na cele turystyczne. ■ W 1976 roku odwiedziło Polskę 427 tys. obywateli ZSSR. Natomiast w ostatnim 10-leciu przebywało w ZSSR ponad 6 milionów turystów z PRL-u. ■ Honorowy prezes Światowego Kongresu Żydów, Nachum Goldmann, wziął udział w warszawskich obchodach 35-tej rocznicy Powstania w Getcie. ■ Polskie Linie Lotnicze LOT posiadają obecnie 44 samoloty: 7 sztuk IL-62 (odrzutowe dalekiego zasięgu), 10 sztuk TU-134 (odrzutowe średniego zasięgu), 9 sztuk IL-18 (dość już przestarzałe turbośmigłowce) oraz 18 sztuk AN-24 (obsługują linie krajowe). ■ Wskutek zbyt intensywnej eksploatacji 9 % wszystkich wagonów towarowych i 20 % osobowych znajdujących się w eksploatacji Polskich Kolei Państwowych nie nadaje się do użytku.

28-4-78

Zmarł w Krakowie, w wieku 74 lat, Witold Zechenter, poeta, satyryk i publicysta.

1-5-78

W PRL wszedł do produkcji nowy samochód Polonus. Jest on wspólnym dziełem konstruktorów i technologów FSO i Fiata z Turynu. Samochód jest o pojemności 1.500 cm³, ma moc zależnie od wersji 75-82 KM i kosztuje 225.000 zł. ■ Nagrodę polskiej sekcji PEN-Clubu, ufundowaną przez Roberta Gravesa za wybitny tom poezji, przyznano Tomaszowi Gluźnińskiemu za „Przebieg wydarzeń” (Wydawnictwo Literackie).

4-5-78

W Kijowie studiuje na tamtejszych uniwersytetach 220 Polaków.

10-5-78

Zmarł nagle, w wieku 48 lat, Witold Dąbrowski. Poeta, historyk literatury, tłumacz z rosyjskiego. Na Walnym Zebraniu warszawskiego oddziału Związku Literatów występował bardzo ostro przeciw ustępującemu Zarządowi i pisarzom należącym do POP (Państwowa Organizacja Partyjna), którzy włączyli się do akcji represji administracyjnych przeciwko swoim członkom. Na temat jego śmierci krążyły różne informacje, których do zamknięcia numeru nie byliśmy w stanie sprawdzić. ■ Przybył do PRL Konrad Sieniewicz, emigracyjny działacz odłamu Chadejki współpracującej z odłamek Neo-Znaku pośła Zabłockiego. Przygotowuje on międzynarodowe spotkanie działaczy

chadeckich (głównie z Belgii), mające na celu przedstawienie harmonijnej współpracy reżymu z Kościołem. ■ Ambasador sowiecki w Warszawie, p. S. Piłotowicz, został odwołany do Moskwy. To odwołanie zostało przyjęte przez społeczeństwo jako ustępstwo ze strony ZSSR. P. Piłotowicz bowiem pobił wszystkie rekordy Stackelberga i Repnina. ■ Zespół polskich naukowców założył w kraju Niezależną Akademicką Grupę Współpracy. Instytucja ta zrzeszać będzie uczonych i naukowców, którzy nie mogą realizować swych prac poprzez istniejące instytucje państwowe. Jej celem będzie ułatwianie wzajemnych kontaktów między uczonymi, wymiana idei, pomysłów i osiągnięć oraz publikowanie książek i tez naukowych.

15-5-78

Polski eksport węgla do krajów zachodnich wynosił w ub. roku 25 mln. ton (63,7 % całości polskiego eksportu węgla). PRL jest po USA drugim światowym eksporterem węgla. ■ Co roku w PRL ubywa 30 tys. ha użytków rolnych, z czego 10 % to grunty najwyższej klasy. Brak sprzętu specjalistycznego sprawia, że 33 tys. ha niewykorzystanych gruntów nie będzie można w bliskiej przyszłości przekazać rolnictwu. ■ Samizdatowe pismo litewskie *Ausra* (Zorza) podaje, że w końcu ub. roku powołano w Wilnie do życia Tajny Komitet Ruchu Narodowego: Estończyków, Łotyszów i Litwinów. Gdyby Komitet uległ likwidacji jego pracę mają przejąć naczelne organizacje emigracyjne tych narodów. Kierownictwu litewskiemu stawia się warunek dokooptowania T. Venclovy. Na członków honorowych Komitetu wybrano dziewięciu znanych intelektualistów m.in. Sacharowa, Czesława Miłosza i paru Czechów i Amerykanów.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-4-78

W nr. 1-2 doskonałego słoweńskiego kwartalnika literackiego *Meddobje* ukazało się studium Tine Debeljaka — „Kazimierz Wierzyński do rozpada Polskie 1939” oraz w jego przekładzie „Olimpijski venec”. Tine Debeljak jest bardzo zasłużonym tłumaczem i propagatorem literatury polskiej.

5-4-78

W Tel-Awivie zmarł Josef Berger Barzilaj, w wieku 74 lat. Był on założycielem palestyńskiej partii komunistycznej, w latach 20-tych wyjechał do ZSSR gdzie został sekretarzem do spraw Środkowego Wschodu w Kominternie. Aresztowany w 1934 roku spędził 21 lat w łagrach sowieckich. W 1956 roku został zrehabilitowany i otrzymał pozwolenie powrotu do Polski, gdzie się urodził. Wkrótce potem wyjechał do Izraela, gdzie był wykładowcą na uniwersytecie Bar-Ilan. Wydał książkę „Blask o północy” na temat warunków życia i pracy w łagrach sowieckich.

11-4-78

Do Izraela przybyła z PRL oficjalna delegacja na uroczystości 100-lecia urodzin Janusza Korczaka. W skład delegacji wchodził: przedstawiciel Ministerstwa Oświaty, Stanisław Frycze, pisarz — Kazimierz Dębicki i p. Ida Merzan.

15-4-78

Na zaproszenie Kiermaszu Książki Polskiej w Szwajcarii Tymoteusz Karpo-wicz mówił w Zurychu o „Krajobrazie poetyckim w Polsce”. ■ Na walnym zebraniu Stowarzyszenia Polskiej Kultury w Austrii prezesem został wybrany Andrzej Balko, wiceprezesem Jerzy Wandel, a sekretarzem Jerzy Szenderowicz.

21-4-78

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór poświęcony poezji Stanisława Barańczaka, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza i Aleksandra Wata. Wiersze czytała Halina Mikołajska, zagał wieczór K. A. Jeleński.

25-4-78

W Wiedniu bawił Władysław Bartoszewski na zaproszenie Instytutu Judaistyki uniwersytetu wiedeńskiego, gdzie wygłosił odczyt w związku z 35-tą rocznicą Powstania w Warszawskim Getcie. Ponadto na seminarium Instytutu Historii Najnowszej tegoż uniwersytetu mówił o problematyce badań historii najnowszej w Polsce. Wreszcie wziął udział w otwarciu wystawy „Der gelbe Stern in Österreich” poświęconej martyrologii Żydów w Austrii w latach 1938-1945. Spotkał się również z członkami grupy roboczej dziennikarzy katolickich. W. Bartoszewski oświadczył, że zarówno polscy biskupi, jak i społeczeństwo odnoszą wrażenie, że nie ziszczyły się nadzieje zmiany na lepsze, jeśli idzie o zrealizowanie przez władze postulatów Kościoła.

26-4-78

W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów w Paryżu odbył się wieczór Poezji i Pieśni pt. „Serce w Plecaku” z udziałem Jerzego Piwowarczyka i Mariana Mikoszewskiego.

3-5-78

W Bibliotece Polskiej w Paryżu miało miejsce doroczne zebranie Towarzystwa Historyczno-Literackiego, po którym Józef Czapki wygłosił odczyt o Oldze Boznańskiej. ■ W Bazylei wręczono prof. dr. Tadeuszowi Reichsteinowi, laureatowi Nagrody Nobla, dyplom doktora *honoris causa* Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. W uroczystości zorganizowanej przez Towarzystwo Przyjaciół PUNO wzięli udział m.in. profesorowie: P. Bonjour, Ch. Tamm i A. Żaki. ■ W ramach obchodu 400-lecia kościoła i hospicjum św. Stanisława w Rzymie odbyło się spotkanie Polaków z kardynałem Karolem Wojtyłą, protektorem tego kościoła. ■ Prezydent R.P., prof. dr S. Ostrowski nadał złoty Krzyż Zasługi dr. Franciszkowi Kałuży z Pretorii za zasługi na polu pracy społecznej. Ponadto dr. Kałuży, którego bezinteresownej pomocy Instytut Literacki także wiele zawdzięcza, Komisja Skarbu Narodowego R.P. nadała 6. 2. 1978 złoty medal Skarbu Narodowego.

4-5-78

W ramach kolokwium odbytego w Centre Georges Pompidou w Paryżu, poświęconego Kazimierzowi Malewiczowi z okazji 100-lecia jego urodzin, Ksawery Deryng wygłosił referat „Malevitch et la Pologne”.

6-5-78

Staraniem Związku Polskich Organizacji Niepodległościowych we Włoszech odbył się w Rzymie odczyt Witolda Zahorskiego pt. „Cenzura carska a cenzura PRL”.

8-5-78

Stowarzyszenie Studentów we Francji i Klub Młodzieżowy YMCA zorganizowały wieczór wspomnień gen. M. Z. Rygor-Słowikowskiego.

11-5-78

Staraniem Związku Pisarzy odbył się w gmachu POSK-u w Londynie wieczór autorski Ignacego Wieniewskiego. ■ Komisja finansowa POSK-u

podaje, że za trzy miesiące 1978 roku wpłynęło z ofiarności społeczeństwa 20.446,62 funty na POSK. ■ Biblioteka Polska w Londynie liczy w chwili obecnej 79.803 polskich lub obcojęzycznych książek dotyczących spraw polskich, 1.765 skryptów, 522 rękopisy, 210 atlasów i map, 1.078 nut, 127 płyt gramofonowych, 37.628 fotografii, 11.447 ex-librisów. Kolekcja czasopism obejmuje 4.000 tytułów periodyków polskich i obcych, z czego około 400 otrzymywanych bieżąco. Budżet Biblioteki w roku 1976 wynosił £ 16.264,65.

12-5-78

W Editions du Seuil w Paryżu ukazała się książka Kazimierza Brandysa „En Pologne, c'est-à-dire nulle part” (tytuł polski „Niereczywistość”) w tłumaczeniu Adama Lacha. W Editions Rupture ukazała się książka Tadeusza Konwickiego „Bethofantome” w tłumaczeniu B. i E. Kotalskich.

13-5-78

Fundacja Kościelskich w Genewie w roku bieżącym przyznała tylko jedną nagrodę literacką. Nagrodę tę w wysokości 3.000 fr. szw. otrzymał Piotr Wojciechowski za całokształt twórczości.

14-5-78

Prof. Leszek Kołakowski był w Sztokholmie, zaproszony przez szwedzką partię socjaldemokratyczną. W czasie swego pobytu spotkał się z Polonią szwedzką na wieczorze zorganizowanym przez miejscowy komitet PPS oraz Tow. Przyjaciół Kultury Paryskiej. ■ Polscy uchodźcy Wacław Ledwoń i Bolesław Penkalski z Malmö zorganizowali kilkudniową głodówkę przed ambasadą PRL w Sztokholmie, domagając się wypuszczenia z Polski ich rodzin. Demonstrujący wysłali list do sekretarza generalnego ONZ oraz do szwedzkiego Czerwonego Krzyża.

15-5-78

Wydane przed 100 laty powieści Karola Maya miały dotąd nakłady ponad 50 milionów egzemplarzy. W USA rozpoczęto wydanie dzieł zebranych Maya — łącznie 75 tomów. ■ W NRF nakładem Grunewald Verlag ukazała się ostatnia książka Andrzeja Micewskiego pt. „Katholische Gruppierungen in Polen. Znak und Pax 1945-1976”. Wydawcą jest komisja naukowa kręgu katolickiego „Rozwój i Pokój” niemieckiej sekcji międzynarodowej organizacji „Justitia et Pax”. A. Micewski został zaproszony przez kardynała Josepha Heffnera na 15. 4. br. w związku z wrześniowym 85-tym *Katholiken Tag* (Dzień Katolików). Micewski nie otrzymał paszportu. Prasa niemiecka twierdzi, że jest to represja za wydaną książkę. ■ W Sztokholmie powołano do życia Grupę Kontaktową Polskiego Ruchu Demokratycznego. Grupa przyjmuje deklarację Ruchu Demokratycznego z października 1977 roku za podstawę działania. Celem będzie niesienie pomocy materialnej i moralnej polskiemu ruchowi demokratycznemu oraz ułatwianie i pośredniczenie w kontaktach ze szwedzką opinią publiczną. Grupę założyli: Maria Borowska, Józef Dajczgewand, Kazimierz Gruska, Andrzej Koraszewski, Aleksander Orłowski, Henryk Rubinstein, Jakub Świąteczki, Natan Tenenbaum.

20-5-78

Jerzy Jankowski, przewodniczący Union des Fédéralistes Polonais został odznaczony srebrnym medalem *du Merite Européen*.

26-5-78

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Stefana Kisielewskiego na temat „Literatura a polityka w Polsce”.

31-5-78

W Galerii Libella w Paryżu została otwarta wystawa Stefana Ostrowskiego „Paysage polonais”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W dniach 14-16. 4. br. odbyła się w Bloomington (Indiana) doroczna konferencja slawistyczna okręgu Midwest połączona z sesją jubileuszową z okazji 20-lecia Instytutu Rosyjskiego i Wschodnioeuropejskiego przy Indiana University. Konferencja zgromadziła wielu znanych naukowców-slawistów ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, jak również specjalistów z Europy Wschodniej, bawiących w USA. Język polski był drugim najpopularniejszym językiem tej konferencji. Wśród naukowców polskiego pochodzenia w konferencji wzięli udział: Jacek Bielasiak (Indiana — Bloomington), Abraham Brumberg (Departament Stanu), Cieński (Uniwersytet Wrocławski), Samuel Fiszman (Indiana — Bloomington), Maurice Friedberg (Illinois), Aleksandra Jasińska-Kania (Uniwersytet Warszawski), Sabina Lewin (Illinois), Jerzy Krzyżanowski (Ohio), Jan Magnus Kryński (Duke University), Alicja Malecka-Moore (Chicago), Jarosław Piekalkiewicz (Kansas), Włodzimierz Rozenbaum (Indiana — Indianapolis), Andrzej Tureczyn (Indiana — Bloomington), Danuta Załuska (Chicago). ■ W dniach 28-30. 4. br. odbył się walny zjazd Polskiego Instytutu Naukowego w New Yorku. Do zarządu wybrano na trzyletnią kadencję następujące osoby: Thomas Bird — slawista z Queen's College, Tadeusz Gromada — profesor historii w City College New Jersey (sekretarz generalny P.I.N.), Jerzy Herbert-Krzywicki — profesor filozofii z Queen's College, Witold Sulimski — wiceprezydent Irving Trust Company, Bolesław Wierzbiański — redaktor *Nowego Dziennika*; ponadto drugim wiceprezesem został wybrany Ludwik Krzyżanowski — redaktor *Polish Review*. ■ 15. 4. br. staraniem Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich ukazała się Nowa Blue Book, *Official Censorship in the Polish People's Republic, April 1978*, zawierająca tajne dokumenty z biura cenzury PRL-u, wybrane, przetłumaczone i opracowane przez Studium. ■ Zmarł nagle, w wieku 72 lat, Wacław Stefan Flisiński. Przez szereg lat zbierał materiały dotyczące dziejów prasy polonijnej. Zostawił w rękopisie 5 tomów pamiątknika z czasów wojny.

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Dzięki inicjatywie i staraniom dr. Kazimierza Wodzickiego, honorowego wykładowcy zoologii na Victoria University w Wellingtonie, oraz poparci Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii, uruchomiono na tym uniwersytecie kurs literatury polskiej prowadzony przez p. Jerzego Podstolskiego. Równocześnie przy Wellington High School otwarto kurs języka polskiego, prowadzony przez p. Stefanę Zawadę. Z obu tych kursów korzystają Polacy i Nowozelandczycy. ■ Według ankiety *Tygodnika Polskiego* (Melbourne) około 1.000 osób przyjeżdża corocznie z Polski w odwiedziny do swoich bliskich w Australii; około 5.000 Polaków z Australii odwiedza co roku swój kraj macierzysty. ■ Tegoroczne — 14-te z kolei — Święto Sportowe, urządzone przez referat wychowania fizycznego Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii, zgromadziło ok. 5 tysięcy osób, a w zawodach sportowych wzięło udział 560 zawodników (w tym zawodników i drużyny z innych stanów). W konkurencjach indywidualnych pobito 8 rekordów. Przewodniczącym komitetu organizacyjnego Święta Sportowego był (od szeregu już

lat) Piotr Koziół, prezes Stowarzyszenia Lotników. Święta Sportowe w Wiktorii należą do największych imprez polskich na emigracji. ■ W australijskiej ekipie naukowo-badawczej, która powróciła z rocznego pobytu na Antarktydzie, funkcję lekarza pełnił Polak — dr Marek Podkólni, który ukończył medycynę w Londynie. ■ Staraniem Komitetu Wydawniczego Australia Felix Literary Club ukończono druk książki w języku angielskim pt. „Dr John Lhotsky — The Turbulent Australian Writer Naturalist and Explorer”. Celem tej książki jest przypomnienie zasług i pionierskich poczynąń Jana Lotskiego (ur. w 1775 roku we Lwowie z ojca Czecha) w Australii w latach 1832-1838. Książkę opracowało kilku autorów; m.in. Lech Paszkowski omawia związki Lotskiego z Polską, gdzie spędził pierwsze 17 lat swego życia. ■ Ukazujący się przez wiele lat w Sydney miesięcznik *Kurier Polski* przestał ostatecznie wychodzić. ■ Przy Związku Polaków w Hobart powstała nowa sekcja zrzeszająca emerytów. Na zebraniu obecnych było ponad 50 członków. Sekcja przyjęła nazwę „Klub seniorów” i wybrała zarząd z prezesem p. M. Januszewskim. ■ Redaktor tygodnika *Wiadomości Polskie* (Sydney), p. Jan Dunin-Karwicki, został wybrany prezesem Związku Prasy Obcojęzycznej w Australii. ■ W marcu bież. roku w Melbourne odbył się Nadzwyczajny Zjazd Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii, który wyraził zgodę na przeniesienie do Melbourne siedziby Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. ■ Stowarzyszenie Polaków Wschodnich Dzielnicy Melbourne przystępuje do budowy dużego polskiego ośrodka, kosztorys przekracza milion dolarów. Ośrodek ten obejmować ma sale imprezowe, pomieszczenia dla polskich szkół sobotnich, klub z licencją alkoholową, basen kąpielowy, korty tenisowe, boiska sportowe itp.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że 15 maja br. zmarł w Melbourne, w wieku 58 lat, Andrzej Chciuk, dziennikarz i pisarz. W „Bibliotece Kultury” ukazały się jego książki: „Smutny uśmiech” (opowiadania), „Rejs do Smithton — Stary Ocean” (obie wyczerpane) oraz „Wizyta w Izraelu” (1972). Andrzej Chciuk był laureatem nagrody *Kultury*. Wspomnienie o nim ukazuje się w jednym z najbliższych zeszytów *Kultury*. ■ Zespół muzyczno-taneczny „Tatry” w Adelajdzie obchodził 20-lecie swej pracy. Członkami tego zespołu jest młodzież szkół średnich i wyższych uczelni. W okresie swego istnienia „Tatry” miały 450 imprez scenicznych oraz ponad 100 koncertów, wykonanych we wszystkich stanach Australii. Zespół liczy około 200 osób.

KRONIKA KANADYJSKA

Komisja organizacyjna zjazdu „Polonia 78 — Polonia jutra”, który odbędzie się w Toronto w dniach 25-28 maja bież. roku przygotowała również wielką imprezę „Tydzień polski w Toronto”. W jej ramach odbędą się m.in. wystawy: prac artystów polskich zamieszkających i pracujących w Kanadzie; książek autorów polskich mieszkających w Kanadzie, opublikowanych poza Polską; prac obrazujących dorobek Polonii i jej rolę w życiu Kanady; „Kościół w życiu Polonii”; harcerską; obrazującą dzieje Wojska Polskiego poza granicami Polski; filatelistyczną; przedstawiającą rozwój Kasy Pożyczkowo-Kredytowej (Credit Union) parafii św. Stanisława i św. Kazimierza. Program przewiduje również wieczór poezji i muzyki polskiej, występy zespołów wokalnych i tanecznych. Prezydent Toronto ogłosił oficjalnie „Tydzień Polski”. ■ W kwietniu bież. roku weszła w życie nowa ustawa

imigracyjna, o którą toczyła się ostra batalia parlamentarna i pozaparlamentarna. M.in. przedstawiciele imigrantów z krajów afrykańskich i azjatyckich uważają, że głównym celem nowej ustawy jest zahamowanie tzw. „imigracji kolorowej”. Zasadniczą zmianą jest postanowienie, że otrzymanie wizy imigracyjnej uzależnione jest od udowodnienia posiadania zapewnionej pracy w określonej miejscowości. Imigrant w danej miejscowości musi pozostać co najmniej 6 miesięcy. Pracodawca zaś musi udowodnić, iż na kanadyjskim rynku pracy nie ma odpowiednio kwalifikowanego pracownika i dlatego kogoś sprowadza. Ustawa wprowadza postanowienia ONZ dotyczące uchodźców, a więc przewiduje udzielanie im azylu, gwarantując iż nie będą deportowani do krajów, w których byliby zagrożeni. Nowa ustawa przewiduje również przyjmowanie jako uchodźców osób nie podpadających pod tę definicję, a więc np. ludzi prześladowanych, którzy znaleźli się poza swoim krajem. O sprowadzenie osób tej kategorii starać się mogą nie tylko ich krewni, ale i organizacje. ■ W dniach 7-9. 4. br. na York University w Toronto odbyła się międzynarodowa konferencja religioznawcza, poświęcona prądom i Kościołom w późnym średniowieczu. Jednym z referentów był prof. Leszek Kołakowski. ■ Ostatnie roczne sprawozdanie Funduszu Wieczystego podaje, że majątek wynosił Dol. 748.662,70. Czysty dochód w roku sprawozdawczym wyniósł Dol. 68.658,31. Na różne stypendia, dotacje wydatkowano ogółem Dol. 52.025,00. Fundusz Wieczysty powstał ze zbiorów przeprowadzonej z okazji obchodów tysiąclecia Polski. Zgodnie ze statutem udziela on pomocy organizacjom oraz jednostkom na ściśle określone cele kulturalne i społeczne Polonii Kanadyjskiej. ■ W Art Gallery of Ontario w Toronto odbył się w pierwszym tygodniu kwietnia br. koncert — pra-wykonanie utworów trzech kompozytorów kanadyjskich, w tym Waltera Buczyńskiego, który jest profesorem na wydziale muzyki University of Toronto. Kompozycja Buczyńskiego spotkała się z dobrą oceną krytyków. Jest to utwór na kilka fortepianów i orkiestrę. ■ University of Western Ontario w London obchodzi 100-lecie swego istnienia. Związane z tym uroczystości rozpoczęły się w marcu br. Warto odnotować, że w gronie profesorów znajduje się 10-ciu (w tym 4-ch profesorów zwyczajnych) Polaków: dr Daria Haust (medycyna), dr Edward Nowak (katedra mechaniki), dr Florian Śmieja (język i literatura hiszpańska), dr Hubert Soltan (medycyna); ponadto wykładowcą — dr Jan Fedorowicz (historia), dr Władysław Holsztyński (matematyka), dr P. Koprowski (muzyka), dr B. E. Krzysztofiak (medycyna), dr Bolesław Lach (medycyna), dr Paulina Rusinski (wydział pielęgniarstwa). Pracuje też 13 osób pół polskiego pochodzenia. Warto zaznaczyć, że wykładowcą języka polskiego jest rdzenny Amerykanin — mianowicie dr R. K. Wilson, syn znanej powieściopisarki Mary Mc Carthy. Wielu Polaków czy osób polskiego pochodzenia zatrudnionych jest na stanowiskach nie akademickich — tj. administracyjnych. ■ W marcu br. w Banff (prow. Alberta) odbyła się druga konferencja zorganizowana przez Central and East European Studies Ass. of Canada, Central and East European Studies Society of Alberta, wydział studiów Wschodniej Europy University of Alberta (Edmonton) oraz komitet studiów sowieckich i wschodnioeuropejskich University of Calgary. Tematem obrad były m.in. zagadnienia etniczne. Wśród referentów byli m.in. Joanna Matejko, Maria Zielińska i Rudolf Kogler. ■ Dr Stanley Haidasz, poseł liberalny z Toronto, który piastował mandat od 1962 roku, został mianowany senatorem. Izba senacka składa się wyłącznie z osób mianowanych przez premiera. Posiada ona minimalne uprawnienia, a więc i minimalne znaczenie polityczne. Zasiadają w niej zasłużeni dla partii rządzącej działacze i emeryci. Przytaczając większość stanowią liberałowie, ponieważ najdłużej u steru państwowej nawy znajdowała się właśnie Partia Liberalna. Początkowo nominacje były dożywotnie, a obecnie kadencja senatorów trwa do ukończenia lat 70-ciu. ■ Zmarł w Edmonton (Alberta), w wieku 82 lat, Julian Chebda Suski,

ekonomista, który zajmował kierownicze stanowisko w administracji samorządu miasta Edmonton i zreorganizował administrację kilku miast w prowincjach zachodnich. Był on wysoko cenionym, wybitnym specjalistą administracji samorządowej. ■ W Toronto zmarł, w wieku lat 76, inż. Zbigniew Jerzy Jaworski. Był on czynnym działaczem społecznym. Przez szereg lat był prezesem Kongresu Polonii Kanadyjskiej, okręg Toronto, a następnie był w zarządzie głównym KPK. ■ Głowa Kościoła prawosławnego w USA, Metropolita Mściśław (Skrypnyk), w okresie międzywojennym poseł na Sejm R.P., obchodził w maju br. 80-lecie urodzin. Jest on Metropolita ukraińskiej autokefalicznej Cerkwi prawosławnej, a więc w tym charakterze głową ukraińskiej Cerkwi w Europie, Australii i Nowej Zelandii.

B. H.

Nowości wydawnicze

TOM 285 — KAZIMIERZ BRANDYS
SERIA « BEZ CENZURY »

NIERZECZYWISTOŚĆ

NOWA POWIEŚĆ WYBITNEGO PISARZA.

Str. 128.

Cena F. 25,00.

TOM 286 — WŁADYSŁAW GNOMACKI

TOWARZYSZ SZMACIAK

SATYRA WIERSZEM NA APARAT PARTYJNY I UB.

Str. 72.

Cena F. 20,00.

TOM 287 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY TRZECI

Zawiera m.in. prace: Kazimierza Okulicza — *O Piłsudczykach, Instytucie im. Piłsudskiego i „Niepodległości”*; St. Wójcika — *Na trzydziestolecie wyborów; Pamiętniki: T. Katelbacha i A. Mühlsteina; W. W. Kulskiego — Pamiętnik b. polskiego dyplomaty (dok.); W. Krzyżanowskiego — Lata bukareszteńskie (3); P. Korca — Przyczynek do dziejów Powstania Warszawskiego 1944; M. Malinowskiej — Cztery listy Gomułki; POLEMIKI, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 35,00.

Listy do Redakcji

Rochester, 16 kwietnia 1978.

Drogi Panie Redaktorze!

Już widzę, jak otwierając kopertę łapie się Pan za głowę: jeszcze jeden list od Czerniawskiego!

Cóż, gdybyśmy żyli w warunkach normalnych, zaprosiłbym Janinę Katz Hewetson na kawę lub porozmawiał z nią przez telefon. Ale w naszym rozproszeniu nie wiem nawet, gdzie ona mieszka i dlatego muszę rozmawiać z nią na łamach *Kultury*. O wiele ciekawsza byłaby dyskusja merytoryczna jej recenzji mojego *Wiersza współczesnego* („Książki z Londynu” w nrze kwietniowym) lecz liczę się z granicami Pana cierpliwości i dlatego poprzestaję na wynotowaniu kilku faktów.

Katz Hewetson stwierdza, że przez moją skromną książeczkę „przeziera bardzo ambitny wzór stylistyczno-mysłowy” *Miniatur krytycznych* Kijowskiego i jeszcze bardziej ambitny wzór *Prywatnych obowiązków* Miłosza. Otóż, nie znam ani jednej ani drugiej książki, choć mam na półce *Prywatne obowiązki*, gdyż na str. 133-134 jest gorzki *passus* o mnie, zaczynający się od słów: „Znalazłem taki aforyzm (Adam Czerniawski, w londyńskich *Wiadomościach*): 'Komponowanie historii literatury jest zajęciem dla szarlatanów i pedantów'. Jakby w twarz dał. Obolały i nienawistny musi to być jegomość...”

Po śmierci Gombrowicza redakcja *Wiadomości* przysłała mi ankietę zapytującą, ile miejsca w historii literatury polskiej poświęciłbym autorowi *Trans-Atlantyku*. Od dawna skłócony z obsesją *Wiadomości* szufladkowania autorów i zabaw w wykresy wielkości talentów, przygotowałem odpowiedź parodystyczno-groteskową, w której znalazł się wyróżniony przez Miłosza „aforyzm”. Wydarła go z tego specyficznego kontekstu Maria Zielińska (Danilewiczowa) i umieściła jako *motto* obszernej recenzji *The History of Polish Literature* Miłosza w tychże *Wiadomościach*. I takim to sposobem ona miała ubaw, a mnie dostało się w kość.

Kiedy mnie z kolei przyszło omówić *Historię* w czotowym tygodniku angielskim, podsumowałem dokonanie Miłosza następująco: „Miłosz jest nie tylko jednym z najlepszych polskich poetów i natchnionym tłumaczem poezji brytyjskiej i amerykańskiej, jest on także eseistą, powieściopisarzem i krytykiem obdarzonym żywym wyczuleniem na sprawy społeczne, polityczne i ideologiczne; tak więc wprowadza dużą rozpiętość horyzontów i niezależność ocen do swego obrazu literatury polskiej”.

Wiele stron zaczerpnęłam po polsku i po angielsku równie „nienawistnymi” opiniami o twórczości Miłosza. Ma więc zupełną rację, że jestem w rezultacie nieco „obolały” od jego reakcji na moje panegiryki.

Po tej „dygresji” wracam do Janiny Katz Hewetson. Martwi mnie konserwizm myślowy i nieufność wobec rzeczy nieznanymi, który skłania ją do konkluzji, że „*Wiersz współczesny* cierpi na nadmiar nazwisk”. Szczególnie drażni ją nieznaną jej zupełnie Gottlob Frege. Mniejsza już o to,

że w kontekście samo nazwisko nie jest tak bardzo ważne, gdyż w paru słowach streściłem interesującą mnie tezę Fregego, tak że na dobrą sprawę mógłbym go nazwać Iksińskim; o wiele bardziej przygnębiająca jest niechęć Katz Hewetson do zajązżenia do encyklopedii, by się czegoś o tym Fregem dowiedzieć. Bo przecież chyba do podstawowych podniet lektury zaliczyć musimy nieoczekiwane spotkania z autorami, dziełami i dziedzinami nauk, mało lub zupełnie nam nieznanymi, które zachęcają nas do nowych przygod intelektualnych i estetycznych. Gdyby Katz Hewetson oddała się lekturze w tym duchu, natknęłaby się na moją *Lirykę i druk*, gdzie znalazłaby brakujące jej w *Wierszu współczesnym* omówienie „Kamyka” w znamiennej zatytułowanym eseju „Kamienna muzyka Zbigniewa Herberta”; oraz na Andrzeja Buszę, którego poezję Pan, Panie Redaktorze, lansuje, a którego ona uważa za postać niemalże przeze mnie zmyśloną.

Katz Hewetson widzi swą recenzję jako logiczną kontynuację omówienia mojego *Aktu* pióra M. Brońskiego (*Kultura* z listopada 1976), gdyż obie książki okazują się być przypadkowym chaotycznym zlepkiem, którym brak porządkującej myśli przewodniej. Tu więc objawem inercji recenzentki jest gotowość polegania na cudzej opinii i to, co gorsza, niedoczytanej do końca. Broński rzeczywiście wyraża początkowo obawy, że książce brak strukturalnej jednolitości, ale jego konkluzja tym wstępnym obawom kategorycznie przeczy: „Czerniawskiego ratują ze szponów *irrelevance* (brak na to wygodnego słowa polskiego) te same przymioty, które w swoim czasie uratowały Witkacego: obsesja filozoficzna i humor, czyli w ostatecznym rachunku elementy porządku, przeczucia, most między autorem a czytelnikami. Obsesja autora *Aktu* jest czysto witkacowska i w terminologii tego ostatniego nazywa się Problemem Tożsamości Jednostki Poszczególnej”. I żeby uniknąć dalszych nieporozumień, stwierdzam, że twórczości Witkacego tak dobrze jak nie znam, ale że jeśli Broński uważa, że udało mi się stworzyć *in parvo*, coś, co daje się porównać z dorobkiem Witkacego, nie zgłaszam sprzeciwu.

Łączę pozdrowienia i wyrazy prawdziwego szacunku,

Adam CZERNIAWSKI

Rosario, 1 maja 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* nr 4/367 z kwietnia br. Brukselczyk podaje, że prof. Lwoff przemawiając w Belgradzie proponował zbojkotowanie Światowego Kongresu Kancelorogów w Buenos Aires stawiając znak równania odnośnie stosunków panujących w Argentynie i ZSSR. Również z tych powodów pisarz francuski J. F. Revel sugeruje „bojkot tegorocznych mistrzostw świata w piłce nożnej też w Argentynie i Olimpiady roku 1980 w Moskwie”.

Argentyńnię zamieszkuje od lat 30, należę do kilku Towarzystw, jestem prezesem polskiego towarzystwa F.F. Chopina, od 8 lat prowadzę polską godzinę radiową i uważam za mój obowiązek, w imię prawdy podkreślić, że w kraju obecnego mego miejsca zamieszkania korzystamy z pełnej wolności stowarzyszania się, bez uprzedniego zawiadamiania władz, prowadzenia w języku ojczystym zebrani, protokołów, ksiąg kasowych etc. Moje audycje radiowe wygłasza moja współpracowniczka p. M. Pawełek lub ja bezpośrednio do mikrofonu. Nadto urzędowa rozgłośnia Radio Nacional Rosario stawia do mej dyspozycji zupełnie bezpłatnie swe aparaty i urządzenia. Podobnie przedstawiają się te sprawy w innych grupach narodowościowych i innych środowiskach polskich.

Jakże można tę wolność stowarzyszenia się i wolność słowa porównywać z ZSSR. Wątpię też bardzo czy z takiej wolności moglibyśmy korzystać w jakimkolwiek innym kraju z Francją włącznie. Mam wrażenie, że o powyższym powinni również wiedzieć czytelnicy pisma Panów.

Łączę wyrazy poważania,

Juliusz DZIANOTT

P. Dzanott nie bierze pod uwagę że prof. Lwoff domagając się bojkotu Argentyny nie porównywał stosunku Argentyny i ZSSR do problemu narodowościowego ale miał na uwadze terror policyjny na odcinku polityczno-społecznym, skrytobójcze morderstwa, i tolerowanie powszechnie stosowanego systemu tortur. Możemy tylko zaproponować, by p. Dzanott zapoznał się choćby tylko z raportami *Amnesty International*. (Redakcja).

London, 17 kwietnia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze *Kultury* zostało wydrukowane zakończenie wspomnień Zdzisława Bau „Salus” i konspiracja Klimkowskiego. W zakończeniu, gdy mowa jest o czterech wysłannikach organizacji „Muszkietierów” którzy przyszli z kraju do Buzułuku, znajduje się zdanie: „Wiemy z dokumentów Armii Krajowej, że byli to łaśi na pieniądze awanturnicy, współpracujący ze wszystkimi wywiadami, używani do specjalnych zadań przez gestapo”. Uwaga ta odnosi się do tych czterech wysłanników i wymienione jest w teście nazwisko por. Szatkowskiego.

Muszę zgłosić jak najbardziej zasadnicze zastrzeżenie do tego sformułowania i do tej opinii. Na jakie dokumenty Armii Krajowej powołuje się Zdzisław Bau? Znam je dosyć dobrze i muszę stwierdzić, że nie znam takich, które by zawierały informację, że ci czterej wysłannicy byli agentami gestapo „do specjalnych zadań”. Na pewno sama misja była ryzykowna i błędnie zaplanowana, ale po pierwsze wszyscy czterej trafili do rąk sowieckich i dopiero później zostali oddani w ręce sztabu gen. Andersa, a po drugie kto zaręczył czy mikrofilmy nie zostały im podrzucone przez NKWD. Pomiędzy lekkomyślną wyprawą a wysługiowaniem się gestapo jest bardzo wielka różnica. Wiem z pewnego źródła, że rtm. Czesław Szatkowski, oficer służby stałej 10-go pułku ułanów, którego znałem przed wojną, powrócił po wojnie do kraju, że siedział w więzieniu Bezpieki i że zachowywał tam postawę godną. Informacje Zdzisława Bau noszą znamiona oszczerstwa.

Z wyrazami poważania i szacunku,

Józef GARLIŃSKI

Nowy Jork, maj 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście swoim z 17 kwietnia br. dotyczącym mego artykułu w kwietniowym numerze *Kultury* pt. „Salus” i konspiracja Klimkowskiego” pyta p. Józef Garliński, na jakie dokumenty Armii Krajowej się powołuję twierdząc, że Muszkietierzy „byli to łaśi na pieniądze awanturnicy, współpracujący ze wszystkimi wywiadami, używani do specjalnych zadań przez gestapo”. Odpowiem na to tylko tymi cytatami z dokumentów AK dotyczących

Muszkietierów, które są związane z przytoczonym przez p. Garlińskiego zdaniem z mego artykułu:

„... Miarą dziwnych i nieostrożnych metod stosowanych przez organizację Muszkietierów jest jej wiązanie się z wywiadem niemieckim i sowieckim z chęcią spieniężenia wymiany wiadomości i usług.

Te bardzo dwuznaczne stosunki kapitana Muszkietierów (Stanisława Witkowskiego pseudo Tenczyński — dopisek mój) z gestapo i GPU... nakazywały mi podchodzić do kapitana Muszkietierów i jego organizacji z największą ostrożnością, czemu dałem wielokrotnie wyraz ostrzegając Rakonia (generała Roweckiego — dopisek mój) i Korczaka (generała Komorowskiego — dopisek mój)”.
(Z raportu gen. Sosnkowskiego do gen. Sikorskiego z 28 listopada 1940. Tom I „Armia Krajowa w dokumentach”, str. 355).

„Jak meldowałem Nr 118 organizacja Muszkietierów została wcielona do PZP (kryptonim Armii Krajowej — dopisek mój).

Wobec systematycznych prób wyłamywania się, prowadzenia dwuznacznej gry z kontrwywiadem niemieckim, gestapo i wywiadem angielskim i sowieckim, uchylania się od kontroli finansowej i organizacyjnej, wreszcie wobec kilkakrotnie stwierdzonych prób fingowania wiadomości dla uzyskania pieniędzy — usunąłem Tenczyńskiego ze stanowiska komendanta Muszkietierów przenosząc go do rezerwy...

... zarządziłem rozwiązanie organizacji Muszkietierów i przekazanie wszystkich służących w niej żołnierzy do mojej dyspozycji od dnia 1. X. 1943. Tenczyńskiego oddałem pod sąd, który skazał go na śmierć. Wyrok zatwierdziłem.

W międzyczasie został on zabity na rozkaz niemieckiego szefa kryminalnej policji, z którym Tenczyński miał powiązania na tle afer bandycko-lapówkowych.

Według wiarygodnych informacji, przyczyną tego pociągnięcia było, że Tenczyński w lecie 1942 związał się na odcinku przeciw komunistycznym z kontrwywiadem gestapo i zaczął tymi stosunkami szantażować kryminalną policję”.

(Z Meldunku Specjalnego gen. Roweckiego do Centrali z dnia 2 czerwca 1943, Tom III „Armia Krajowa w dokumentach”, str. 27 i 28).

Jak w świetle tych cytatach wygląda twierdzenie p. Józefa Garlińskiego, że przytoczone przez niego zdanie z mego artykułu nosi znamiona oszczerstwa? Pan Garliński, który uważa się za historyka wojennego podziemia, twierdzi w swym liście, że dokumenty AK zna dość dobrze. Ośmielał się być przeciwnego zdania.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Zdzisław BAU

Toronto, 1 maja 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uwagi Zubrzyckiego o asymilacji i wielokulturowości, w kwietniowym numerze *Kultury*, jak wszystkie uwagi tego typu, o pretensjach naukowych czy pseudonaukowych, może wnoszą coś do teoretycznego, „papierowego” dorobku w tej dziedzinie, w praktyce — przypuszczam — sankcjonują teorie nie pokrywające się z życiem. Bo inaczej wygląda wielokulturowość na papierze i w sloganach chętnie powtarzanych za politykami przez pisma i organizacje etniczne, a inaczej w praktyce, o czym badacze często nie chcą lub nie mogą wiedzieć, zbywani najczęściej milczeniem, przez przesadnie eksploatowany dziś „teren”.

Ta pierwsza, propagandowa i polityczna podszywka wielokulturowości, nie zdała, nie zdaje i nigdy, moim zdaniem, nie zda egzaminu, gdyż wywodzi się z fałszywych przesłanek i apeluje do większości w grupach etnicznych i ich organizacji — do mas — których byt był i będzie oparty na pseudo kulturze, tak w kraju urodzenia, jak i osiedlenia, czego dowodem są właśnie — jak to Zubrzycki podkreślił — różne „wybryki kulturalne”, a więc: dzieci w strojach narodowych, dzieci w tańcach ludowych, dzieci w szkołkach polskich, które traktowane marginesowo, zabierają niepotrzebnie czas, w przyszłości zniechęcają ich uczestników do wszystkiego co polskie. Ponad 30 lat spotykałem się z tym zagadnieniem codziennie wśród Kanadyjczyków polskiego pochodzenia i muszę stwierdzić iż osoby o pozytywnym stosunku do polskości, nie zawdzięczały jej naszym szkołkom polonijnym, czy tańcom lub strojom ludowym.

Tu — odbiegając od tematu — chciałbym przytoczyć fakt, dość rozpowszechniony w naszym torontońskim środowisku, iż bardzo często wśród nowej emigracji, rodzice z wyższym wykształceniem, nie pozwalają dzieciom uczyć się po polsku, dbając w ten sposób o czysty angielski akcent i dobrze płatne w przyszłości stanowiska.

Drugi przykład: Związek Inżynierów i Techników Polskich w Toronto od lat urządza raz do roku wystawny bal w luksusowym hotelu i to był właściwie jego jedyny wysiłek kulturalny. Z czasem dopiero, podczas wewnętrznych zebrań, wprowadzono różne pogadanki i odczyty, raczej dokształcające i zawodowe, czasami z ukłonem w stronę kraju, dając możliwość krajowym prelegentom mówienia o niczym. Bo omijanie w takich warunkach rzeczywistości politycznej, polipa który uśmierca naród, jest bolesnym banałem.

Wracając do samego zagadnienia, do wielokulturowości, to ładnie ono wygląda w statystykach, w ustach polityków, zwłaszcza w przedwyborczych ich przemówieniach, w wypowiedziach i nagonkach ich etnicznych suflerów, czemu nie należy się dziwić, gdyż człowiek jest człowiekiem i wśród wron, kracze jak i one, ale gdy zabieramy się do obiektywnej analizy, należy traktować je *cum grano salis*.

Polityka wielokulturowości w Kanadzie nie jest nowa, jest tylko nowy jej urzędowy stempel. Od mego przyjazdu tu, a chyba i wcześniej, grupy etniczne miały „wolną rękę” w działalności kulturalnej na rzecz kraju pochodzenia. Muszę przyznać iż w tamtym, powojennym okresie, w ciężkich na ogół warunkach materialnych, bo na dorobku, życie kulturalne w grupie polskiej w Toronto było bardziej żywiołowe i wielopłaszczyznowe, sięgało do istotnych elementów naszej kultury i głębiej niż obecnie.

Bo, bądźmy szczerzy, wielokulturowość to konik kanadyjski, powołany do życia dla wygody i prosperity partii politycznej, rządzącej obecnie Kanadą.

Czy ktoś naprawdę wierzy że ministrowi od wielokulturowości w Ottawie, który z całą pewnością nie orientuje się w kulturalnym oficjalnym dorobku swego kraju, zależy na tym, by — powiedzmy — polska grupa etniczna miała prawdziwy teatr, prawdziwe muzeum, wydawnictwa w języku polskim, polską a nie polonijną prasę, itd., itd.? O ile byłoby tak w rzeczywistości, to dla czego ministrem od wielokulturowości zrobiono laika Anglosasa, dobrze widzianego przez Premiera, a nie posła Haidasa, jedyną w rządzie federalnym osobą predestynowaną na to stanowisko? Doskonale orientował się on w grupach etnicznych z których wyszedł i które wybrały go na swego reprezentanta w Ottawie. Nie tylko że Haidasowi nie dano tego stanowiska, ale ostatnio usunięto go od działalności politycznej w rządzie, przenosząc na senatorską synekurkę.

Nie neguje iż Ottawa oficjalnie popiera i finansuje wielokulturowość, twierdząc jednak — i to z pełną świadomością — iż pod jej płaszczykiem,

Ottawa kupuje sobie głosy wyborców, że prześwieca jej nie wzrost kulturalny grup etnicznych, a polityczny miąż trwania u władzy.

Zubrzycki nie wspominał, bo może nie zauważył, szkodliwych skutków oficjalnej polityki wielokulturowości. Rozdzielane sumy i zapomogi stwarzają animozje, rozgoryczenia a nawet antagonizmy wśród grup i organizacji etnicznych, tych mniej faworyzowanych od bardziej. Bo w takich warunkach będą zawsze „pokrzywdzeni”. Możliwe iż komuś zależy na tych niesnaskach, których źródeł należy szukać w politycznym rozgardiaszu spowodowanym ostatnią wojną. Odnawiane, żyją wśród nas i na razie nie ma nadziei na harmonijną współpracę grup etnicznych.

Pieniądz jest niebezpiecznym argumentem, zwłaszcza w społeczeństwie tak zmaterializowanym jak kanadyjskie, gdzie nie jest on środkiem a celem.

Dzięki wielokulturowości mnożą się na papierze „organizacje”, powstają grupy i związki o wyssanych z palca programach, aby tylko podłapać zapomogę czy grant. Wychodzą na wierzch niesyte ambicje graniczące z nieuczciwością, na które polityka wielokulturowości patrzy przez palce, bo mają one swoje usprawiedliwienie na papierze. Czy w tych warunkach można mówić o dojrzewaniu kulturalnym i moralnym społeczeństwa, gdy w dodatku sam rząd stara się zatuzować milionowe malwersacje z których przed obywatelami nie może się wyliczyć?

Nic dziwnego że do tak zwanej pracy społecznej garną się dziś karierowicze, osoby szukające różnych stanowisk, nawet naukowych i nie też dziwnego że w tych warunkach osoby o wewnętrznym moralnym standardzie, są wprawdzie wśród Polonii ale pracują w całkowitym odosobnieniu. Nie dostrzegają ich i ignoruje, własne środowisko etniczne.

Jaskrawym przykładem jest przygotowywany na maj zjazd: Polonia Jutra 1978, idea godna poparcia ale spłycona.

W tym tak szeroko zaplanowanym zjeździe, nie ma zupełnie miejsca w dziale kulturalnym dla tak ważnego jego rozdziału, jakim jest literatura emigracyjna. Wśród nazwisk organizatorów i reprezentantów nie ma nazwiska ani jednego pisarza czy artysty emigracyjnego o dorobku międzynarodowym.

Łączę wyrazy poważania,

Wacław IWANIUK

17 kwietnia 1978.

Drugi Panie Redaktorze,

Cieszę się z ukazania w marcowym numerze *Kultury* recenzji z mej bibliografii czasopism, i wyrażam wdzięczność Pani Marii Danilewicz-Zielińskiej, że zajęła się tą uciążliwą pracą. Recenzja zawiera wszakże dwie nieścisłości, które chciałbym tutaj naświetlić, celem uniknięcia przyszłych nieporozumień. Jedna z nich dotyczy „skomplikowanych kryteriów geograficznych”, które rzekomo w swej pracy zastosowałem, druga odnosi się do stanu depozytów prasy w naszych bibliotekach.

Otóż, stosownie do zasad i praktyki bibliograficznej na całym świecie, przyjąłem przy ustalaniu „zagraniczności” polskich druków, te granice polityczne, jakie istniały w czasie ukazywania się danego druku, co wyraźnie zaznaczyłem we wprowadzeniu do mej książki. Ponieważ zajmuję się okresem historii, w którym granice polityczne państw zmieniały się często i wielokrotnie, stąd w adresach wydawniczych odnosnych druków figurują nazwy: Wilna, Wilnius, Lwów, Lemberg, Posen, Litzmannstadt, Český Tešín, itp., z dodatkiem polskiej nazwy w nawiasie. Kocham Wilno i Lwów w nie mniejszym stopniu niż to czynią urodzeni tam rodacy, niemniej nie na to nie poradzę, że zajmuję się tymi miastami w czasie, kiedy znajdowały

się one (czy też nadal się znajdują) poza oficjalnymi granicami Polski. Podobnie postępują wszyscy zagraniczni, a także polscy bibliografowie, że podam dla przykładu specjalistkę Dr. Kazimierę Tatarowicz, która w swoim znakomitym dziele *Katalog Poloników periodycznych wydanych zagranicą do roku 1939*, ogłoszonym przez Uniwersytet Jagielloński, pisze: „...przyjęto za zagraniczne te ziemie, które nie leżały w danym czasie w oficjalnych granicach państwowych...” (Podkreślenie moje — J.K.).

Musimy stosować się do jakichś zasad, i używać przyjętą terminologię. Rozpracowywanie, klasyfikowanie i analizowanie polskich periodyków zagranicznych, jest zagadnieniem tak zaniedbanym i skomplikowanym, że wprowadzanie dodatkowych elementów natury psychologicznej (owe „zgrzyty” w indeksach topograficznych) do dyskusji metodologicznej, uważam raczej za niewskazane. W myśl tej samej zasady wprowadziłem pisma ziomkostw niemieckich w zakres poloników. Pisma te (znane mi z autopsji) zajmują się geografiami, folklorem oraz społeczno-kulturalną rzeczywistością tych obszarów, które znajdują się dzisiaj w granicach oficjalnych Polski Ludowej. Znawcą przedmiotu zauważy, że opuściłem wszystkie wydawnictwa ziomkostw, które zajmują się wyłącznie prawnopolitycznym teoretyzowaniem, lub partyjno-organizacyjnymi dyskusjami, gdyż nie uważam ich za autentyczne *Heimatblätter*.

Druga moja uwaga jest raczej reakcją obronną na zarzut Recenzentki, która pisze, że Kowalik: „nie informuje jednak czy jest to adres kompletu danego pisma, a nie czekając na odpowiedź mogę poświadczyć, że 'nie'...”. Owszem, informuję wyraźnie, gdy napisałem we wstępie: „*The extent of these holdings could not be furnished*”.

Wreszcie sprawa raczej delikatnej natury. Recenzentka dziwi się że w kontekście mej książki brak wzmianki o konsultowaniu „takiego znawcy prasy emigracyjnej jak prof. Leon Koczy”. Pominąwszy fakt, że sprawa konsultowania tego czy innego specjalisty powinna pozostać sprawą raczej osobistego wyboru danego badacza, warto się zastanowić, czy nie zachodzą implikacje innej natury. Do konsultacji trzeba co najmniej dwu ludzi. Byłem tylko jednym z nich.

Uwagi niniejsze są wyłącznie wyrazem chęci zapobieżenia zwiłokrotnianiu się nieporozumień. Nie chcę nim nikogo dotknąć, ani umniejszać znaczenia czyjejkolwiek pracy. Panią Danilewicz, którą wysoko cenię zarówno za literacką jak i naukową działalność, chcę zapewnić o mej wdzięczności, gdyż razem z śp. Ireną Gałęzowską, była wielką pomocą przy uzupełnianiu i sprawdzaniu szczegółów bibliograficznych w mej pracy. Pragnę jej również pogratulować wzorowego stanu zbiorów periodyków, który zastałem w prowadzonej przez nią bibliotece. Gdyby tak wszędzie było, byłbym mógł pod każdym ulokowanym tytułem pisma podać inventurę stanu posiadania, stwarzając za jednym zachodem, bibliografię i zarazem katalog centralny polskiej prasy za granicą. Tak jak sprawy stoją, musimy jeszcze z pięćdziesiąt lat na to poczekać, a szkoda.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Jan KOWALIK

14 maja 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do artykułu „Polonia amerykańska — wielka niewiadoma” (*Kultura* nr 5/1978) zakradł się chochlik drukarski i z lekka przeinaczył kilka słów. Na str. 78 słowo „przybywa” powinno brzmieć „przebywa”. Chodzi o 300 księży z Polski, przebywających w Ameryce, a o nie przyjeżdżających.

Na str. 74 zdanie: „Haiman omówił w swej księdze na 75-lecie Z.P.R.K. właściwe dzieje całej Polonii” zatraciło sens. Miało być: „...omówił właściwie dzieje całej Polonii”. Chodzi o podkreślenie faktu, że choć tytuł odnosi się tylko do dziejów jednej organizacji, to treść wykracza poza ramy tego tematu i jest właściwie historią całej Polonii.

Do przypisku 11 na stronie 70 należy dodać, że wysokie koszty opłać: 3.500 dolarów trzeba liczyć miesięcznie, a nie na cały rok. Razem opłatą za elektryczność daje to miesięcznie — co najmniej od listopada do marca włącznie — po pięć tysięcy. Jest to suma okrągło licząc o 1.500 dolarów wyższa niż w roku poprzednim. Tyle samo a nawet więcej płać parafie za ogrzewanie kościołów i szkół. Jest to poważny uszczerbek obciążający finanse parafialne.

Przy sposobności warto dodać, że mimo wszystko robi się wysiłki i szuka się sposobów na ożywienie i ratowanie placówek duszpasterskich. Sprowadzono kilku, a planuje się sprowadzenie więcej księży z Polski, są starania o tworzenie nowych form duszpasterskich. W St. Petersburg na Florydzie powstał ośrodek duszpasterski dla osiedlających się tam emerytów.

Artykuł może robić wrażenie pesymistyczne, dlatego proszę Czytelników by nie przeoczyli zdania na str. 68, gdzie jest powiedziane, „że skoro nie pisano nigdzie o jakichś krachach i katastrofach parafialnych, więc prawdopodobnie sprawy toczą się mniej lub więcej normalnie”. Podkreślam też, że pisząc o najnowszych emigrantach wyraziłem się że tylko „pewna ich liczba stroni od polskich parafii”, a nie wszyscy (str. 75). Niektórzy, należąc do parafii amerykańskich, nadsyłają od czasu do czasu całkiem dobrowolnie ofiary do parafii polskich, jako że z nich choć od święta korzystają, a inni popierają program radiowy O. Korneliana i Amerykańską Częstochowę.

Gdy chodzi o dochody parafii (str. 76) trzeba dodać, że spore sumy pochodzą nie z niedzielnych „kolekt”, lecz także z imprez urządzanych przez towarzystwa parafialne (bingo, bazary, rozgrywki). Starsi parafianie byliby radzi, gdyby w ich urządzeniu brali udział nowi przybysze, nie mówiąc już o zaciąganiu się w tego rodzaju szeregi organizacyjne.

Z wyrazami czci,

X.W.S.

SPOSTOWANIE

Redakcja *Kultury* wyjaśnia, iż do notatki opublikowanej w nr. 4/367 (kwiecień br.) pt. „Spotkanie z przedstawicielami Polonii Amerykańskiej w Białym Domu” na str. 94 (wiersz pierwszy od góry) zakradł się błąd. Zamiast zwrotu „...jednego z dezertów Drugiej Wojny Światowej” powinno być — „...jednego z dezertów Drugiej Wojny Światowej”. Wyjątkowy charakter sprawy Eddie Slovika polegał właśnie na tym, że nie był on jednym z dezertów, na którym wykonano wyrok, ale — jedy-
nym.

Dokumenty

29 kwietnia 1978.

DEKLARACJA KOMITETU ZAŁOŻYCIELSKIEGO WOLNYCH ZWIĄZKÓW WYBRZEŻA

Ruch związkowy w Polsce przestał istnieć ponad 30 lat temu. Likwidacja PPS, PSL i innych niezależnych reprezentacji społecznych, przy dokonanej w 1947 roku centralizacji związków zawodowych, doprowadziła do przekształcenia związków zawodowych w przedstawiciela monopolistycznego pracodawcy, a nie pracowników. PZPR uczyniła działalność związków zawodowych przedłużeniem swojej struktury i posłusznym narzędziem zorganizowanego wyzysku wszystkich warstw społecznych. Społeczeństwo pozbawione naturalnych i niezbędnych form samoobrony bronić się mogło jedynie żywiołowo. Gwałtowne wybuchy społecznego niezadowolenia powodowały zawsze groźbę rewolucji o nieobliczalnym przebiegu i konsekwencjach. Poznań - 56, Marzec - 68, Wybrzeże - 70, Czerwiec - 76. Władze cofając się niekiedy (Czerwiec - 76), czy dokonując taktycznych zwrotów (1956, Grudzień - 70) okazały się niezdolne do demokratyzacji życia społecznego. Niezdolność ta doprowadziła do pogłębiającego się z dnia na dzień kryzysu gospodarczego i społecznego, doprowadziła do kryzysu państwa. Szeroka demokratyzacja jest dzisiaj absolutną koniecznością. Społeczeństwo musi wywalczyć sobie prawo do demokratycznego kierowania swoim państwem. Wszystkie jego warstwy muszą zdobyć możliwość samoorganizacji oraz tworzenia instytucji społecznych rzetelnie realizujących ich prawa. Tylko autentyczne związki i stowarzyszenia społeczne mogą uratować państwo, bo tylko poprzez demokratyzację prowadzi droga do scalenia interesów i woli obywatela z interesem i siłą państwa. Zadania te realizują istniejące instytucje społeczne takie jak Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Towarzystwo Kursów Naukowych, czy Studenckie Komitety Solidarności.

Pamiętając tragiczne doświadczenia grudnia 1970, opierając się na oczekiwaniach licznych grup i środowisk społeczeństwa Wybrzeża, podejmujemy ślaską inicjatywę tworzenia wolnych związków zawodowych. Dziś w przededniu 1 maja, święta od ponad 80 lat symbolizującego walkę o prawa robotnicze, powołujemy Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża.

Celem Wolnych Związków Zawodowych jest organizacja obrony interesów ekonomicznych, prawnych i humanitarnych pracowników. Wolne Związki Zawodowe deklarują swą pomoc i opiekę wszystkim pracownikom bez różnicy przekonań czy kwalifikacji.

Komitet Założycielski działa jawnie przez swych przedstawicieli pozostawiając swym współpracownikom i sympatykom swobodę decyzji i wypowiedzi.

Identyfikując się z założeniami pisma *Robotnik*, w nim oraz we własnych wydawnictwach informować będziemy o naszej pracy.

Wzywamy wszystkich pracowników: robotników, inżynierów i urzędników do tworzenia niezależnych przedstawicielstw pracowniczych. Droga do celu prowadzić może również poprzez wprowadzanie do Rad Zakładowych

niezależnych działaczy, którzy reprezentować będą wyborców uczciwie, broniąc ich interesów. Chcemy, aby nasza inicjatywa stała się bodźcem do różnorodnych, niezależnych działań społecznych.

Zwracamy się o poparcie i szeroką informację o naszej inicjatywie do niezależnych instytucji społecznych.

Wzywamy wszystkich do solidarności w walce o lepszą przyszłość.

Za Komitet Założycielski:

Andrzej GWIAZDA — GDANSK, ul. Wejhera 3 c m. 118.

Krzysztof WYSZKOWSKI — GDANSK, ul. Pomorska 14 b m. 1.

Antoni SOKOŁOWSKI — GDANSK.

RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA w Polsce

13 maja 1978.

OŚWIADCZENIE

Młodzież akademicka, podejmująca samorządową działalność niezależną od totalizujących poczynąń SZSP, podejmująca kształcenie się w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych zorganizowane niezależnie od upartyjnionych programów uniwersytetów, pozbawiona wolności naukowej — poddawana jest najrozmaitszym represjom, włącznie z usuwaniem z uczelni. Tak więc niezwykle cenne społecznie dążenia młodzieży do prawdziwej samorządności studenckiej, do poszukiwania prawdy, napotyka ją niejednokrotnie ze strony władz uczelni na donos policyjny, inwigilacje służby bezpieczeństwa a nawet relegację aktywniejszych studentów z uczelni.

W lipcu 1977 roku bezpodstawnie został skreślony z listy studentów Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie — Maciej Grzywaczewski. Jesienią 1977 roku relegowany został z Akademii Rolniczej w Krakowie — Ziemowit Pochitonow. W obronie obu studentów stanęli zarówno pracownicy naukowi, jak i młodzież akademicka. Listy protestacyjne podpisane przez kilkuset studentów zostały skierowane do obydwu rektorów. Mimo to nie odniosły one skutku.

Szczegółowe zaniepokojenie budzi fakt, że po raz pierwszy tego rodzaju represja spotkała studenta uczelni katolickiej. Rektor ATK, ks. Jan Stępień, do dziś nie udzielił M. Grzywaczewskiemu odpowiedzi na jego odwołanie. Interwenującym odpowiadał — niezgodnie ze stanem prawnym i faktycznym — najpierw, że decyzja należy do Wielkiego Kanclerza ATK — Prymasa Polski, gdy zaś Ksiądz Prymas stanął w obronie relegowanego oświadczył, że sprawa jest rozpatrywana przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Urząd d/s Wyznań. Okazało się to nieprawdą. Następną reakcją ks. Stępnia było wypowiedzenie umowy o pracę z mgr. Hanną Grabińską — lektorką języka angielskiego w ATK — aktywnie broniącą relegowanego studenta.

Sprawa Macieja Grzywaczewskiego, ciągnąca się od 10 miesięcy wykazała, że ks. rektor Jan Stępień stanął również w rzędzie tych, którzy policyjnymi i administracyjnymi metodami represjonują rzeczników samorządności studenckiej. Podkreślamy, że niezrozumiała uległość rektora ATK wobec służby bezpieczeństwa połączona z lekceważeniem przez niego zasad sprawiedliwości, przepisów o trybie studiów, jak również obojętnością wobec głosu Wielkiego Kanclerza ATK i głosu pracowników naukowych i społeczności studenckiej, nie może rzucić cienia na Kościół w Polsce, który heroicznie broni praw człowieka w życiu naszego narodu, nie dopuszczając do skazania swojej misji poprzez nieuprawnione wtargnięcie służb policyjnych i admi-

nistracyjnych pomiędzy Kościoła a naród. Represje, których doznaje Maciej Grzywaczewski są dlatego przypadkiem szczególnym i drastycznym — że pochodzą one od duchownego. Duchowni, czyniący niesprawiedliwość zjawiali się czasem w życiu naszego narodu, byli oni jednak przypadkami wyjątkowymi.

Zaniepokojeni tym faktem — w imieniu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce — apelujemy do władz Akademii Teologii Katolickiej, ażeby zaprzęstały represjonowania Macieja Grzywaczewskiego i przywróciły go na listę studentów tej uczelni, zacierając cienie, który kładzie się na tej uczelni. Apelujemy również do władz Akademii Rolniczej w Krakowie, ażeby uchyliły relegację Ziemowita Pochitonowa.

Marian BOGACZ, Warszawa; Andrzej CZUMA, Warszawa - Włochy; Benedykt CZUMA, Łódź; Elżbieta CZUMA, Szczecin; Piotr DYK, Gdańsk; Grzegorz GRZELAK, Gdańsk; Aleksander HALL, Gdańsk; Zdzisław JAM-ROŻEK, Lublin; Józef M. JANOWSKI, Zduńska Wola; Kazimierz JANUSZ, Warszawa; Stefan KACZOROWSKI, Łódź; Janusz KRZYŻEWSKI, Warszawa; Roman KŚCIUCZEK, Mysłowice; Stanisław KUSIŃSKI, Przemyśl; Emil MORGIEWICZ, Warszawa; Tomasz MRÓZ, Lublin; Andrzej NAS-TULA, Lublin; Marek NIESIOŁOWSKI, Łódź; Wiesław PARCHIMOWICZ, Szczecin; Marian PIŁKA, Lublin; Arkadiusz RYBICKI, Gdańsk; Jan SAM-SONOWICZ, Gdańsk; Zbigniew SIEMIŃSKI, Łódź; Marek M. SKUZA, Warszawa; Restytut M. STANIEWICZ, Poznań; Edward STANIEWSKI, Warszawa; Bogumił STUZIŃSKI, Zalesie Górne; Kazimierz ŚWITON, Katowice; Piotr TYPIAK, Warszawa; Stanisław WITER, Lublin; Adam WOJCIECHOWSKI, Warszawa; Andrzej WOZNICKI, Łódź; Wojciech ZIEMBIŃSKI, Warszawa.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Jak się dowiadujemy, ok. 250 tys. rolników złożyło odwołania od wymiaru składek emerytalnych. Wywołało to panikę władz terenowych. Pozytywnym rezultatem tych nastrojów są korzystne dla rolników interpretacje niektórych przepisów ustawy. Fakt ten wskazuje na skuteczność masowych, nawet spontanicznych akcji. Obywatele powinni wyciągnąć z tego wnioski.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 282 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom II

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom II-gi jest poświęcony odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II-giej Międzynarodówki.

Str. 544.

Cena F.110,00.

Tom I-szy — zawierający 432 strony kosztuje F.75,00.

TOM 283 — WITOLD GOMBROWICZ

„DZIEŁA ZEBRANE”

Tom XI

WSPOMNIENIA POLSKIE

WĘDRÓWKI PO ARGENTYNIE

Teksty znalezione w pośmiertnych papierach Autora.

Str. 256.

Cena F. 55,00.

WPLATY NA ROPCio

(Dalszy ciąg Wpłat ze str. 2-giej)

Z. Bilicz, Fridrikstad (Norwegia)	F. 40,00
Tadeusz Brzostek, Paryż	F. 100,00
Bezimiennie z Torremolinos — Malaga (Hiszpania)	F. 50,00
K. Harmaciński, Oslo	F. 40,00
I. Pyziak, Clifton, N.J. (USA)	F. 23,00
Irena i Andrzej Ruskowscy, Ottawa — dla uczczenia pamięci śp. Jadwigi z Gapnerów Szpakowskiej	F. 39,92
Stanley Sitarek, Seattle, Wa. (USA)	F. 36,80
St. Strasz (Norwegia)	F. 40,00
Stowarzyszenie Polskiej Marynarki Wojennej, Londyn	F. 211,78

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 280 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZIEMIA ULRO

Przedmowa ks. Józefa Sadzika

Str. 224.

Cena F.50,00

TOM 281 — WIKTOR WOROSZYLSKI

SERIA « BEZ CENZURY »

LITERATURA

Str. 180.

Cena F.45,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 23.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1978.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 15,00	R. 29,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,75	\$ A 18,00	\$ A 35,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönla- ternasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, apt 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 150,00	F.B. 850,00	F.B. 1 600,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ 35,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 15,00	F. 80,00	F. 150,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissing- en, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,50	Fl. h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisson- neuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2339; B. Kra- uski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiaskowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 4,00 DM 8,00 F. 15,00	\$ Can. 21,00 D.M. 50,00 F. 85,00	\$ Can. 40,00 D.M. 85,00 F. 160,00
NIEMCY : St Miklucik, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzie- wanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski. Book, 2036 Chest- nut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA , Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt 10, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,75 f\$tg. 1.85 F. 15,00	\$ US 18,00 f\$tg. 10,00 F. 85,00	\$ US 35,00 f\$tg. 19,00 F. 160,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.160; półroczna — F.85.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTYTUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 289 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

SZKICE O LITERATURZE EMIGRACYJNEJ

Wczesny okres wojenny. — Literatura Polski Walczącej. — Londyn 1942. — Polacy w Rosji: Literatura zsyłkowa. — Od Teheranu do Jerozolimy. — Rozdział włoski. — Londyn u kresu wojny i w latach powojennego chaosu. — Czasopisma literackie.
Książka zaopatrzona jest w Indeks Nazwisk.

Str. 416.

Cena F. 85.



TOM 290 — MARIA CZAPSKA

CZAS ODMIENIONY

to dalszy ciąg wspomnień Autorki („Europa w rodzinie”), to jej losy w czasie pierwszej wojny światowej kiedy z Mińska przez Petersburg i Warszawę — rewolucja rosyjska i wyzwolenie Polski — dociera do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Str. 160.

Cena F. 35.



TOM 291 — WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

Seria „Bez Cenzury”

SOCJALIZM PO 60 LATACH

Str. 64.

Cena F. 18.



TOM 292 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY CZWARTY

Zawiera m.in. prace: W. Drzewieckiego — *Wywiad z St. Mikołajczykiem z 17. XI. 1947*; M. Chęcińskiego: „*Ludowe Wojsko Polskie*”; A. Ciencialy: *Anglia była gotowa bić się o Gdańsk*; J. Nowak: *Rozmowy z gen. Sosnkowskim*; Z. S. Siemaszko: *17 września i jego konsekwencje*; T. Katelbach: *Bezdroża* (dok.); W. Krzyżanowski: *Lata bukareszteńskie* (dok.). RECENZJE.

Str. 240.

Cena F. 35.

Cena 15 F